

**JAMES  
PATTERSON**

**JA, ALEX CROSS**

NOWY THRILLER NAJPOCZYTNIJSZEGO PISARZA ŚWIATA



# JAMES PATTERSON

# JA, ALEX CROSS

Z angielskiego przełożyli  
JACEK MANICKI i KRZYSZTOF OBŁUCKI



  
ALBATROS  
Wydawnictwo  
A. Kuryłowicz

*Dla Judy Torres*

# Prolog

---

Ogień i woda

Hannah Willis była studentką drugiego roku prawa na Uniwersytecie Wirginii i wszystkie znaki na niebie i ziemi mówiły, że rysuje się przed nią świetlana, różami usłana przyszłość – o ile, rzecz jasna, nie umrze za chwilę w tym ciemnym, ponurym, koszmarnym lesie.

Uciekaj, Hannah, dopingował ją roztrzęsiony głosik wewnętrzny. Nic, tylko uciekaj. Wyłącz myślenie. Skamlanie i płacz nic ci teraz nie pomogą. W ucieczce jedyny twój ratunek.

Potknęła się i poleciała głową naprzód. Gdyby nie pień drzewa, którego w ostatniej chwili odruchowo się przytrzymała, zaryłaby nosem w ściółkę. Przywarła do zbawczego pnia całym obolałym ciałem, zbierając siły na złapanie oddechu przed następnym etapem tego morderczego wyścigu ze śmiercią.

Nie zatrzymuj się, bo zginiesz w tym lesie. Zginiesz marnie.

Pocisk, który utkwiał gdzieś w okolicach nasady kręgosłupa, czynił każdy ruch, każdy oddech torturą. Hannah nie zdawała sobie dotąd sprawy, że ból może być aż taki. Tylko strach przed drugim pociskiem, a kto wie, czy nie czymś gorszym, utrzymywał ją jeszcze na nogach i dodawał sił.

Boże, ten las za nią jest niemal smoliście czarny. Słaba poświata wiszącego w górze sierpa księżyca grzęzła w gęstych koronach drzew i niewiele jej tu, na dół, spływało. Drzewa były cieniami. Ciernie i jeżyny czające się w zaroślach, przez które się przedzierała, kłuły ją i drapały po nogach do krwi. Czarny ażurowy trykot – bo tylko to miała na sobie – zwisał już na niej w strzępach.

Ale Hannah nie zwracała na takie głupstwa uwagi, nawet ich sobie nie uświadamiała. Jedyłą w miarę zborną myślą, jaka tłukła jej się po głowie i przebijała przez ból i panikę, było: Uciekaj, dziewczyno. Reszta zlewała się w nieopisany, niepojęty koszmar.

I naraz – po godzinie? dłużej? – las skończył się raptownie i nad jej głową rozpostarło się nocne niebo, a pod stopami zachrzęścił żwir.

– Co, u...

Hannah stanęła i nie mając się tu czego przytrzymać, osunęła się na klęczki.

W rozmytej poświacie księżyca majaczyła przed nią podwójna linia oddzielająca pasy lokalnej drogi i niknąca za zakrętem. Cud. No, może połowa cudu; miała

świadomość, że nie wyplątała się jeszcze do końca z tej matni.

Słyszając narastający pomruk silnika, wsparła się dłońmi o kamieniste podłoże i mobilizując resztkę sił, jakie, o dziwo, pozostały jej jeszcze w rezerwie, wstała. Na nogach jak z waty wytoczyła się na środek drogi. Świat rozmazywał jej się przed oczami zalewanymi potem i pełnymi świeżych łez.

Dobry Boże, błagam, spraw, żeby to nie byli oni. Tylko nie ci dwaj psychole.

Chyba nie jesteś taki okrutny, prawda?

Zza zakrętu wyłoniła się czerwona półciągarówka i zbliżała się szybko. Za szybko! Hannah oślepiły reflektory, znowu nic nie widziała.

– Stój! Zatrzymaj się, błagam! Błagaaaam! – krzyknęła. – Stój, sukinsynu!

Kierowca dał po hamulcach, zapiszczały opony, ale czerwony pick-up sunął dalej wprost na nią po wilgotnym asfalcie. Zatrzymał się w ostatnim możliwym momencie, kiedy myślała, że już po niej. Poczowała na brzuchu ciepło bijące od silnika przez atrapę wlotu powietrza.

– Hej, lala, klasa ciuszek! Wystarczyło kciuk z pobocza wystawić.

Głos nieznajomy – to dobrze, bardzo dobrze. Z szoferki dolatywała również głośna muzyka country. Charlie Daniels Band, zdążyła jeszcze pomyśleć i osunęła się bez czucia na jezdnię.

Kiedy po sekundzie odzyskała przytomność, kierowca był już przy niej.

– Boże mój, ja nie... Co ci się stało? Jesteś... Co ci się stało?

– Błagam – wykrztusiła. – Jeśli mnie tu znajdą, zabiją nas oboje.

Otoczyły ją i dźwignęły silne ramiona. Ręka mężczyzny ugniotła dziurę wielkości dziesięciocentówki w jej plecach. Hannah syknęła tylko, krzyknąć nie miała już siły. Parę szarych, nieostrych chwil później byli już w pick-upie i pędzili na złamanie karku dwupasmową szosą.

– Trzymaj się, mała. – Głos kierowcy drżał z przejęcia. – Kto cię tak urządził?

Hannah czuła, że znowu traci przytomność.

– Ludzie...

– Ludzie? Jacy ludzie, kochanie? Kto to był?

Odpowiedź przeszła jej przez myśl i Hannah nie miała pewności, czy wypowiedziała ją już na głos, czy dopiero formułowała w myślach, a potem wszystko zgasło.

Ludzie z Białego Domu.

Nazywał się Johnny Tucci, ale wszystkie chłopaki z South Philadelphia, dzielnicy Filadelfii, wołały na niego Johnny Tucitamci, bo kiedy się denerwował, oczy mu się rozbiegały, a denerwował się z byle powodu.

No, od jutra chłopaki z Philly będą mu mogły naskoczyć. Bo dziś wieczór na poważnie wchodzi do gry. Staje się mężczyzną. Było nie było, wiezie „pakunek”, no nie?

Zlecenie było proste, ale nie w kij dmuchał, a do tego załatwiał je w pojedynkę, co znaczyło, że na niego spada cała odpowiedzialność. Odbierając „pakunek”, przeżył chwile grozy, ale miał to już za sobą.

Nikt nigdy nie powiedział tego wprost, ale kiedy już raz się weszło w takie przesyłki, to siłą rzeczy człowiek miał jakiegoś haka na Rodzinę, a ona haka na niego. Innymi słowy, zawiązywał się układ. Od jutra Johnny nie będzie już byle popychłem, koniec z robieniem za przynieś-podaj-pozamiataj w południowych dzielnicach. No, wziąć tylko i przykleić sobie na zderzak nalepkę: *Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty mojego życia.*

Tak więc duma go, a jakże, rozsadzała, ale i troszeczkę się denerwował.

W głowie jak z puszczonej w kółko taśmy rozbrzmiewało mu bez końca upomnienie wuja. *Nie spartol tej szansy, Tucitamci*, powiedział Eddie. *Żebyś potem nie musiał świecić za ciebie oczami, jak się nie spiszesz.* Myślałby kto, że polecając go do tej roboty, wyświadczył mu nie wiedzieć jaką, przysługę. No, może i wyświadczył, ale mimo wszystko. Rodzony wuj nie powinien mu tego tak nachalnie wypominać, no nie?

Włączył radio. Z głośników popłynęło country, ale lepsze już to niż mantyczenie wuja w głowie. Leciał stary kawałek kapeli Charlie Daniels Band *Diabeł zawitał do Georgii*. Mógł nawet z nimi zaśpiewać, bo znał słowa pi razy oko. Jednak nawet to nie było w stanie zagłuszyć echa słów Eddiego: *Nie spartol tej szansy, Tucitamci. Żebyś potem nie musiał świecić za ciebie oczami, jak się nie spiszesz.*

Oż, kurwa!

We wstecznym lusterku zamigotał niebieski kogut – nie wiadomo skąd się wziął. Jeszcze dwie, trzy sekundy temu Johnny przysięgłby, że całą międzystanową I-95 ma tylko dla siebie.

Wychodziło na to, że nie miał.

Johnny czuł, że zaczyna mu drgać kącik prawego oka.

Dodał gazu; może uda się ich zgubić. Szybko się jednak przekonał, że z tego

gównianego dodge'a, którego podprowadził z parkingu przed Motelem 6 w Essing, niewiele da się wycisnąć. Cholera! Trzeba mi się było pofatygować pod Marriotta. Skroić stamtąd jakąś japońską bryczkę.

Pozostawało liczyć na to, że kradzież dodge'a nie została jeszcze zgłoszona. Że nieświadomy straty właściciel śpi sobie teraz smacznie w motelu. Przy odrobinie szczęścia wlepią mu tylko mandat, który Johnny potem podrze i wyrzuci, i nikt się o niczym nie dowie.

Ale na szczęście to mogli sobie liczyć inni, jemu nigdy nie sprzyjało.

Całą wieczność i dzień dłużej trwało, zanim gliniarze wysiedli wreszcie ze swojego krążownika, a to był zły znak – najgorszy. Sprawdzali markę i rejestrację. Kiedy podeszli z obu stron do dodge'a, Johnny'emu oczy latały już jak te dwie meksykańskie skaczące fasolki.

Starął się nadrabiać miną.

– Dobry wieczór, panom policjantom. O co się rozchodzi...

Ten od jego strony, wysokie chłopisko z wsiowym akcentem, otworzył drzwiczki.

– Morda w kubel i wysiadaj.

Znaleźli „pakunek” w trymiga. Sprawdzili przednie i tylne siedzenia, otworzyli bagażnik, unieśli pokrowiec zapasowego koła i trafiony zatopiony.

– Matko Boska! – Jeden z policjantów poświecił latarką. Drugiemu na sam widok zebrało się na pawia. – Coś ty, u diabła, zmalował?

Ale na to pytanie nie miał im kto odpowiedzieć. Johnny był już daleko.



Nikt nigdy nie czuł się zimnym trupem bardziej niż on teraz. Johnny Tucci przeciął sprintem przydrożny laszek i zaczął zjeżdżać na tyłku zboczem równoległego do autostrady jaru ze świadomością, że to już jego ostatnie podrygi.

Tym gliniarzom może się i urwie, ale Rodzinie nigdy. Przed nimi nie schowa się nawet w więzieniu, znajdą go wszędzie. Spod ziemi wykopią. Kto wpada w taki durny sposób z „pakunkiem”, sam się nim staje.

Ze szczytu zbocza dobiegły głosy, zatańczyły promienie latarek. Johnny zrobił „padnij” i wturlał się pod kępę krzaków. Dygotał na całym ciele, serce waliło mu jak młotem, obijając się boleśnie o żebra, w podwędzonych papierosami płucach rzeziło. Starał się znieruchomieć i wyciszyć, ale graniczyło to z niemożliwością.

O, cholera, już po mnie. Już nie żyję.

– Widzisz coś? Widzisz gnoja?

– Na razie nie. Ale dorwiemy popaprańca. Przywarował gdzieś tam, na dole. Daleko zwać nie mógł.

Policjanci rozwinęli się w dwuosobową tyralierę i zaczęli schodzić ze zbocza. Kroczek za kroczkiem nieubłaganie zbliżali się do jego kryjówki.

Oddech udało mu się wreszcie wstrzymać, za to zaczęło nim jeszcze bardziej telepać, i to nie tylko ze strachu przed gliniarzami. Myślał teraz o swoim następnym kroku. Co tu kryć, wyboru wielkiego nie miał. Albo robi użytek z trzydziestkiósemki, którą ma w kaburze przy kostce prawej nogi, albo kończy jako „pakunek” – po konfrontacji z tymi, co je nadają. Pytanie tylko, jak woli umrzeć.

W posępnej poświacie księżycy odpowiedź nasuwała się sama.

Powoli, powolutku sięgnął do kostki po trzydziestkęósemkę. Trzęsącymi się rękami wsunął sobie lufę w usta. Postukiwała mu o zęby i ocierając się o język, pozostawiała na nim wstrętny metaliczny smak. Wstydził się łez, które ciekły mu po policzkach, ale nie był w stanie ich powstrzymać. A zresztą kto prócz niego się o nich dowie?

Jeżu, a więc naprawdę tak skończy? Spłakany jak bóbr, sam w lesie? Okrutny jest ten świat.

Już słyszał chłopaków. *Nie chciałbym skończyć jak Johnny.* Johnny Tucitamci. Wykuliby mu to na nagrobku – tak dla jaj. Sukinsyny bez serca.

Mózg Johnny'ego powtarzał jak nakręcony komendę: *naciśnij*, ale palec spoczywający na spuście uparcie odmawiał jej wykonania. Johnny spróbował inaczej, ujmując kolbę oburącz, ale nie pomogło. Nawet tego nie potrafi zrobić jak należy.

W końcu, płacząc wciąż jak dziecko, wypłuł lufę z ust. Nie wiedzieć czemu świadomość, że pożyje jeszcze jeden dzień, nie zatamowała łez. Leżał pod krzakiem, gryząc wargi, rozczulając się nad samym sobą, dopóki gliniarze, minawszy go, nie zeszli aż nad strumyk płynący dnem jaru.

Wtedy Johnny Tucitamci wdrapał się po własnych śladach na górę, przebiegł przez międzystanową i zaszył się w lesie po drugiej stronie – przez cały czas kombinując gorączkowo, jak by tu, na Boga, rozpląnąć się w powietrzu, chociaż od początku wiedział, że to niewykonalne.

Zaglądał tam. Wiedział, co było w „pakunku”.

# Część pierwsza

---

## Burza ognia

# Rozdział 1

Obchodziłem swoje urodziny przy Fifth Street w małym, doborowym, bardzo wesołym i zabawowym gronie krewnych oraz przyjaciół. Dokładnie tak jak chciałem.

W charakterze specjalnej niespodzianki ze szkoły z internatem w Massachusetts przyjechał Damon. Wodzirejowała Nana w asyście moich dzieci Jannie i Alego. Był Sampson z rodziną; no i naturalnie Bree.

Zaproszeni zostali tylko ci, których najbardziej w świecie kochałem. Bo niby z kim jeszcze miałby człowiek świętować to, że właśnie staje się o kolejny rok starszy i mądrzejszy?

Tego wieczoru wygłosiłem nawet małą mowę okolicznościową, z której w pamięci pozostało mi tylko tych kilka słów introdukcji:

– Ja, Alex Cross – zagailem – uroczycie przyrzekam wszystkim obecnym na niniejszym przyjęciu urodzinowym, że uczynię, co w mej mocy, żeby pogodzić swoje życie rodzinne z pracą zawodową i nigdy więcej nie przechodzić na ciemną stronę.

Nana wzniosła toast filiżanką kawy, ale zaraz stwierdziła:

– Na to już za późno.

Wywołało to salwę śmiechu.

Potem wszyscy robili wszystko, bym starzał się z pokorą, ale i z uśmiechem na twarzy.

– A pamiętacie ten numer pod stadionem Redskinsów? – zachichotał Damon. – Kiedy tato zatrzasnął kluczyki w starym samochodzie?

Chciałem mu przerwać.

– Prawdę powiedziawszy...

– Wyciągnął mnie wtedy z łóżka w środku nocy – wyburczał Sampson.

– Ale dopiero po godzinie daremnych prób włamania się do własnego auta – stanęła w mojej obronie Nana – bo wstydził się przyznać, że tego nie potrafi.

Jannie przyłożyła dłoń do ucha.

– Bo jest kim?

I wszyscy odpowiedzieli zgodnym chórem:

– Amerykańskim Sherlockiem Holmesem!

Było to nawiązanie do pewnego artykułu zamieszczonego przed kilkoma laty w pewnym czasopiśmie o ogólnokrajowym zasięgu, artykułu, który najwyraźniej już na zawsze pozostanie moją zmorą.

Pociągnąłem łyk piwa.

– Błyskotliwa kariera, tak przynajmniej mówią, dziesiątki rozwiązanych spraw na koncie, trudnych spraw, a z czego mnie pamiętają? O ile się nie mylę, ktoś tu miał dzisiaj obchodzić w miłej atmosferze swoje urodziny.

– Dobrze, żeś mi przypomniał – podchwyciła Nana, odcinając mnie z haczyka. – Mamy w programie coś jeszcze. Dzieci?

Jannie i Ali zerwali się jak na komendę. Najwyraźniej mieli jeszcze dla mnie w zanadru jakąś wielką niespodziankę. Podejrzywałem, co to może być, bo wcześniej rozpakowałem już parę serengetisów od Bree, hawajską koszulę i dwie małpki tequili od Sampsona oraz stos książek od dzieci, w tym ostatniego George’a Pelecanosa i biografię Keitha Richardsa.

Jeszcze jedną poszlaką, że się tak wyrażę, był fakt, że od początku naszej znajomości nie spędziliśmy z Bree ani jednego długiego weekendu razem. Plany, owszem, były, ale któremuś z nas albo obojgu zawsze coś w ostatniej chwili wypadło. Pomyślicie pewnie, że praca w tym samym departamencie, ba, w tym samym wydziale – zabójstw – powinna nam ułatwiać koordynację naszych planów, lecz na ogół było wprost przeciwnie.

Czegoś tam się więc domyślałem, ale nie do końca.

– Siedź tu, Alex, i nie podglądaj – powiedział Ali.

Ostatnio zaczął mi mówić po imieniu, co mnie nie przeszkadzało, ale Nanę, nie wiedzieć czemu, gorszyło.

Bree pod pretekstem, że mnie przypilnuje, została, reszta towarzystwa wymknęła się do kuchni.

– Intryga nabiera rumieńców – mruknąłem.

– Z każdą chwilą – przyznała Bree z uśmiechem i puściła do mnie oko. – Tak jak lubisz.

Siedziała na kanapie, a ja naprzeciwko niej w jednym ze starych klubowych foteli. Bree zawsze dobrze wyglądała, ale najbardziej podobała mi się taka jak teraz, wyluzowana, w dżinsach i boso. Jej oczy wbite w podłogę powoli się na mnie podnosiły.

– Dobrze się bawisz? – spytała.

– Wyśmienicie. A ty?

Upiła łyk piwa i przekrzywiła głowę.

– A nie masz już dosyć?

– Mam. – Pokazałem kciukiem na drzwi do kuchni. – Tylko jak to dać do zrozumienia tym pioruńskim... hmmm...

– Członkom kochanej rodzinki?

Przemknęło mi przez myśl, że te urodziny nabierają rumieńców. Przede mną już dwie wielkie niespodzianki.

Oho, a oto i trzecia.

Zadzwonił telefon na stoliczku. Stacjonarny, nie komórka, na którą dzwoniono do mnie z pracy. Na kredensie, skąd najlepiej było go słyszeć, leżał też pager. Tak więc wydawało się, że mogę bez obaw odebrać. Spodziewałem się nawet, że to jakaś przyjazna dusza pragnie mi złożyć urodzinowe życzenia albo w najgorszym wypadku ktoś chce mi sprzedać antenę do odbioru telewizji satelitarnej.

O święta naiwności! Czy ja się z niej kiedyś wyleczę? W tym życiu już chyba nie.

## Rozdział 2

– Alex? Davies z tej strony. Przepraszam, że zawracam ci głowę w domu.

Ramon Davies był nadinspektorem policji w Metro, jak również moim przełożonym, i wcale nie musiał się przedstawiać, sam poznałbym go po głosie.

– Mam dzisiaj urodziny. Ktoś umarł?

Byłem zły, głównie na siebie, że odebrałem ten telefon.

– Caroline Cross – powiedział, a pode mną nogi się ugięły.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi kuchni i wyszła z niej ze śpiewem na ustach moja rodzina. Nana niosła na tacy piętrowy różowo-czerwony tort urodzinowy zwieńczony kopertą turystyczną American Airlines.

– *Happy birthday to you...*

Bree uciszyła ich uniesieniem ręki. Moja poza i mina musiały mówić same za siebie. Zatrzymali się jak na komendę. Wesoły śpiew urwał się w pół nuty. Moja rodzina pamiętała, czyje to urodziny: detektywa Alexa Crossa.

Caroline była moją bratanicą, jedyną córką mojego brata. Ostatni raz widziałem ją dwadzieścia lat temu, wkrótce po śmierci Blake'a. Czyli miałyby teraz około dwudziestu czterech lat.

Miałyby, gdyby żyła.

Odniosłem wrażenie, że podłoga się pode mną zapada. Chciałem już krzyknąć do słuchawki, że to kłamstwo, ale zakorzeniony we mnie gliniarz wziął górę i zapytałem:

– Gdzie teraz jest?

– Rozmawiałem właśnie z wirginijską policją stanową. Szczątki przewieziono do zakładu medycyny sądowej w Richmond. Przykro mi, Alex. Że też na mnie musiał spaść obowiązek powiadomienia cię o tym.

– Szczątki? – mruknąłem.

Co za zimne słowo, ale w sumie wdzięczny byłem Daviesowi za jego lapidarność. Wyszedłem z pokoju, nie chciałem rozmawiać w obecności rodziny. I tak za dużo już usłyszeli.

– Czy mamy tu do czynienia z morderstwem? Bo tak zrozumiałem.

– Na to wygląda.

– Co się stało?

Łomoczące serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Wcale nie byłem pewien, czy chcę to wiedzieć.

– Nie znam szczegółów.

Powiedział to takim tonem, że nie miałem już wątpliwości: coś przede mną zatajał.

– O co tu chodzi, Ramon? Mów. Co wiesz o Caroline?

– Nie wszystko naraz, Alex. Jeśli zaraz wyjedziesz, to za jakieś dwie godziny tam będziesz. Poproszę któregoś z funkcjonariuszy przydzielonych do sprawy, żeby na ciebie czekał.

– Jadę

– Aha, Alex?

Wstrząśnięty do głębi miałem już odłożyć słuchawkę.

– No?

– Może lepiej zabierz kogoś ze sobą.



## Rozdział 3

Cisnąc gaz do dechy, pokonując większość trasy na sygnale, dotarłem do Richmond w niecałe półtorej godziny.

Zakład technik kryminalistycznych mieścił się w nowym budynku przy Marshall Street. Czekał tam na nas – na mnie i Bree – detektyw Corin Fellows z biura kryminalnego policji stanowej.

– Samochód został odholowany na nasz parking przy siedzibie wydziału na Route One – poinformował nas Fellows. – Wszystko inne trafiło tutaj. Szczątki są na dole, w kostnicy, a wszystkie materiały dowodowe w laboratorium na tym poziomie.

Znowu to straszne słowo. Szczątki.

– Co zabezpieczyliście? – spytała Bree.

– Policjanci z drogówki znaleźli w bagażniku kilka sztuk damskiej garderoby i małą czarną torebkę zawiniętą w koc. Proszę. Przyniosłem to do pokazania.

Podał mi plastikową torebkę z prawem jazdy ze stanu Rhode Island. W pierwszej chwili rozpoznałem tylko nazwisko Caroline Dziewczyna na zdjęciu była piękna, z odgarniętymi z twarzy włosami i wysokim czołem kojarzyła mi się z tancerką. I te wielkie oczy – też je pamiętałem.

Oczy wielkie jak niebo. Tak mawiał o nich mój starszy brat Blake. Zobaczyłem go teraz, jak buja ją na starej huśtawce na werandzie domu przy Fifth Street i zaśmiewa się, ilekroć mała do niego mrugnie. Był po uszy zakochany w tej kruszynce. Wszyscy byliśmy. Słodka Caroline.

A teraz obojga już nie ma. Brata wykończyły narkotyki. A Caroline? Co jej się przydarzyło?

Oddałem detektywowi Fellowsowi prawo jazdy i poprosiłem, żeby nas zaprowadził do zakładu medycyny sądowej. Jeśli miałem przez to wszystko przebrnąć, musiałem działać z marszu.

Na dole powitała nas patolog, doktor Amy Carbondale. Podaliśmy sobie ręce, dłoń miała jeszcze chłodną od ściągniętej niedawno lateksowej rękawiczki. Wydała mi się nieprzyzwoicie młoda jak na tego rodzaju zajęcie, niewiele ponad trzydzieści lat, i chyba nie bardzo wiedziała, jak się wobec mnie zachować, co powiedzieć.

– Dużo o panu słyszałam, doktorze Cross. Bardzo mi przykro z powodu straty, jaką pan poniósł – odezwała się niemal szeptem, w którym pobrzmiwały współczucie i

szacunek.

– Będę zobowiązany, jeśli ograniczy się pani do faktów – wyburczałem.

Poprawiła na nosie okulary w srebrnych drucianych oprawkach.

– Ze wstępnych ustaleń wynika, że doszło do morselizacji dziewięćdziesięciu sześciu procent ciała. Zachowało się kilka palców, dzięki czemu byliśmy w stanie zdjąć linie papilarne i skojarzyć je z nazwiskiem z zabezpieczonego na miejscu zbrodni prawa jazdy.

– Przepraszam... do „morselizacji”?

W życiu nie słyszałem tego słowa.

Doktor Carbondale spojrzała mi głęboko w oczy.

– Wszystko wskazuje na to, że użyto jakiegoś ostrego narzędzia – prawdopodobnie rębaka. To taka maszyna do cięcia gałęzi.

Dech mi zapało. Czuję, jak te słowa wbijają mi się w pierś jedno za drugim. Rębak do gałęzi? A potem przemknęło mi przez myśl: Dlaczego zabójca zachował jej ubranie i prawo jazdy? Jako dowód tożsamości Caroline? Na pamiątkę?

– Przeprowadzę badania na obecność w organizmie toksyn, sporządzą profil DNA, no i naturalnie, poszukamy śladów pocisku czy innych metali, ale ustalenie rzeczywistej przyczyny śmierci będzie tutaj bardzo trudne, o ile w ogóle możliwe.

– Gdzie ona jest? – spytałem, starając się pozbierać myśli. Gdzie są szczątki Caroline?

– Doktorze Cross, na pewno jest pan przygotowany...

– Na pewno – odpowiedziała za mnie Bree, wskazując na drzwi laboratorium. Wiedziała, czego mi potrzeba. – Idziemy, pani doktor. Jesteśmy w końcu profesjonalistami.

Weszliśmy za doktor Carbondale przez dwoje wahadłowych drzwi do przypominającej bunkier sali sekcyjnej. Szara cementowa posadzka, wysoki, wyłożony kafelkami sufit, na którym zamontowano kamery i parasolowe lampy. Do tego wszędzie zlewy i nierdzewna stal, a na jednym z wąskich srebrnych stołów biały pokrowiec na zwłoki.

Z miejsca rzuciło mi się w oczy coś bardzo dziwnego. Nienaturalnego.

Pokrowiec był wybrzuszony pośrodku, a po obu końcach płaski. Powiew grozy zmroził mnie jak nigdy dotąd.

Szczątki.

Doktor Carbondale stanęła po drugiej stronie stołu i odsunęła zamek błyskawiczny

pokrowca.

– Powłoka termoizolacyjna jest nasza – powiedziała. – Uszczelniłam ją z powrotem po przeprowadzeniu wstępnych oględzin.

Wewnątrz pokrowca na zwłoki znajdował się drugi pokrowiec. Przypominał plastikowy worek na śmieci. Matowa biała folia prześwitywała na tyle, że dało się odróżnić kolor tego, co znajdowało się w środku – mięsa, krwi i kości.

Na kilka sekund umysł mi się wyłączył i przez tych kilka sekund mogłem nie wierzyć w to, co widzę. W tym worku znajdowała się martwa istota ludzka, ale nie było to ciało.

Caroline, ale nie Caroline.

## Rozdział 4

Droga powrotna do Waszyngtonu dłużyła się jak zły sen, który może nigdy się nie skończyć. W domu, kiedy do niego z Bree wchodziliśmy, było ciemno i cicho. W pierwszym odruchu chciałem obudzić Nanę, ale zaraz uzmysłowiłem sobie, że skoro nas nie usłyszała, to pewnie jest bardzo zmęczona i śpi kamiennym snem, z którego grzechem byłoby ją wyrywać. Złe wiadomości, jakie dla niej miałem, mogły poczekać do rana.

Mój tort urodzinowy stał nietknięty w lodówce, a kopertę American Airlines ktoś odłożył na blat kuchennej szafki. Zajrzałem – dwa bilety lotnicze na Saint John, wysepkę na Karaibach, którą zawsze chciałem odwiedzić. No nic; może innym razem. Miałem wrażenie, że wszystko wokół mnie dzieje się w zwolnionym tempie; niektóre szczegóły nabierały niesamowitej wyrazistości.

– Musisz się położyć. – Bree wzięła mnie za rękę i wyciągnęła z kuchni. – Choćby po to, żeby z jasnym umysłem przystąpić jutro do działania.

– Chyba dzisiaj – mruknąłem.

– Jutro. Kiedy porządnie wypoczniesz.

Nie uszło mej uwagi, że powiedziała „położyć się”, a nie „przespać”. Weszliśmy oboje na górę, zrzuciliśmy ubrania i padliśmy na łóżko. Bree wzięła mnie za rękę i nie puszczała.

Upłynęła dobra godzina, a ja wciąż wpatrywałem się w sufit, zadając sobie w kółko ten sam zestaw pytań, które nurtowały mnie przez całą drogę powrotną z Richmond.

Dlaczego? Dlaczego to się stało? Dlaczego Caroline?

Dlaczego jakiś cholerny rębak do gałęzi? Dlaczego szczątki zamiast ciała?

Jako detektyw powinienem był widzieć w nich tylko dowód rzeczowy i nie dopuszczać do głosu emocji, ale leżąc tak w ciemnościach, nie czułem się jakoś detektywem. Czułem się wujkiem i bratem.

W jakimś sensie Caroline straciliśmy już wcześniej. Po śmierci Blake’a jej matka zerwała z naszą rodziną wszelkie kontakty. Przeprowadziła się bez słowa pożegnania. Zmieniła numery telefonów. Prezenty urodzinowe wracały nieotwarte. Było to bardzo przykre i musiało upłynąć dużo czasu, zanim się z tym stanem rzeczy pogodziłem.

Gdzieś koło czwartej trzydzieści nad ranem spuściłem nogi z łóżka i usiadłem. Serce i umysł nie dawały mi spokoju.

Zatrzymał mnie głos Bree:

– A ty dokąd? Noc jeszcze.

– Sam nie wiem, Bree – mruknąłem. – Może do gabinetu. Spróbuję popracować. Ty śpij.

– Nie mogę. – Usiadła za mną i objęła mnie od tyłu. – Ja też to przeżywam. Twoje problemy są moimi problemami.

Siedziałem ze zwieszoną głową i słuchałem jej kojącego głosu. Miała rację – to była nasza wspólna sprawa. Tak było ze wszystkim, od kiedy się poznaliśmy, i dobrze, że tak było.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc przez to przejść tobie i twojej rodzinie – dodała. – Wstajemy jutro i razem zaczynamy polowanie na potwora, który się tego dopuścił. Słyszysz?

Po raz pierwszy od telefonu Daviesa poczułem ciepło rozchodzące się po klatce piersiowej. Nie była to błogość, ulga też nie, już prędzej wdzięczność. W każdym razie coś bardzo przyjemnego. Większa część życia upłynęła mi bez Bree i teraz nie mogłem pojąć, jak ja to przetrwałem.

– Jakie dobre bogi mi cię zesłały? – spytałem. – Od kiedy to mam tyle szczęścia?

– To nie szczęście, Alex. – Jeszcze mocniej przytuliła się do moich pleców. – To miłość.

## Rozdział 5

Gabriel Reese napawał się adekwatnością i ironią faktu, że to dziwne, chyba bezprecedensowe nocne spotkanie odbywa się w budynku, który wzniesiono z przeznaczeniem na siedziby departamentów stanu, marynarki i wojny. Reese dopatrywał się głębokiego historycznego sensu we wszystkim, czym się zajmował. Można by pomyśleć, że Waszyngton ma we krwi, że przynajmniej od trzech pokoleń ma go we krwi cała jego rodzina.

Sądząc po głosie, wiceprezydent, który zadzwonił do niego osobiście, był bardziej niż trochę poruszony, a przecież Walter Tillman kierował swego czasu dwiema firmami z listy Fortune 100 i coś tam o panowaniu nad emocjami musiał wiedzieć. Nie wdając się w szczegóły, kazał Reese'owi bezzwłocznie stawić się w Gmachu Eisenhowera. Była to teraz na dobrą sprawę reprezentacyjna siedziba wiceprezydentów, w której ci, od Johnsona aż do Cheney'a, przyjmowali przywódców państw z całego świata.

Jednak w tym konkretnym wypadku liczyła się przede wszystkim odległość dzieląca gmach od Zachodniego Skrzydła, a co za tym idzie, od wszelkich oczu i uszu, dla których to tajne spotkanie najwyraźniej nie było przeznaczone.

Przed zamkniętymi drzwiami gabinetu czekał na Reese'a Dan Cormorant, szef Secret Service Białego Domu we własnej osobie, obu końców korytarza pilnowali dwaj jego agenci.

Cormorant przepuścił Reese'a przodem i też wszedł, zamykając za sobą ciężkie dębowe drzwi.

Reese odchrząknął.

– Panie wiceprezydencie?

Wiceprezydent Tillman stał plecami do nich w drugim końcu pomieszczenia. W rzędzie okien odbijały się przygaszone kuliste klosze lampy imitującej zdobny gazowy świecznik. Do historii budynku nawiązywało kilka modeli okrętów w szklanych gablotkach. Tutaj podczas II wojny światowej urzędował generał Pershing.

Tillman się odwrócił.

– Mamy kłopot, Gabe – powiedział. – Siadaj. Nie jest dobrze. Gorzej już chyba być nie może.

## Rozdział 6

Agent Cormorant podszedł do wiceprezydenta i stanął przy nim. Dziwne to trochę było i zbulwersowało Reese'a. Jako szef personelu o wszystkim dowiadywał się zazwyczaj pierwszy, jeszcze przed Secret Service. Wyglądało na to, że tym razem jest inaczej. Co się, na Boga, stało? Komu się stało?

Wiceprezydent dał Cormorantowi znak głową, że może zaczynać.

– Dziękuję, panie wiceprezydencie. Gabe, zatajanie tego, co ci za chwilę powiem, jest prawdopodobnie przestępstwem. Trzeba ci wiedzieć, że zanim...

– Do rzeczy, Dan.

Gabe Reese lubił nawet Cormoranta, ale działała mu na nerwy jego skłonność do zbytniego spoufalania się. Obaj znali się z Tillmanem jeszcze z Filadelfii, ściągnął ich stamtąd, obejmując urząd, więc odrobina komitywy we wzajemnych stosunkach była usprawiedliwiona. Tylko że Cormorant trochę z nią, zdaniem Reese'a, przesadzał. Z kolei Cormorant ze swej strony uważał, prawdopodobnie Reese'a za sztywniaka.

– Czy w trakcie pełnienia swoich obowiązków zetknąłeś się kiedykolwiek z imieniem Zeus? – spytał agent. – Zeus, jak ten grecki bóg.

Reese się zastanowił. Znał wszystkie kryptonimy, jakie Secret Service nadawała swoim podopiecznym, lecz tego, chociaż sugerowałby kogoś z najwyższej półki, z pewnością nigdy nie słyszał. Pokręcił głową.

– Raczej nie. A powinienem?

Cormorant puścił to pytanie mimo uszu i kontynuował:

– Od sześciu miesięcy w całym regionie środkowoatlantyckim dochodzi do tajemniczych zaginięć. Głównie kobiet, ale zniknęło też kilku mężczyzn. Wszystkie te osoby parały się pewną profesją, domyślasz się zapewne jaką. Do tej pory nic poza tym ich nie łączyło.

– Do tej pory – powtórzył za nim Reese. – Co to, u diabła, ma znaczyć?

– Nasza komórka wywiadowcza dysponuje trzema nagraniami łączącymi Zeusa z trzema niezależnymi od siebie zaginięciami. Wczorajszej nocy znowu się pojawił, tym razem nie w związku z zaginięciem, lecz zabójstwem. – Zawiesił głos dla uzyskania lepszego efektu. – Wszystko, co tu mówię, ma naturalnie klauzulę poufności.

Cierpliwość Reese'a szybko się wyczerpywała.

– Co to ma wspólnego z wiceprezydentem? Czy z samą panią prezydent, skoro już mnie tu ściągnęłaś? Nie mam nawet pewności, czy ta rozmowa w ogóle powinna się odbyć...

Tu wtrącił się Tillman, jak zwykle ucinając jałowy słowotok:

– Ten Zeus, czy jak mu tam, jest w jakiś sposób powiązany z Białym Domem, Gabe.

– Co takiego? – Reese zerwał się z miejsca. – Jak to powiązany? W jaki sposób... dokładnie? Co to, u diabła, ma znaczyć?

– Problem w tym, że nie wiemy – przyznał Cormorant. – To po pierwsze. A po drugie trzeba zawczasu chronić administrację przed ewentualnymi konsekwencjami.

– Do twoich obowiązków należy ochrona prezydenta i wiceprezydenta, a nie całej administracji – przypomniał mu Reese, podnosząc głos.

Cormorant napuszył się i założył ręce na piersi.

– Moim obowiązkiem jest wykrywanie i neutralizowanie w zarodku wszelkich potencjalnych zagrożeń...

– Przymknijcie się obaj z łaski swojej! – Tillman podniósł głos do krzyku. – Albo zastanawiamy się wspólnie, co robić, albo kończę to spotkanie. Zrozumiano?

– Tak jest – odpowiedzieli unisono.

– Co ty o tym myślisz, Dan, już wiem. Teraz słucham ciebie, Gabe. Od siebie wtrączę tylko, że nie jestem wcale przekonany, czy powinniśmy zachowywać rzecz w tajemnicy. To bardzo łatwo może się obrócić przeciwko nam, a nie skończyłoby się wtedy na pogroźeniu palcem czy daniu po łapkach. Kongres w obecnym składzie nie puściłby nam czegoś takiego płazem. Media też nie. Zwłaszcza że w grę wchodzi morderstwo.

Morderstwo? Boże drogi, pomyślał Reese. Przeczesał palcami włosy, które posiwiały mu już przed trzydziestką.

– Pozwolę sobie zauważyć, panie wiceprezencie, że formułowane naprędce opinie nie są zazwyczaj wiele warte. Przede wszystkim mam za mało danych. Czy to tylko pogłoska? Czy istnieją niezbite fakty, które by ją uwiarygodniały? A jeśli istnieją, to jakie? Czy prezydent została już poinformowana?

– Niestety, dotychczas niewiele wiadomo. Cholera, Gabe, co ci podpowiada intuicja? Na pewno masz już jakieś zdanie na ten temat. A co do pani prezydent, to nie, nie została jeszcze poinformowana. Na razie wiemy tylko my.

Tillman, który znał się na ludziach, nie mylił się; Reese miał już zarys planu postępowania.

– Ujawnienie sprawy to dzwon, w który nie wolno nam uderzyć. Powinniśmy się



dowiedzieć, ile się tylko da, w jak najkrótszym czasie. Powiedzmy w ciągu dwóch, trzech dni. Chyba że pan zdecyduje inaczej, panie wiceprezydencie – dodał, zerkając na agenta Cormoranta. – I będzie nam potrzebna jakaś strategia umycia rąk, na wypadek gdyby sprawa przedwcześnie wyszła na jaw. Coś, co pozwoli nam się od niej zdecydowanie odciąć.

– W całej rozciągłości popieram, panie prezydencie – wtrącił się Cormorant – Na razie błądzimy po omacku, a dalej tak być nie może.

Głębokie westchnienie Tillmana Reese uznał za oznakę kapitulacji i zgodę na podjęcie działań, które zaproponował.

– Zajmiecie się tą sprawą obaj – zdecydował wiceprezydent. – Tylko żadnych rozmów telefonicznych ani, broń Boże, żadnych e-maili. Możesz mi zagwarantować, Dan, że absolutnie nic z tego nie otrze się o Centrum Kryzysowe?

– Mogę, panie wiceprezydencie. Będę musiał, co prawda, wprowadzić w temat paru swoich ludzi. Ale sprawę da się utrzymać w tajemnicy. Przez jakiś czas.

– Gabe, wspominałeś coś o strategiach umywania rąk?

– Tak, panie wiceprezydencie.

– Układając je, staraj się myśleć wielopłaszczyznowo, brać pod uwagę wszelkie możliwe scenariusze. Ze szczególnym uwzględnieniem tego najgorszego. Najgorszego z najgorszych.

– Rozumiem, panie wiceprezydencie. Mam już nawet wstępną koncepcję.

– Zuch. Jeszcze jakieś pytania?

Reese, bardziej z nawyku niż wyraźnej potrzeby, szukał w pamięci historycznych bądź prawnych precedensów. Nie wchodził tu bynajmniej w rachubę brak lojalności. Bulwersowała go po prostu zaistniała sytuacja. Boże wszechmogący – jeśli okaże się, że z Białym Domem rzeczywiście jest powiązany seryjny zabójca? Zresztą wszystko jedno, jaki zabójca?

– Panie wiceprezydencie, skoro poszerzamy krąg wtajemniczonych, to jaką możemy mieć gwarancję, że nie dojdzie do przecieku, albo uchowaj Boże, nie dowie się o tym jakiś dociekliwy dziennikarz?

Cormorant wyraźnie się zjeżył na tę insynuację, ale odpowiedzieć nie zdążył, bo ubiegł go wiceprezydent:

– To nie magiel, Gabe, to Secret Service.

Cormorant rozchmurzył się, za to spochmurniał Reese.

– Ale na nich też bym przesadnie nie polegał – ciągnął Tillman. – Chcę, żeby rzecz została załatwiona szybko, panowie. Szybko, sprawnie i definitywnie. Potrzebne są nam

fakty. I jasny ogląd sytuacji. Musimy się, cholera, dowiedzieć, co to za jeden ten Zeus i co nabroił, a potem sprawę elegancko zamknąć i zatuszować.

## Rozdział 7

Ciosy nadal spadały, i to dotkliwe. Caroline, chociaż jej prawo jazdy wystawione było w Rhode Island, przebywała co najmniej od sześciu miesięcy w Waszyngtonie, jednak skontaktować się ze mną w tym czasie nawet nie próbowała. Wynajmowała mieszkanie w angielskim stylu, w suterenie przy C, niedaleko Seward Square – około półtora kilometra od domu przy Fifth Street. Podczas porannych przebieżek dziesiątki razy mijiałem ten budynek.

– Miała niezły gust – orzekła Bree, rozglądając się po małym, ale stylowo urządzonej living roomie.

W umeblowaniu i wystroju dominował styl azjatycki – dużo ciemnego drewna, bambusu i zadbanej rośliny. Na lakierowanym stoliku przy drzwiach wejściowych leżały trzy otoczeki, na jednym z nich wyryto słowa: *Bądź dobrej myśli*.

Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy płakać. Mieszkanie Caroline przygnębiało mnie. Za wcześnie się tu znalazłem, nie byłem jeszcze gotowy.

– Rozdzielmy się – powiedziałem do Bree. – Będzie szybciej.

Wziąłem się w garść i zacząłem od sypialni. Kim byłaś, Caroline? Co ci się przydarzyło? Jak to się stało, że w taki sposób zginęłaś?

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie rzuciły mi się w oczy, był mały, oprawiony w brązową skórę terminarz leżący na biurku obok łóżka. Kiedy go podnosiłem, spomiędzy kartek wysunęły się i sfrunęły na podłogę dwie wizytówki.

Schyliłem się po nie. Obie należały do lobbystów z Kapitolu – nazwiska nic mi nie mówiły, znałem tylko firmy, które reprezentowali.

Terminarz Caroline wypełniony był w połowie, od początku roku poczynając, wpisami składającymi się z dziesięciu liter każdy. Zatrzymałem wzrok na ostatnim, który wprowadziła na dwa tygodnie przed śmiercią. SODBBLZHII. Dziesięć liter.

Pierwsze skojarzenie, jakie mi się nasunęło, to numery telefonów, które z jakichś powodów zaszyfrowano.

No dobrze, ale z jakich? Zadając sobie wtedy to pytanie, chciałem po prostu odpędzić świtające mi w głowie podejrzenie. Jednak po przejrzeniu zawartości dużej komody w ściennej szafie nie miałem już wątpliwości, skąd moją bratanicę stać było na to ładne mieszkanie i wszystko, co się w nim znajdowało.

W górnych szufladach znalazłem wszelkiego rodzaju damską bieliznę, niekiedy

przekraczającą moją wyobraźnię, a tę mam niezgorszą. Obok tradycyjnej, z ałasu i koronki, również komplety ze skóry – nabijane kolcami i nie – z lateksu, z gumy, a wszystko to starannie poskładane i poukładane. Matka musiała od dziecka wpajać Caroline zamiłowanie do porządku.

Dolne szuflady zawierały imponującą kolekcję najprzeróżniejszych kajdanek oraz jakichś gadżetów, akcesoriów i podłużnych przedmiotów w rozmaitych rozmiarach, których przeznaczenia, kręcąc głową, mogłem się tylko domyślać.

Każdy z tych przedmiotów osobno byłby tylko ciekawostką. Oglądane w takiej masie zdołowały mnie, i to dokumentnie.

A więc po to Caroline przeniosła się do Waszyngtonu? I dlatego zginęła, jak zginęła?

Wróciłem do living roomu ze ściśniętą krtanią, zupełnie rozbity. Bree siedziała na podłodze nad otwartym pudełkiem, z którego wyjmowała jakieś fotografie i rozkładała je przed sobą.

Podła mi jedną.

– Jesteś na każdej – powiedziała.

Zdjęcie przedstawiało Nanę, Blake'a i mnie. Wiedziałem, kiedy zostało zrobione – czwartego lipca 1976 roku, lato Dwóchsetlecia. Ja i mój brat pozowaliśmy do niego w plastikowych kapeluszach z płaskim denkiem, udających słomkowe i przewiązanych czerwono-biało-niebieskimi wstążkami. Nana była nieprawdopodobnie młoda i ładna.

Bree podniosła się z podłogi i stojąc obok mnie, też przyglądała się fotografii.

– Nie zapomniała o tobie, Alex. Wiedziała, kim jesteś. Zastanawia mnie, dlaczego od przybycia do Waszyngtonu ani razu nie próbowała się z tobą skontaktować.

Zdjęcie przedstawiające Nanę, mojego brata i mnie nie było moje, ale mimo to schowałem je do kieszeni marynarki.

– Chyba wolą się nie ujawniać – powiedziałem. – Przede mną. Przed znajomymi. Była dziewczyną do towarzystwa, Bree. Taką z najwyższej półki. Sodoma i gomora.

## Rozdział 8

Po powrocie do kipiącego aktywnością i gwarem biura zadzwoniłem do detektywa Fellowsa z wirginijskiej policji stanowej. Odciski linii papilarnych zdjęte z kradzionego samochodu należały do niejakiego Johna Tucciego z Filadelfii, aktualnie poszukiwanego.

Po rozmowie z Fellowsem skontaktowałem się ze znajomym z waszyngtońskiej centrali FBI i poprosiłem o namiary na ich biuro terenowe w Filadelfii, a tam od agentki Cass Murdoch dowiedziałem się, że notowany już Tucci to mały trybik w maszynie mafijnej rodziny Martino.

Informacja ta miała podwójne znaczenie. Po pierwsze, otwierała konkretny trop już we wstępnej fazie dochodzenia. Po drugie, sugerowała, że kierowca i morderca to niekoniecznie jedna i ta sama osoba. Tucci, pewnie nie zdając sobie nawet z tego sprawy, był tylko ślepym narzędziem w jakiejś grubszej aferze.

– Co Tucci mógł porabiać tak daleko od domu? – spytałem agentkę Murdoch.

Bree stała obok mnie, telefon przełączony był na tryb głośnomówiący.

– Moim zdaniem organizacja go tam do was wydelegowała, co by znaczyło, że awansował. Ważniejsze zadania, większa odpowiedzialność. Bywał już aresztowany, ale ani razu nie trafił za kratki.

– Samochód został skradziony w Filadelfii – wtrąciła Bree.

– To by znaczyło... czyli działał nadal z własnego podwórka. Używam czasu przeszłego, bo nie wydaje mi się, żeby po tego rodzaju wpadce jeszcze żył, cokolwiek się tam, na I-95, wydarzyło.

– Czy rodzina Martino ma jakieś powiązania z Waszyngtonem? – spytałem. – Prowadzi tu z kimś interesy?

– Jeśli nawet, to mnie nic o tym nie wiadomo – przyznała Murdoch. – Ale wygląda na to, że kogoś muszą tam mieć. John Tucci był za chudy w uszach, żeby kombinować coś na własną rękę. Pewnie nie posiadał się ze szczęścia, że powierzono mu taką poważną misję. Dupek jeden.

Podziękowałem Murdoch i poświęciłem kilka minut na sporządzenie notatek i skompilowanie tego, czego się od niej dowiedzieliśmy. Niestety, każda nowa odpowiedź rodziła nowe pytania.

Ale jedno było dla mnie w zasadzie jasne. Nie mieliśmy tu do czynienia ze zwyczajnym morderstwem, z odosobnionym aktem przemocy. Czyżby wchodził tu w grę

jakiś wyuzdany seks z elementami sado-maso? Albo to tylko zasłona dymna? A może i jedno, i drugie?

## Rozdział 9

To nie był koniec rewelacji, bynajmniej. Zdarza się, że jakaś nie do końca wyjaśniona sprawa jest przez wiele miesięcy do znudzenia wałkowana w mediach, aż tu nagle rozrywa się worek z nowymi wątkami. I podobnie rzecz się miała w tym wypadku. Telefon od doktor Carbondale odebrałem w samochodzie w drodze powrotnej do domu. Bree jechała swoim wozem.

– Mam przed sobą wyniki badań toksykologicznych – poinformowała mnie Carbondale. – W organizmie Caroline nie stwierdzono obecności żadnych znanych trucizn. Nie widzę tu również śladów jakichkolwiek środków odurzających, nie licząc siedmiu setnych promila alkoholu we krwi. W chwili śmierci była co najwyżej na lekkim rauszu.

A więc Caroline nie przedawkowała ani nie została otruta. Specjalnie mnie to nie zaskoczyło.

– A inne przyczyny? – spytałem.

– Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to pytanie pozostanie bez odpowiedzi – odparła Carbondale. – Mogę co najwyżej snuć przypuszczenia. Nie da się na przykład określić, czy była wcześniej bita albo duszona, czy...

– ...czy od razu przepuszczono ją przez tę maszynę – wpadłem jej zdławionym głosem w słowo.

– Właśnie – przyznała. – I mam dla pana coś jeszcze.

Zazgrzytałem zębami. Miałem ochotę rąbnąć w coś pięścią. Ale musiałem tego wysłuchać.

– Wyodrębniliśmy ze szczątków fragmenty noszące ślady jakby pośmiertnych nadgryzień.

– Ślady nadgryzień? – Rozejrzałem się za miejscem do zatrzymania. – Pozostawione przez człowieka?

– Tak, przypuszczalnie, całkiem pewna nie jestem. Ślad po ugryzieniu może czasami do złudzenia przypominać siniec. Muszę to jeszcze skonsultować z odontologiem sądowym. Ponieważ badamy tylko fragmenty kości, na których zachowały się resztki tkanki...

– Oddzwonię do pani – przerwałem jej.

Nie bacząc na klaksony samochodów sunących za mną Pennsylvania Avenue, zjechałem do krawężnika. Tego było już za wiele – przygniatał mnie ten ogrom bezsensu, okrucieństwa, przemocy, chociaż byłem z nimi przecież otrząskany.

Odrzuciłem w tył głowę i zakląłem. Boże, jak mogłeś do tego dopuścić? Potem oparłem się czołem o kierownicę i rozplakałem. I zmówiłem modlitwę za Caroline, przy której nie było nikogo, kiedy najbardziej tego potrzebowała.



## Rozdział 10

Eddie Tucci zdawał sobie sprawę, że tym razem podpadł, i to nie na żarty. Nie do wiary! Na łeb musiał upaść, polecając do tej roboty – do jakiegokolwiek roboty – swojego niewydarzonego bratanka Johnny’ego. Nie bez powodu wołali na gówniarza Tucitamci. Teraz gnojek dał drapaka, a on, Eddie, już od trzech dni czeka z duszą na ramieniu na konsekwencje, które niechybnie przyjdzie mu ponieść.

Mimo to, kiedy w środę późnym wieczorem w jego barze już po zamknięciu zgasło światło, Eddie specjalnie się tym nie przejął. Dzielnica schodziła na psy, razem z nią popadała w ruinę kamienica. Korki co rusz się przepalały.

Zasunął szufladę kasy, odwrócił się od lady i z wyciągniętymi przed siebie rękami ruszył w ciemnościach ku wahadłowym drzwiom prowadzącym na zaplecze, gdzie na ścianie wisiała skrzynka z bezpiecznikami. Byle ją tylko namacać.

Daleko nie uszedł.

W połowie drogi ktoś naciągnął mu na głowę plastikowy worek. W tym samym momencie oberwał z boku czymś twardym w kolano. Chrupnęło i Eddie padł jak ścięty, skowycząc z bólu.

Jego jęki nie zmiłygowały napastników. Jeden unieruchomił mu chwytem zapaśniczym głowę, drugi skrępował nogi w kostkach. Młóciły na oślep pięściami, wierzgał, ale nie mógł. Leżał związany jak kłoda.

– Skurwysyny! Zajebię! Słyszycie? Słyszycie mnie?

Najwyraźniej nie słyszeli. Dźwignęli go z podłogi, rzucili na stół stojący na zapleczu i przykuli kajdankami obie ręce do drewnianych nóg pod blatem. Eddie szarpnął się, ale zwojował tylko tyle, że obejmą kajdankę werznięty mu się w nadgarstki. Zresztą nawet gdyby mógł, to i tak by nie wstał. Czuł, że z tego kolana nie będzie już miał pociechy. Od tej chwili był kaleką.

Zaszumiała woda tryskająca z odkręconego do oporu kranu.

Co tu jest grane?

## Rozdział 11

Kiedy ściągnęli mu worek z głowy, światło już się paliło. Uff, od razu lepiej...

No, niezupełnie. Eddie zobaczył nad sobą twarze dwóch przyglądających mu się facetów – białego i czarniawego, chyba Portorykańczyka. Ubrani byli całkiem zwyczajnie, ale ich fryzury na języka i sposób bycia sugerowały, że to tajniacy albo wojskowi, ewentualnie i jedno, i drugie.

W każdym razie Eddie już wiedział, że to nie przelewki. Z tej spartaczanej przez bratanka roboty najwyraźniej robiła się większa chryja.

– Szukamy Johnny’ego – zagaił biały. – Wiesz, gdzie jest?

– Nie odzywał się do mnie ostatnio!

Była to najprawdziwsza prawda. Ci dwaj nie wyglądali na takich, którym można bezkarnie wciskać kit. Co do tego Eddie nie miał najmniejszych wątpliwości.

– Nie o to pytałem, Ed. Pytałem, czy wiesz, gdzie on jest. – Głos był zimny, patrzyli na niego obaj jak na laboratoryjnego szczura.

– Ale ja naprawdę nie wiem, gdzie jest Johnny. Jak Boga kocham!

– Nie tak głośno, głuchy nie jestem. – Czarniawy kiwnął głową. – I wierzę ci, Ed. Ale lepiej się upewnijmy.

Eddiemu serce podeszło do gardła, zanim jeszcze się do niego zabrali. Biały ponownie unieruchomił mu głowę zapaśniczym chwytem, odciągnął szczękę i wepchnął w usta trzonek śrubokręta. A potem dwoma palcami ścisnął Eddiemu nos.

Drugi gościu pojawił się znowu w polu widzenia Eddiego, ciągnąc za sobą zielony gumowy szlauch, z którego lała się woda. Przystawił mu końcówkę szlauchu do otwartych ust i te wypełniły się po brzegi kranówką.

Eddie się zakrztusił, zadławił. Oż, kurwa! Nie nadążał z przełykaniem. Nie mógł oddychać; usiłując wypluć śrubokręt, niemal przegryzł jego trzonek.

W piersiach zaczynało go palić, płuca na gwałt domagały się powietrza. Szarpnął się, ale przytrzymały go kajdanki, którymi był przykuty do stołowych nóg. Ciśnienie w czaszce rosło, wysadzało mu oczy z orbit i rozdymało nos. Naraz uświadomił sobie, że chyba umiera.

Na tę myśl już nie na żarty spanikował. Nic już go nie bolało, przestał się krztusić – pozostał tylko ten wszechogarniający strach. To było gorsze od sennego koszmaru, bo

działo się naprawdę, na jawie. Na zapleczu jego knajpki w Filci\*.

Z początku Eddie nawet się nie zorientował, że woda już nie leci. Biały przekreślił mu głowę w bok, wyciągnął śrubokręt z ust i pozwolił się wykaszleć. Myślał, że płuca sobie wypluje.

– Większość delikwentów pęka po paru minutach. Naturalnie mam tu na myśli żołnierzy. – Któryś z nich poklepał go po brzuchu. – Do ciebie niezupełnie się to stosuje, Ed. Pozwól więc, że zapytam jeszcze raz. Wiesz, gdzie jest Johnny?

– Znajdę go – wyrzeźił Eddie czym prędzej, choć mówienie sprawiało mu trudność. – Przysięgam na Boga, że znajdę!

– Widzisz, tego właśnie nie cierpię w mafii. – Głos przybliżył się nieco do lewego ucha Eddiego. – Mając nóż na gardle gotowi jesteście obiecać wszystko. Tylko wierzyć wam nie można, bo to przeważnie obiecanki cacanki dla zyskania na czasie.

– Dajcie mi szansę! Błagam!

– Właśnie ją masz, Ed. Na inną nie licz. Albo wiesz, gdzie jest Johnny, albo nie. No więc?

– Nie wiem! – wyrzeźił Eddie, odchodząc ze strachu od zmysłów. – Litości... nie wiem.

Wybili mu dwa zęby, właczając śrubokręt z powrotem do ust. Eddie zaciskał szczęki, rzucał się i skamlał o darowanie życia, dopóki krtani nie zalał mu ponownie strumień wody ze szlauchu. Wkrótce potem znalazł się z powrotem w punkcie, w którym był już przed minutą, absolutnie przekonany, że wybiła jego godzina.

I tym razem się nie mylił.

---

\* Philly – zdrobnienie od Filadelfii.

## Rozdział 12

Ta makabryczna zbrodnia rodziła pytań bez liku, ale jedno nurtowało mnie szczególnie: Czy ktoś jeszcze zginął w taki sam sposób jak Caroline? Czy to możliwe? Prawdopodobne?

Uzyskanie wyczerpujących informacji o osobach zaginionych jest w Waszyngtonie trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Po przestudiowaniu policyjnej bazy danych musiałem jeszcze zjeździć dzielnicę po dzielnicę całe miasto, żeby porozmawiać osobiście z detektywami, którzy zajmowali się poszczególnymi przypadkami. Raporty o zaginięciach upublicznia się w bardzo okrojonej postaci, a mnie zależało na dokładnych informacjach z pierwszej ręki. Pozwoliłoby mi to spośród rzeszy zaginionych wyselekcjonować uczniów, studentów, uciekinierów z domu, a z tej podgrupy osoby znane z prostytuowania się bądź o to podejrzewane.

Wróciłem ze zgromadzonymi materiałami do domu i po kolacji zaszyłem się z nimi w swoim gabinecie na poddaszu. Pozdejmowałem wszystko z całej jednej ściany i zacząłem do niej przypinać to, czym w tej chwili dysponowałem – fotografie zaginionych, kartki z moimi notatkami oraz plan Waszyngtonu z zaznaczonymi miejscami, w których po raz ostatni widziano ofiary.

Uporawszy się z tym, cofnąłem się i zapatrzyłem w swoje dzieło, szukając jakiegoś wspólnego mianownika dla wszystkich jego składników.

Oto Jasmine Arenas, dziewiętnaście lat, notowana już wcześniej za uprawianie nierzędu. Pracowała na rogu Czwartej i K, gdzie też dwunastego października ubiegłego roku widziano ją po raz ostatni wsiadającą około drugiej nad ranem do niebieskiego beemera.

Becca York, szesnaście lat, bardzo ładna, wzorowa uczennica Dunbar High School. Dwudziestego pierwszego grudnia po południu wyszła po lekcjach ze szkoły i od tamtego czasu nie dała znaku życia. Jej przybrani rodzice podejrzewali, że uciekła do Nowego Jorku albo na Zachodnie Wybrzeże.

Timothy O'Neill, dwudziestotrzyletni żigolak mieszkający z rodzicami w Spring Valley. Dwudziestego dziewiątego maja około dwudziestej drugiej wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i tyle go widziano.

Nie, nie liczyłem na żadne olśnienie, dzięki któremu z marszu znajdę ten wspólny mianownik. Przypominało to bardziej układanie stogu siana, w którym od jutra zaczną

szukać igły.

Czekało mnie mnóstwo pracy w terenie, weryfikowanie każdej osoby z mojej szczątkowej dokumentacji. Gdyby okazało się, że choć jedna z nich jest w jakiś sposób powiązana z Caroline, uznałbym to za ogromny sukces. Zbrodnie takie jak ta skłaniały mnie zawsze do refleksji, zastanawiania się, dlaczego wciąż się tym babram. Kiedyś podejrzewałem, że to coś w rodzaju uzależnienia, i pocieszałem się myślą, że kiedy zrozumie, co je u mnie wywołuje, to sobie odpuszcę, może nawet oddam odznakę. Tak się nie stało. Wprost przeciwnie.

Nawet gdyby Caroline nie była moją bratanicą, też stałbym na poddaszu swojego domu o drugiej nad ranem i zapatrzony w tę przygnębiającą tablicę przyrzekłbym sobie, że nie spocznę, dopóki nie dowiem się, kto i dlaczego zabił ją, a niewykluczone, że i resztę tych młodych ludzi.

Szczałki.

Tego słowa czy może raczej pojęcia nie mogłem wyrzucić z myśli, choć bardzo się starałem.

## Rozdział 13

Tej nocy z trudem zasnąłem i z takim samym trudem obudziłem się rano. Zjadłem z Naną, Bree i dziećmi śniadanie, ale wychodząc z domu, nadal nie czułem się do końca rozbudzony. Zły znak, jeśli wierzyć przesądom.

Byłem na ten dzień umówiony z Marcellą Weaver. Przed trzema laty afera związana z ekskluzywną agencją towarzyską, którą wówczas prowadziła, odbiła się szerokim echem w całym kraju i przyniosła jej przydomek Burdelmama od Elit. Lista klientów agencji nie ujrzała jak dotąd światła dziennego, ale waszyngtoński establishment wciąż trząsł portkami ze strachu, że kiedyś może jednak wyjść na jaw.

Po tamtej wpadce Marcellą zmieniła branżę i prowadziła teraz program w radiu, miała kilka butików z damską bielizną, a za udzielenie wywiadu żądała podobno pięciu tysięcy. Za godzinę, jeśli chodzi o ścisłość.

Mało mnie to wszystko obchodziło. Ja chciałem się tylko skonsultować z kimś znającym środowisko dziewcząt do towarzystwa. Zgodziła się ze mną spotkać u siebie w domu, pod warunkiem że przy rozmowie będzie obecny jej prawnik. Nie miałem nic przeciwko.

Mieszkała w luksusowym dwupoziomowym apartamencie nieopodal Dupont Circle. Otworzyła mi osobiście, w dzinsach i czarnym kaszmirowym sweterku – luz i elegancja zarazem. Diamentowe kolczyki skrzące się w uszach, wysadzany diamentami krzyżyk na szyi.

– Jak mam się do pana zwracać? Detektywie czy doktorze Cross? – spytała na wstępie.

– Detektywie, ale zaskoczyła mnie pani tym pytaniem.

– Starych nawyków trudno się wyzbyć. Zresztą ostrożności nigdy za wiele. Lubię wiedzieć, z kim się spotykam. – Uśmiechnęła się bez przymusu, była o wiele bardziej bezpośrednia, niż się spodziewałem. – Proszę wejść, detektywie.

Wprowadziła mnie do living roomu i przedstawiła prawnikowi Davidowi Shupike'owi. Znałem go ze słyszenia, prowadził kilka głośnych spraw. Był oschłym, łysiejącym, stereotypowym starym kawalerem; skojarzenie, w jakich okolicznościach mogli się poznać z Marcellą, samo się nasuwało.

Nalała mi wysoką szklanekę pellegrino i usiedliśmy na obitej skórą kanapie koło okna z widokiem na miasto.

– Przejdźmy od razu do rzeczy. – Położyłem na okolicznościowym stolczku fotografię Caroline. – Zna ją pani?

– Nie odpowiadaj, Marcello.

Shupike chciał odsunąć fotografię, ale pani Weaver powstrzymała go. Wpatrywała się przez chwilę w zdjęcie, a potem zaczęła szeptać mu coś na ucho. Po chwili kiwnął głową.

– Nie znam tej dziewczyny – zwróciła się do mnie. – A zapewniam pana, że nie zastosowałabym się do rady Davida, gdybym ją знаła. Naprawdę chcę pomóc.

Uwierzyłem.

– Staram się ustalić, dla kogo pracowała Caroline, kiedy została zamordowana – wyjaśniłem. – Pomyślałem sobie, że może pani zdoła mi podsunąć jakiś trop.

Podciągnęła kolano pod brodę, zamyśliła się.

– Ile płaciła za mieszkanie?

– Około trzech tysięcy miesięcznie.

– Hmm. Na ulicy na pewno nie wyciągnęłaby tyle, żeby było ją stać na taki czynsz. Jeśli jeszcze pan tego nie zrobił, proszę zajrzeć do Internetu i sprawdzić, czy miała swój profil w którymś z serwisów. Prawie wszystkie się tam teraz reklamują. Chociaż jeśli naprawdę zaliczała się do tych z wyższej półki, to jej pan tam nie znajdzie.

– Dlaczego?

Uśmiechnęła się z politowaniem.

– Bo nie każda dziewczyna nastawia się na klientelę, która szuka sobie panienek przez Google.

– Fakt. Ale w Internecie już patrzyłem. – Podobała mi się ta kobieta, mniejsza o to, czym się w przeszłości trudniła. – Jakies inne sugestie?

– Dobrze byłoby wiedzieć, w jaki sposób umawiała się z klientami. I czy się w czymś specjalizowała. Dominacja, uległość, dziewczyna z dziewczyną, masaż, seks grupowy, tego rodzaju rzeczy.

Kiwnąłem głową. Od początku nie było to dla mnie łatwe, a robiło się coraz gorzej. Każdy postęp w dochodzeniu ujawniał coś, czego wolałbym o Caroline nie wiedzieć. Upiłem łyżeczek wody mineralnej.

– A jeśli chodzi o same dziewczęta? Skąd przychodzą?

– To żadna tajemnica – moją kopalnią złota były gazetki studenckie. Te sikorki wychodzą z założenia, że wszystko jest dla ludzi. Wiele z nich już pogardza mężczyznami. Niektóre szukają wrażeń. Zamieszczałam ogłoszenia w najrozmaitszych miejscach, ale na

uniwersytetach odzew był największy. – Pokazała kieszeń, do której schowałem zdjęcie Caroline. – Mogła w ten sposób zarabiać na studia. Byłoby ją stać nawet na opłacenie takich prestiżowych kierunków, jak prawo czy medycyna. Da pan wiarę, że jedną z moich najlepszych dziewcząt była przyszła pani chirurg?

Zawiesiła głos, nachyliła się i zajrzała mi w oczy.

– Przepraszam, że pytam, ale... czy ta dziewczyna coś dla pana znaczyła? Wygląda mi pan na... przygnębionego.

W normalnych okolicznościach może i bym się obruszył, ale Marcella Weaver chciała mi tylko pomóc i jak dotąd naprawdę się starała.

– Caroline była moją bratanicą – powiedziałem.

Zakryła wypięgniętą dłonią usta i usiadła prosto.

– Nie spotkałam się nigdy z najmniejszym przejawem agresji wobec żadnej z moich dziewcząt. Ten, kto to zrobił, kimkolwiek jest, zasługuje na śmierć w męczarniach.

Milczałem, ale gdyby nie siedział tu ten prawnik, powiedziałbym Marcelli Weaver, że z ust mi to wyjęła.



## Rozdział 14

Czułem, że sprawa rusza z miejsca, lecz reszta dnia upłynęła mi na żmudnym weryfikowaniu zaginionych z mojej listy. Po południu dołączył do mnie Sampson i wspólnie przeprowadzaliśmy wywiady z załamanymi członkami rodzin.

Do rodziców Timothy’ego O’Neilla jechałem już z pełną świadomością, że rozdrapujemy tylko świeże rany.

O’Neillowie mieszkali w Spring Valley w murowanym domu w kolonialnym stylu. W sumie skromnym jak na tę dzielnicę, ale i tak wartym z pewnością siedmiocyfrową sumę. Podobnie jak mnóstwo ludzi stąd, O’Neillowie należeli do waszyngtońskiego establishmentu. Zrobili na mnie wrażenie „dobrej” irlandzkiej katolickiej rodziny i nie bardzo wiedziałem, jak to pogodzić z prowadzeniem się ich zaginionego syna.

– Bardzo Kochamy Timothy’ego – powiedziała pani O’Neill, kiedy o to zapytałem.  
– Wiemy, czym się zajmował. Na pewno pomyślicie sobie panowie, że jesteśmy naiwni, ale nasza miłość do Timothy’ego jest bezwarunkowa.

Staliśmy w ich living roomie obok fortepianu, na którym leżały zdjęcia rodzinne. Pani O’Neill wybrała spośród nich zdjęcie Timothy’ego, większą wersję tego, które wisiało na mojej ścianie. Miałem jeszcze nadzieję, że chłopak po prostu wyjechał bez uprzedzenia z Waszyngtonu.

– Twierdzicie państwo, że syn pracował jako barman? – odezwał się Sampson.

– Tak nam mówił – powiedział pan O’Neill. – Tim odkładał na własne mieszkanie.

– A gdzie?

Spojrzeli po sobie. Pani O’Neill miała już łzy w oczach.

– Z tym właśnie kłopot – powiedziała, – Nawet nie wiemy. To był jakiś prywatny klub. Timothy musiał tam podpisać zobowiązanie do zachowania dyskrecji. Mówił, że nie może nam nic bliższego powiedzieć dla swojego własnego dobra.

– Uważaliśmy to za trochę pretensjonalne z jego strony – dodał pan O’Neill – ale... teraz nie wiem, co o tym myśleć.

Odnosiłem wrażenie, że czegoś się tam domyślał, nie do mnie jednak należało utwierdzanie pana O’Neilla w tych domysłach. Ci ludzie pragnęli ponad wszystko odzyskać syna. Nie zazdrościłem im tej trudnej rozmowy z dwoma policyjnymi detektywami.

Na koniec poprosiłem, żeby nam pokazali pokój Timothy'ego.

Poprowadzili nas przez kuchnię i przylegającą do niej pralnię do pomieszczenia, które pełniło chyba kiedyś funkcję służbówki. Był to pokój z własną łazienką i osobnym wejściem z tylnego korytarza – niewielki, ale zapewniający prywatność.

– Niczego tu nie ruszaliśmy – powiedziała pani O'Neill, a potem z pewną afekcją dodała: – Sami panowie widzicie, jaki z niego niechluj.

Przemknęło mi przez myśl, że w bałaganie łatwo coś ukryć. W pokoju panował nieopisany nieład. Timothy chyba jeszcze do końca nie wydorósł.

Wszędzie – na podłodze, na łóżku, na fotelu, na biurku – piętrzyły się stopy ubrań. W większości były to dżinsy i T-shirty, ale wśród nich dostrzegłem też szykowniejsze części garderoby. Na wieszakach wisiała tylko kolekcja garniturów i marynarek oraz trzy skórzane płaszcze. Dwa firmy Polo, jeden od Hermesa.

I tu znalazłem swoją igłę w stogu siana. Zabraliśmy się z Sampsonem do przekopywania przez ten rozgardiasz i po kwadransie z kieszeni jakiegoś blezera wyciągnąłem zmiętą kartkę.

Zapisany był na niej ciąg liter – AFIOZMBHCP – podobny do tego z terminarza Caroline.

Pokazałem kartkę Sampsonowi.

– Spójrz na to, John.

Do pokoju zajrzała pani O'Neill. Musiała czekać pod drzwiami.

– Co to jest? Proszę nam powiedzieć.

– Możliwe, że numer telefonu, ale pewności nie mam – odparłem. – Timothy nie zostawił czasem swojej komórki?

– Nie. Nigdy się z nią nie rozstaje. Jak teraz wszyscy.

Zdobyła się na błady uśmiech. Spróbowałem go odwzajemnić, ale mi nie wyszło. Prawdopodobieństwo, że nie zobaczy już Timothy'ego, właśnie wzrosło, ocierając się o pewność.

## Rozdział 15

Od czasu zatrzymania przez patrol drogówki na międzystanowej I-95 Johnny Tucci sumiennie przestrzegał zasad, które narzuca sobie intuicyjnie każdy ścigany. Przed wszystkim nigdy nie podróżował dłużej niż dwa dni z rzędu w tym samym kierunku i nigdy nie pozostawał dłużej niż dwadzieścia cztery godziny w jednym miejscu. I gdyby ta chuda kasjerka ze sklepu 7-Eleven w Cuttingsville nie okazała się taka łatwa i chętna, a on nie był taki wyposzczony, to pewnie już dawno by go tu nie było.

Gdyby babcia miała wąsy, toby dziadkiem była.

Znajdował się akurat w trakcie drugiego numerku z kasjerką, kiedy otworzyły się obdrapane drzwi do pokoju numer 5 w Park-It Motel. Do środka wkroczyli jak do siebie dwaj mężczyźni w szarych garniturach. Skąd, u diabła, mieli klucz? Nieważne. Weszli.

Johnny sturlał się z dziewczyny i naciągnął na siebie koc. Dziewczyna – Liz? Lisl? – zrobiła to samo.

– Johnny Tucci? Ten Johnny Tucci?

Zadający to pytanie był biały, drugi z intruzów wyglądał na Latynosa. Coś jakby Brazylijczyka? Johnny nie miał zielonego pojęcia, kim są ci dwaj, domyślał się za to, co ich sprowadza do motelu. Jedyne, co mu w tej chwili przychodziło do głowy, to iść w zaparte.

– Pokoje wam się, kurde, pomyliły. Pierwsze słyszę o jakimś Johnnym. Won stąd!

Padł strzał i Johnny dopiero teraz zobaczył w ręku Latynosa pistolet. Zacisnął powieki, skrzywił się, wtulił głowę w ramiona, dech mu zaparło. Kiedy po chwili otworzył oczy, dziewczyna – Liz/Lisl – siedziała skurczona, oparta o wezglowie łóżka, a krew sącząca się z dziurki w jej czole spływała po grzbiecie nosa na czubek, skąd skapywała na piersi.

– Jezusiczku! – Johnny bardziej się zwłóknął, niż podniósł z łóżka, i rakiem wycofał w kąt pokoju. Jeszcze nigdy do niego nie strzelano.

– Spróbujmy jeszcze raz. Johnny Tucci? – spytał biały. – Ten Johnny Tucci?

– Tak, tak, to ja! – Johnny starał się dłonią jednej z uniesionych na wysokości skroni rąk tak zawęzić sobie pole widzenia, żeby nie widzieć łóżka i leżącej na nim krwawiącej dziewczyny. – Jak mnie znaleźliście? Czego chcecie? Czemuście ją zabili?

Mężczyźni spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem. Na pewno nie należeli do Rodziny. Byli na to za „biali”, nawet ten śniady.

– Kto wy, kurde, jesteście? CIA czy jak?

– Gorzej, John. DEA, ale byli. Mniej papierkowej roboty, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

Johnny chyba rozumiał. Nie będą sporządzać protokołu z okoliczności, w jakich zginęła ta nieszczęsna Liz czy Lisl. Zresztą co by w nim napisali? Że groziła im pistoletem, który wydlubała sobie z cipki?

Biały podszedł i kopnął go z marszu w jądra.

– Ale to jeszcze nie znaczy, że lubimy tracić czas na uganianie się za taką żalną łachudrą jak ty. Idziemy. Wciągaj portki.

– Nie... nie mogę. D... dokąd idziemy? – wystękał Johnny zgięty we dwoje, trzymając się oburącz za krocze. Naprawdę nie mógł, nawet gdyby chciał. Żołądek przewracał mu się na nice. – Za... zastrzelcie mnie i będzie... będzie po krzyku.

– Tak, chciałbyś, co? Połączyć się w zaświatach ze swoją przyjaciółką. Narysuj sobie, tak łatwo się nie wymigasz, przyjacielu.

Pochylili się nad nim i zaczęli zawijać go w motelowe prześcieradło. Złączyli i związali ze sobą wszystkie cztery rogi. Stawiałby może opór, ale nie mógł oderwać rąk od przyrodzenia. Wywlekli go przez drzwi jak wór z brudami do prania.

Chciał krzyknąć, lecz zdał sobie nagle sprawę, dokąd go zabierają i co go tam czeka, i znowu dech mu zaparło.

## Rozdział 16

Czarny chevy suburban z matką Caroline za kierownicą skręcił na parking przed Rock Creek Cemetery. Widziałem ją po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat. Co prawda rozmawialiśmy już przez telefon w sprawie organizacji pogrzebu, ale teraz nie bardzo wiedziałem, jak się wobec niej zachować.

Kiedy wóz się zatrzymał, podszedłem i otworzyłem drzwiczki.

– Cześć, Michelle.

Prawie nic się nie zmieniła. Nadal ładna, te same, tyle że przyprószone już siwizną, długie, niesforne włosy zaplecione w opadający na plecy luźny, gruby warkocz.

– Zapomniałam, jak bardzo byłeś do niego podobny – powiedziała.

Miała na myśli mojego brata Blake'a; rzeczywiście, podobieństwo między nami zawsze było uderzające, przynajmniej to fizyczne, zwłaszcza jeśli chodzi o rysy twarzy. Blake też leżał tutaj, na Rock Creek.

Podąłem jej ramię i ku memu zaskoczeniu przyjęła je. Ruszyliśmy pod rękę w stronę kościoła, w pewnej odległości za nami postępowała reszta rodziny.

– Michelle – zacząłem – chciałem ci powiedzieć, że osobiście prowadzę śledztwo w sprawie Caroline. Gdybyś czegoś ode mnie potrzebowała...

– Niczego nie potrzebuję, Alex – wpadła mi w słowo. Milczała przez chwilę, a kiedy znowu się odezwała, głos jej lekko drżał. – Odprowadzę tylko moją córeczkę na miejsce wiecznego spoczynku... – Odetchnęła głęboko. – I wracam do siebie, do Providence. Poradzę sobie.

– Nie musisz przechodzić przez to sama. Możesz się u nas zatrzymać na jakiś czas. Bylibyśmy ci z Naną bardzo radzi. Wiem, że dużo czasu upłynęło od...

– Od kiedy odwróciłeś się plecami od swojego brata.

A jednak. Odzywały się zadawnione, a co gorsza, nieuzasadnione żale, nic dodać, nic ująć.

Między mną a Blakiem dochodziło pod koniec do licznych scysji z powodu jego uzależnienia. Kiedy zacząłem się zbyt natarczywie domagać, żeby poddał się kuracji odwykowej, zerwał ze mną stosunki, ale najwyraźniej inaczej przedstawił nasz rozbrat Michelle, która w tamtym czasie też zażywała heroinę, i to będąc już w ciąży z Caroline.

– Z tym było dokładnie na odwrót – powiedziałem najłagodniej, jak potrafiłem.

Po raz pierwszy podniosła głos:

– Nie mogę, Alex! Nie mogę wrócić do tego domu, a więc nie nalegaj.

– Jak najbardziej możesz.

Obejrzelśmy się jak na komendę. To Nana wypowiedziała te słowa. Szła tuż za nami w asyście Bree, Jannie i Alego, swojej gwardii przybocznej, swojej obstawy. Nana podeszła do Michelle i objęła ją.

– Dawno temu straciliśmy z oczu i ciebie, i Caroline, teraz Caroline odeszła od nas na dobre. Ale ty nadal należysz do naszej rodziny. I zawsze tak będzie.

Nana cofnęła się i otoczyła ramieniem Jannie.

– Janelle, Ali, poznajcie waszą ciotkę Michelle.

– Przyjmij, ciociu, ode mnie wyrazy współczucia z powodu straty, jaką poniosłaś – powiedziała Jannie.

– Cokolwiek zaszło wczoraj i wydarzy się jutro, dzisiaj jest bez znaczenia – podjęła Nana głosem przesyconym emocjami. Przebijały z niego cienie baptystycznej, południowej przeszłości. – Jesteśmy tutaj, żeby wspominać Caroline z całą miłością, jaką mamy w swoich sercach. O przyszłość będziemy się martwić, kiedy już ją pożegnamy.

Michelle, bijąc się wyraźnie z myślami, w milczeniu przesuwała wzrokiem po naszych twarzach.

– Znacząca załatwienie – orzekła Nana i poklepała się po piersi. – Boże, strasznie przeżywam tę tragedię. Mogę cię wziąć pod rękę, Michelle?

Wiedziałem, że Nanie serce też pęka. Caroline, chociaż nigdy jej nie poznała, była przecież jej wnuczką, a teraz odeszła na zawsze. Ale życie toczyło się dalej.

## Rozdział 17

Michelle wróciła jednak wieczorem do Providence w stanie Rhode Island. Sam odprowadziłem ją na samolot, zaopatrzywszy uprzednio w numery telefonów do siebie i wymusiwszy na niej obietnicą, że się do nas odezwie – kiedy będzie już na to gotowa.

Nazajutrz podjąłem śledztwo w sprawie strasznej śmierci Caroline, a niewykluczone, że nie tylko jej.

Na początek wziąłem na warsztat hipotetyczne numery telefonów, które znalazłem w mieszkaniu Caroline i sypialni Timothy'ego O'Neilla.

Zawsze mogłem się zwrócić o pomoc do FBI, ale najpierw sam chciałem się zmierzyć z tym problemem. Jeśli istniał jakiś klucz do ich rozszyfrowywania, to najprawdopodobniej był na tyle prosty, żeby Caroline i Timothy nie mieli trudności z jego stosowaniem. Coś mi mówiło, że potrafię go samodzielnie rozgryźć.

Zacząłem od przepisania na kartce wszystkich ciągów liter, jakimi dysponowałem. Żeby się z nimi wstępnie oswoić.

Proste podstawianie kolejnych liczb, od zera poczynając, pod litery alfabetu od A do Z raczej odpadało, bo powyżej dziesiątej, czyli J, zaczynały się liczby dwucyfrowe niewystępujące na klawiaturze telefonu.

A gdyby tak natchnienia poszukać w samym układzie klawiatury?

Położyłem przed sobą swoją komórkę i spisałem z niej, co widzę:

*ABC - 2*

DEF - 3

GHI - 4 (I = 1?)

JKL - 5

MNO - 6 (O = 0?)

PQRS - 7

TUV - 8

WXYZ - 9

Klawiszom jeden i zero nie są, jak wiadomo, przypisane żadne litery, ale intuicyjnie można im przyporządkować odpowiednio I oraz O.

Jeśli przyjąć to założenie, i tak do reprezentowania cyfry cztery pozostają jeszcze litery G i H, szóstki zaś litery M i N.

Spróbowałem przetransponować w ten sposób pierwszy ciąg – BGEOGZAPMO – i wyszło mi 2430492760. Trzy pierwsze cyfry kojarzyły mi się z numerem kierunkowym. Sprawdziłem w Google. Nie istniał taki.

Szkoda mi było tej zgrabnej hipotezy, pozostałem więc przy niej i przełożyłem resztę literowych ciągów z mojej listy na liczby, zapisując je jedna pod drugą. A nuż rzuci mi się coś w oczy.

No i się rzuciło. Prawie połowa otrzymanych liczb zaczynała się od dwójki.

Nietrudno było też zauważyć, że we wszystkich na czwartej pozycji występuje zero, a na siódmej jeszcze jedna dwójka.

202 to numer kierunkowy Waszyngtonu.

Wróciłem do pierwszej liczby i podkreśliłem cyfry na tych pozycjach:

2430492760

Byłem chyba na dobrej drodze. Przyjrzałem się liczbom, które na tych pozycjach nie zawierały kombinacji 202 i stwierdziłem, że we wszystkich z wyjątkiem trzech powtarza się dla odmiany kombinacja 703 albo 301, czyli numery kierunkowe stanów Wirginia i Maryland sąsiadujących z Waszyngtonem DC.

Ostatnie trzy numery kierunkowe należały do Florydy, Karoliny Południowej oraz Illinois – stanów, z których przypuszczalnie pochodzili klienci zamiejscowi.

Wróciłem jeszcze raz do pierwszego ciągu. Skoro na pozycjach pierwszej, czwartej i siódmej zakodowany jest numer kierunkowy, to nie czas przyjrzeć się teraz bliżej pozycjom drugiej, piątej i ósmej? Sięgnąłem po ołówek.

2430492760 = 202

2430492760 = 447

2430492760 = 3960

202-447-3960

Kolejne pytanie – czy 447 to aby nie numer kierunkowy waszyngtońskiej centrali? Chwyciłem książkę telefoniczną. Zgadza się.

To mi wyglądało na pierwszy poważniejszy przełom w śledztwie. Bardzo ważny przełom.

Po odcyfrowaniu wszystkich numerów zadzwoniłem do znajomej z firmy



telefonicznej Esperanzy Cruz. Wiedziałem, że odwrócone książki telefoniczne, z których korzystamy w pracy, zawierają tylko niezastrzeżone numery abonentów. Odnalezienie właściciela pierwszego numeru z mojej listy nie zajęło Esperanzie więcej niż piętnaście sekund.

– Wiesz, obudziłeś teraz moją ciekawość – powiedziała. – To Ryan Willoughby. Co zmalował? Nie licząc odstawiania ważniaka.

Byłem zdziwiony, ale bez przesady. Ryan Willoughby prowadził wieczorny dziennik w waszyngtońskiej filii sieci telewizyjnej.

– Powiedziałbym ci, Esperanzo, gdyby ta rozmowa rzeczywiście się odbyła, a ponieważ dzisiaj w ogóle się ze sobą nie kontaktowaliśmy...

– Wiem, wiem, Alex, znam to na pamięć. Następny numer, proszę.

Po kilku minutach miałem już pełną listę piętnastu nazwisk. Sześć – w tym pewnego senatora bieżącej kadencji, słynnego zawodowego futbolisty i prezesa znanej firmy konsultingowej – nie było mi obcych. Sprawa zaczynała nabierać rumieńców, i to niezdrowych. Kiedy pomyślałem, od jakiej strony ci ludzie znali Caroline, zrobiło mi się niedobrze.

Zadzwoń do Bree. Rozpoznała jeszcze dwa nazwiska. Jedno należało do partnera w Brainard & Truss, związanej z Kapitołem firmie od politycznego PR; okazało się też, że Randy Varrick, rzecznik prasowy burmistrza, to kobieta.

– Coraz gorzej to pachnie – stwierdziła Bree. – To bardzo wysoko postawieni ludzie i obawiam się, że dadzą zdecydowany odpór.

– A niech dają – powiedziałem. – Przygotujemy się na to. No, raz kozie śmierć, dzwonię pod pierwszy numer. Osobiście.

## Rozdział 18

Tych bardzo wysoko postawionych ludzi było wielu. O co tu chodziło i dlaczego doprowadziło do śmierci Caroline Cross? Do czego jeszcze może doprowadzić?

Drogę z Daly Building\* przy Indiana Avenue do biurowca Kanału Dziewiątego na Wisconsin pokonałem w niecały kwadrans. Nie zdążyłem nawet ochłonać. Machnąłem odznaką portierowi w holu i biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegłem schodami na drugie piętro. Na ścianie za plecami recepcjonistki wisiały duża cyfra 9 oraz wielkoformatowe zdjęcia wszystkich członków zespołu redakcyjnego stacji.

Pokazałem recepcjonistce odznakę i wymierzyłem palec w jedno ze zdjęć.

– Ja do niego.

Nie spuszczając ze mnie oczu, wdusiła jakiś przycisk.

– Judy? Mam tu oficera policji, który chce się widzieć z Ryanem?

Zakryła, dłonią mikrofon i zwróciła się do mnie:

– W jakiej sprawie?

– Niech mu pani powie, że jeśli w ciągu dwóch minut nie znajdę się z nim oko w oko, to z najwyższą rozkoszą podzielę się tą informacją z każdym, kto mi się nawinie.

Dziewięćdziesiąt sekund później, minawszy wejście do studia dziennika, maszerowałem już korytarzem z przeszklonymi pomieszczeniami biurowymi po obu stronach, prowadzony gdzieś w głąb. Czekający na mnie Ryan Willoughby wyglądał tak, jakby miał za mocno zaciśnięty krawat. Widziałem go dziesiątki razy prowadzącego wiadomości, ale teraz cały ten plastikowy blond wdzięk gdzieś się ulotnił.

– O co, u diabła, chodzi? – spytał, kiedy zamknąłem za sobą drzwi. – Wpada pan tutaj jak sam Eliot Ness albo, nie przymierzając, Rudolph Giuliani za swoich prokuratorskich czasów.

Wyjąłem fotografię Caroline.

– O nią chodzi – wycedziłem najspokojniej, jak potrafiłem.

Błysk w oku, który pojawił się po paru sekundach i świadczył, że ją rozpoznaje, szybko zgasł. Pozazdrościć opanowania.

---

\* Siedziba waszyngtońskiej policji.

– Ładna dziewczyna. Kto to?

– Twierdzi pan, że nigdy jej nie widział?

Roześmiał się nieszczercze, żeby pokryć zmieszanie. Kiedy się znowu odezwał, w jego głowie brzmiała już pewność siebie gwiazdy programów informacyjnych:

– Potrzebny mi prawnik?

– Znaleźliśmy w jej mieszkaniu numer pańskiego telefonu. Została zamordowana.

– Przykro mi to słyszeć. Mój numer nietrudno zdobyć. Mnóstwo osób go ma.

– Mnóstwo dziewcząt do towarzystwa? – podchwyciłem.

– Słuchaj pan, nie wiem, co mi pan tu próbuje imputować, ale zapewniam, że najwyraźniej zaszła jakaś pomyłka.

Celebryta, nie celebryta, ten facet był teraz dla mnie zwyczajną łajzą. Widziałem wyraźnie, że mało go wzrusza Caroline i to, co ją spotkało.

– Miała dwadzieścia cztery lata – powiedziałem.

Ponownie pokazałem mu fotografię.

– Ktoś ją pogryzł. Przed zamordowaniem została prawdopodobnie zgwałcona. Potem jej zwłoki przepuszczono przez rębak do drewna. To, co z niej zostało – jej szczątki – znaleźliśmy w plastikowym worku w bagażniku samochodu jakiegoś szeregowego członka mafii.

– Co pan mi tutaj... Dlaczego pan mi to opowiada? Nie znam tej dziewczyny.

Spojrzałem na zegarek.

– Zaproponuję ci pewien układ, Ryan. I dam trzydzieści sekund do namysłu. Mówisz mi tu i teraz, od kogo dostałeś na nią namiary, i wykreślam twoje nazwisko z listy osób objętych dochodzeniem. O ile oczywiście nie masz na sumieniu czegoś gorszego niż korzystanie z usług agencji towarzyskich.

– To groźba?

– Dwadzieścia sekund.

– Nawet gdybym miał coś na ten temat do powiedzenia, to skąd mógłbym mieć pewność, że jest pan tym, za kogo się podaje?

– Znikąd. Piętnaście sekund.

– Wie pan co, detektywie, idź pan do diabła.

Ręka mnie świerzbiała, ledwo nad sobą panowałem. Willoughby chyba to wyczuł, bo się cofnął.

– Tam są drzwi. Sam pan przez nie wyjdzie czy mam panu pomóc?

Oczekałem, aż upłynie pełne trzydzieści sekund.

– Wystąpisz w wiadomościach, Ryan – warknąłem. – I wierz mi, że nie w roli prowadzącego.

## Rozdział 19

Chatę Remy'ego Williamsa od reszty świata oddzielało ponad trzydzieści kilometrów gęstej, starej wirginijskiej kniei. Miał w tej dziewiczej głuszy tyle prywatności, ile dusza zapragnie. Można było sobie krzyczeć przez całą noc, a i tak nikt by nie usłyszał.

Nie żeby często tu krzyczano czy w jakiś inny sposób hałasowano. Remy nie cierpiał odstawiać fuszerki i sumiennie przykładał się do swojej roboty.

Zamiatania.

Nie cierpiał też niespodzianek – takich jak te jasne, rozkolebane światła reflektorów, które wieczorem, zaraz po zmroku, zaświeciły mu w okno chaty.

W trymiga był już na zewnątrz z jednym z trzech remingtonów 870, które trzymał właśnie na takie okazje – wizyty nieproszonych gości. Przywarł do bocznej ściany chaty i złożył się do strzału, biorąc na muszkę ciemnego sedana, który zatrzymywał się przed frontem.

Rozpoznał w ciemnościach markę. Pontiac – czarny albo granatowy.

Z wozu wysiadło dwóch mężczyzn.

– Jest tu kto? – zawołał jeden.

Remy znał ten głos, ale remingtona jeszcze nie opuszczał.

– Wy tu czego? – odkrzyknął. – Nie było telefonu, że przyjedziecie.

Majaczące w ciemnościach sylwetki mężczyzn odwróciły się w jego stronę.

– Daj se siana, Remy. Mamy ptaszka.

– Żywy?

– Żywy, żywy, tylko co to za życie.

Remy wysunął się powoli zza węgła, wszedł na werandę, odstawił remingtona, podniósł z podłogi latarnię na baterie i włączył ją.

– A co z nią? Tą, co nawiała?

– Ją też dorwiemy – zapewnił go ten wesołkowaty, biały.

Remy nie znał i nie chciał znać ich imion. Ale wiedział, że pierwsze skrzypce gra ten drugi, śniadawy. Mruk, a przy tym kawał zakapiora.

Podszedł do samochodu i zastukał latarnią w klapę bagażnika.

– Koniec trasy.

## Rozdział 20

Gówniarz w bagażniku był nagi jak noworodek, zaplątany w powalane ziemią prześcieradło. Usta miał zaklejone dwiema warstwami taśmy samoprzylepnej. Na widok Remy'ego zaczął się wić, tak jakby szukał w bagażniku nory, do której by się dało wpełznąć.

- Czemu on, kurde, goły jak święty turecki? Gdzie ubranie?
- Różną akurat jakąś panienkę, kiedy go przydybaliśmy.
- A ona...?
- Załatwiona.
- Uuu. Ją też trzeba było mi przywieźć.

Remy odwrócił się znowu do szczyła i ten znieruchomiał. Oczy mu tylko latały jak te dwie meksykańskie fasolki.

- Widzieliście szurka jaki spietrany?

Remy nachylił się, wywlókł chłopaka z bagażnika i obrócił twarzą do dwudziestoletniego rębaka do drewna widocznego w światłach reflektorów.

– No, już wiesz, po co tu jesteś, w szczególności nie będę się wdawał – powiedział. – Teraz zdradź mi tylko jedno, ale przedtem dobrze się zastanów. Opowiadałeś komuś o tym miejscu? Wyrwało ci się coś kiedyś?

Chłopak pokręcił głową energiczniej, niż to było konieczne – nie, nie, nie, nie, nie.

- Na pewno, synku? Chyba byś mi nie cygańił? Dobrze mówię?

Głowa zmieniła kierunek i zaczęła z zapalem potak-tak-tak-takiwać.

Remy parsknął śmiechem.

- Patrzta! Całkiem jak ten durny kiwaczek. Nadałby się wam na deskę rozdzielczą.

Ugiął nogi w kolanach, żeby się znaleźć twarzą w twarz z chłopakiem, i położywszy mu dłoń na głowie, zaczął nią na przemian to kiwać w górę i w dół, to kręcić na boki, zaśmiewając się przy tym do rozpuku.

- Tak, tak, tak... nie, nie, nie... tak, tak, tak...

W pewnej chwili zdecydowanym ruchem przekręcił głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Dał się słyszeć suchy trzask i chłopak zwałił się na ziemię jak zepsuta kukielka.

– Co, już? – zachnął się jeden z mężczyzn. – To my ci go specjalnie dowozimy żywego, a ty mu tak po prostu skręcasz kark?

– Czasem mnie coś takiego najdzie. – Remy zachichotał. – Słyszeliście, jak ładnie chrupnęło?

Mężczyźni z politowaniem pokręcili głowami nad poziomem skretynienia tego prymitywa, ale Remy wziął ich reakcję za podziw dla profesjonalizmu, jakim się przed chwilą wykazał.

– To co, chłopaki, znajdziecie na jednego? Prima sort berbeluchę mam w kredensie.

– Nie, na nas już czas – odezwał się ciemnoskóry duch. – Ale dzięki za zaproszenie. Może innym razem, Denny.

– Jak uważacie. No problema.

Tak naprawdę to nie miał w chacie ani kropli alkoholu. Jedynym napojem, jakim raczył się Remy, nie licząc butelkowanej wody mineralnej, którą kupował skrzynkami, była parzona na słońcu mrożona herbata, którą sobie z tej wody czasami przyrządzał. Alkohol zatruwał organizm. Tak czy owak, lubił odstawiać głupszego niż jest przed tymi dwoma nadętymi kutasami. Niech sobie myślą o nim, co chcą.

Z tym swoim dostrzeganiem wszystkiego i niczego zarazem byli typowymi rządowymi psami. A wystarczyło, by się tylko trochę lepiej przyłożyli, a połapaliby się, że są na cenzurowanym, skapowali, o co tu biega.

– I jeszcze jedno – dorzucił. – Nie chcę tu więcej żadnych kurierów. – Czubkiem buta trącił martwego chłopaka. – Widzita, że to się nie sprawdziło. Od teraz sam się będę zajmował zamiataniem.

– Dobra. Jest twój.

Odjechali, nie pomachawszy mu nawet na pożegnanie. Remy pomachał, potem odczekał, aż pomruk silnika ucichnie w oddali, i zabrał się do pracy.

Gówniarz był chudy jak szczapa, sama skóra i kości, i zachodu ze wstępnym rozkawałkowaniem było nie więcej niż przy dziewczynie. Dwa cięcia na kolana, dwa na miednicę, dwa na ramiona i jedno na szyję. Potem jeszcze jedno długie pociągnięcie przez środek chuderlawej, zapadniętej klatki piersiowej i gotowe. Poszłoby szybciej, a i jatka byłaby mniejsza, gdyby posłużył się piłą łańcuchową albo siekierą. Ale Remy lubił mokrą robotę i wolał pracować nożem.

Przepuszczenie przez maszynę i zapakowanie do plastikowego wora nie trwało już dłużej niż dziesięć minut. Nie do uwierzenia, jak lekki wydawał się zawsze ten wór – zupełnie jakby w rębaku zostawało coś więcej niż sama tylko piana i krwawe strzępki.

Zabrał z chaty szpadel i latarkę, wrzucił wór na taczkę i pchając ją przed sobą,



ruszył w las. Kierunku nie wybierał. Gdziekolwiek spocznie ten chłopak, nikt go nigdy nie znajdzie.

– I słuch o nim na zawsze zaginął – mruknął pod nosem Remy. Pokręcił głową, pokiwał nią i się roześmiał. – Tak. Tak. Tak. Tak. Tak. Na zawsze. Tak. Tak. Tak. Tak. Tak.

## Rozdział 21

W środku nocy obudził mnie jakiś hałas. Coś na dole spadło na podłogę i się potłukło. Byłem tego niemal pewien.

Spojrzałem na zegarek. Niedawno minęła czwarta trzydzieści.

– Słyszałaś?

Bree uniosła głowę z poduszki.

– Co? Właśnie się obudziłam. Jeszcze nie zaskoczyłam.

Zerwałem się z łóżka i zacząłem wciągać spodnie od dresu.

– Co się stało, Alex?

– Jeszcze nie wiem. Idę zobaczyć. Zaraz wracam.

Zatrzymałem się w połowie schodów i nadstawiłem ucha. Cisza. Na zewnątrz już dniało, ale w domu wciąż było ciemno.

– Nana? – zawołałem cicho, prawie szeptem.

Żadnej odpowiedzi.

Bree wyszła z sypialni i przystanąła u szczytu schodów kilka stopni nade mną.

– No i co?

Pozostawiając jej pytanie bez odpowiedzi, zszedłem na sam dół. Z frontowej sieni widziałem kuchnię.

Drzwi lodówki były otwarte, w słabej poświacie sączącej się ze środka ujrzałem leżącą na podłodze Nanę. Nie ruszała się.

– Bree! Dzwon na dziewięćset jedenaście!

## Rozdział 22

Nana leżała na boku. Była w swoim ulubionym starym szlafroku i laczkach. Na podłodze wokół niej walały się skorupy rozbitej miski, ona sama twarz miała wykrzywioną cierpieniem.

– Nana! Słyszysz mnie? – zawołałem, wpadając do kuchni.

Przykląknęłam i zbadałam jej tętno.

Ledwie wyczuwalne, ale było. Moje waliło jak szalone.

Błagam, nie. Nie teraz. Nie w taki sposób.

– Alex, masz! – Wbiegła Bree i podała mi telefon.

– Tu dziewięć-jeden-jeden, w czym możemy pomóc?

– Moja babcia upadła. Właśnie znalazłem ją nieprzytomną na podłodze. – Przesunąłem wzrokiem po twarzy, rękach, nogach Nany. – Obrażeń nie widzę, ale nie wiem, w jakich okolicznościach się przewróciła. Ma bardzo słabe tętno.

Bree ze wzrokiem utkwionym w kuchenny zegar mierzyła Nanie puls, a ja dyktowałem dyspozytorce nazwisko i adres.

– Już wysyłam tam ambulans. Do jego przybycia niech pan pilnuje, żeby nie ustała akcja oddechowa, ale proszę jej nie ruszać. Możliwe, że padając, doznała urazu kręgosłupa.

– Rozumiem. Nie będę jej ruszał. Już sprawdzam, czy oddycha.

Twą Nany była skierowana ku podłodze. Nachyliłem się i podsunąłem grzbiet dłoni pod jej usta. Dopiero po chwili, która zdawała się rozciągać w nieskończoność, wyczułem słabiutki ruch powietrza.

– Oddycha, ale ledwie, ledwie – rzuciłem do słuchawki. Z klatki piersiowej Nany dobiegł cichy charkot.

– Proszę się pośpieszyć. Ona chyba umiera!

## Rozdział 23

Dyspozytorka poinstruowała mnie przez telefon, jak udrożnić Nanie drogi oddechowe. Wszystko to było koszmarnie i nierealne w najgorszym do wyobrażenia znaczeniu tych słów. Postępując zgodnie z instrukcjami, namacałem miejsce pod uszami, gdzie zakrzywia się szczeka i pchnąłem ją w przód, a jednocześnie ku górze, przytrzymując kciukiem, żeby nie zamknęły się usta.

Oddech powrócił, ale był słaby i nieregularny.

– Dlaczego Nana tu leży? – usłyszałem za sobą cichy, drżący głos Alego. – Co jej się stało, tatusiu?

Obejrzałem się. Stał w drzwiach kuchennych, trzymając się framugi, tak jakby się bał, że może zostać wepchnięty wbrew swojej woli do środka.

Bree przykucnęła obok mnie.

– Ja się nią zajmę – powiedziała, kładąc dłoń na szyi Nany. Podniosłem się i podszedłem do Alego.

– Nana źle się poczuła i upadła – powiedziałem. – Ale wszystko jest pod kontrolą. Zaraz przyjedzie karetka i zabierze ją do szpitala.

– Umrze? – spytał Ali z oczami pełnymi łez.

Nie odpowiedziałem, objąłem go tylko i staliśmy tak we dwójkę w drzwiach do kuchni. Ali nie odrywał oczu od Nany.

– Tatusiu?

Obejrzałem się. W korytarzu stała Jannie. Była jeszcze bardziej wstrząśnięta i przejęta niż jej brat. Skinąłem na nią, żeby podeszła, i już we trójkę czekaliśmy na karetkę.

Kiedy usłyszeliśmy wreszcie nadjeżdżający na sygnale ambulans, nie wiedzieć czemu, zrobiło mi się jeszcze ciężiej na duszy.

Ratownicy medyczni zbadali Nanę pod kątem funkcji życiowych i podali jej tlen.

– Jak ma na imię? – spytał mnie jeden z nich.

– Regina. – To słowo z trudem przeszło mi przez ściśniętą krtań. Imię to znaczy „królowa” i Nana jest nią dla nas.

– Regino! Słyszysz mnie? – Sanitariusz ucisnął jej knykciami mostek, ale się nie poruszyła. – Nie reaguje na ból. Zmierzmy tętno.

Udzielając Nanie pierwszej pomocy, zadawali mi pytania. Czy bierze jakieś leki? Czy jej stan zmienił się od czasu, kiedy zadzwoniliśmy na 911? Czy miała problemy z sercem.

Przez cały ten czas obejmowałem Alego, żeby wiedział, że jestem przy nim, ale i vice versa. Jannie też mnie nie odstępowała.

Ratownicy podłączyli Nanie kroplówkę, założyli jej kołnierz ortopedyczny i wsunęli pod nią ortopedyczną deskę. Jannie ukryła twarz w moim boku i rozszlochała się cicho.

Alemu znowu łzy potoczyły się po policzkach. Tak samo Bree. Sanitariusze przenieśli drobne ciało Nany na nosze. Przybici i przestraszeni powlekliśmy się za nimi przez jadalnię i salon do drzwi frontowych.

Bree, która znikła na chwilę, dogoniła nas tam i podała mi komórkę, koszulę i buty. Odciągnęła ode mnie Alego, otoczyła ramieniem Jannie. Ich twarze były jak lustra odbijające wszystko, co się we mnie kotłowało.

– Jedź z Naną, Alex. My pojedziemy za wami samochodem.

## Rozdział 24

Gabe Reese, splótnięty ciasno ręce na piersiach, przechadzał się nerwowo po holu Zachodniego Skrzydła. Jeszcze nigdy nie czuł się aż tak nieorientowany w temacie, tak niedoinformowany, tak przytłoczony pieprzoną tajemniczością tego wszystkiego. Ma do dyspozycji tyle środków, ale jak ich tu użyć, skoro nie wie, z czym ma do czynienia?

Czekał na wiceprezydenta, żeby porozmawiać z nim o Zeusie, o poczynionych dotychczas ustaleniach, tudzież o tym, jaki bezprecedensowy skandal może ta sprawa wywołać. Dzisiaj między godziną 12.30 a 13.00 Tillman miał w planie wystąpienie na zjeździe krajowego związku właścicieli małych firm w Convention Center. To niespełna dwa i pół kilometra stąd, samochodem jakieś pięć minut drogi. Reese zamierzał wykorzystać ten czas co do sekundy.

Punktualnie o 12.20 wiceprezydent wmaszerował do holu. Towarzyszyli mu Dan Cormorant z Secret Service oraz zastępca dyrektora biura prasowego.

W pewnej odległości za nimi postępowali dwaj asystenci z kancelarii oraz jeszcze jeden agent Secret Service. Zwyczajowa świta, demonstracja władzy i arogancji.

Tillman zdziwił się, widząc Reese'a z nieodłączną fedorą w ręku.

– Gabe, ty też na ten spęd?

– Owszem, panie wiceprezydencie. Jak mógłbym przegapić takie wydarzenie? Uronić choćby słówko. Choćby jedno drgnienie powieki.

– Okay. Okay. Ruszajmy.

Wyszli na zewnątrz, gdzie czekała już wiceprezydencka limuzyna marki Cadillac, dwa czarne suburbany i trzech policjantów na motocyklach z pracującymi silnikami. Kiedy wiceprezydent wsiadał do cadillaca, Reese położył dłoń na ramieniu Cormoranta.

– Musimy porozmawiać na osobności, Dan.

Rozdrażniony agent skrzywił się, ale rzucił do swojego zastępcy:

– Bender, ty do wozu towarzyszącego. Ja tu sobie poradzę.

– Tak jest.

– Wiesz, że to znajdzie się w raporcie – zwrócił się Cormorant do Reese'a, kiedy odprawiony agent nie mógł już tego usłyszeć.

– A właśnie, że się nie znajdzie – mruknął Reese.

Coś niebywałego, ten Reese już sam siebie przechodzi! Wzburzony Cormorant wsiadł za wiceprezydentem i Reese'em, do limuzyny, wydał przez krótkofalówkę komendę „ruszaj” i kolumna pojazdów potoczyła się w kierunku Piętnastej Ulicy.

## Rozdział 25

Napięty harmonogram zajęć wiceprezydenta sprawił, że zacisze gabinetu musiała im dzisiaj zastąpić limuzyna z zasuniętą szybą działową i przyciemnianymi, kuloodpornymi szybami we wszystkich oknach.

Reese zaczerpnął tchu i bez zbędnych wstępów zaczął referować swoje dotychczasowe ustalenia. Po pierwsze, sprawą zajmują się już od pewnego czasu FBI oraz policja metropolitalna – w każdym razie wszczęli niedawno śledztwo w sprawie kilku morderstw, których ofiarami padły prostytutki, obojga płci zresztą. Na trop Zeusa jeszcze nie natrafili. O ile w ogóle istnieje jakiś Zeus.

– No i słyszę, że przybył nam jeszcze jeden problem. – Tu Reese spojrzął na agenta Secret Service siedzącego na składanym krzeselku. – Mówi ci coś nazwisko Alex Cross, Dan?

– To detektyw z policji metropolitalnej, specjalizuje się w zabójstwach ze szczególnym okrucieństwem, seryjnych morderstwach. Chodzi ci o to, że prowadzi dochodzenie w sprawie jednego z interesujących nas morderstw? – Cormorantowi powieka nawet nie drgnęła. – Wiemy o tym. Mamy go pod obserwacją.

– A ja muszę się o tym dowiadywać własnymi kanałami. Dlaczego?

Cormorant odliczył na palcach zalecenia wiceprezydenta.

– Żadnych telefonów, żadnych e-maili, pamiętasz? Informuję cię, kiedy mam coś naprawdę istotnego, Gabe. Nie będę ci zwracał głowy jednym detektywem.

– Przestańcie – wtrącił się wiceprezydent. – Co z tym Zeusem, Dan?

– Tylko zwięźle – ponaglił Cormoranta Reese. Zbliźali się już do K Street, jak na złość mniej niż zwykle zatłoczonej.

– To nie takie proste. Możliwych tropów jest wiele i nie wiadomo, który podjąć. W rozmowach przechwyconych przez nasz nasłuch elektroniczny powtarza się nazwa pewnego prywatnego klubu w Wirginii. To bardzo dyskretne miejsce schadzek. Mówiąc wprost, agencja towarzyska, panie wiceprezydencie. Podejrzewamy, że Zeus tam bywa. To bardzo prawdopodobne. I wciąż nasuwa się skojarzenie z Białym Domem, a ściślej z rządem, ale może to przez ten kryptonim Zeus. Mam nadzieję, że tylko dlatego.

Nachmurzony Tiliman nachylił się do agenta.

– I to wszystko? Tyle tylko działaliście?



– Tu w grę wchodzi morderstwo. Takie sprawy same się zwykle nie rozwiązują. Klub nazywa się Blacksmith Farms. Mamy nazwiska kilku jego klientów. Należy do mafii.

– Dlaczego tak trudno zidentyfikować tego Zeusa? – warknął Tillman.

– Przykro mi, panie wiceprezydencie, ale nie mogę zbyt nachalnie zaglądać pod kamienie, bo to zwróciłoby uwagę. Nie mamy nawet stuprocentowej pewności, że Zeus rzeczywiście bywa w tym klubie. To tylko przypuszczenia, nic pewnego.

– Przypuszczenia – prychnął Reese. Mętne tłumaczenia Cormoranta działały mu na nerwy. – Kto oprócz nas wie?

– Dwaj starsi agenci z Centrum Operacji Połączonych i jeden oficer wywiadu, ale bez obawy. Wszystko pod kontrolą. Tego, że w dochodzenie zaangażowany jest urząd wiceprezydenta, nawet się nie domyślają. – Cormorant rzucił Reese'owi kolejne spojrzenie spode łba. – Spokojnie, Gabe. Nerwy nic tu nie pomogą. Zwijamy się jak w ukropie, ale śladów do sprawdzenia jest masa. No i te okoliczności. Gorsze by już być nie mogły.

A żeby cię pokręciło, miał na końcu języka Gabe, ale obecność wiceprezydenta powstrzymała go od wypowiedzenia tych słów na głos. Tak czy owak, sytuacja miała zadatki na przerodzenie się w skandal, jakiego Waszyngton od lat nie widział. Seryjny morderca związany z rządem albo powiązany z Białym Domem?

– Panie wiceprezydencie, radzę – do odwołania – opatrywać wszystkie raporty tej komórki Secret Service gryfem poufności.

– Panie wiceprezydencie, każde polecenie opatrzenia gryfem poufności nanosi wyraźny odcisk pańskiego palca dokładnie tam, gdzie nie chciałby go pan pozostawić – wtrącił Cormorant.

– Ale jednocześnie gwarantuje, że dana informacja staje się kompletnie niedostępna – odparował Reese.

W takich jak ten wypadkach Tillman był upoważniony nie tylko do podejmowania decyzji bez wiedzy Biura Ochrony Białego Domu, ale również do obchodzenia ustawy o swobodnym dostępie do informacji.

– Właśnie. – Tillman kiwnął głową. Argument szefa personelu trafił mu do przekonania. – A co z tym detektywem, tym Crossem? – spytał. – Trzeba mieć się przed nim na baczności?

Cormorant zastanawiał się przez chwilę.

– Trudno orzec, dopóki na coś nie natrafi. O ile w ogóle natrafi. Mam go na oku i w razie czego powiadomię pana...

– Nie mnie – uciął Tillman. – Gabe’a. Od tej chwili kontaktujesz się ze mną wyłącznie poprzez Gabe’a.

– Rozumiem.

Reese przyłapał się na tym, że machinalnie przygląda sobie włosy. Dojeżdżali już do Convention Center; trzeba było podsumować jakoś tę rozmowę.

– Czy jest jeszcze coś, czego nie wiem, a powinienem? – spytał. – Coś, co postanowiłeś zachować dla siebie? Na przykład kim jest ten Zeus?

Cormorant poczerwieniał, ale powiedział tylko:

– No, jesteśmy na miejscu, panie prezydencie.

## Rozdział 26

Nana żyła. I tylko to się liczyło; to w tej chwili było dla mnie najważniejsze. Wiadomo nie od dziś, że w obliczu straty kogoś bliskiego zaczyna nam na tym kimś zależeć bardziej niż kiedykolwiek.

Przeszedłem prawdziwe piekło, czekając w szpitalu na jej powrót z oddziału ratunkowego. Siedziałem kilka godzin na sterylnym, skąpanym w blasku świetlówek korytarzu, a przez moją głowę przewijał się korowód wszelkich możliwych do wyobrażenia najgorszych scenariuszy – takie zawodowe skrzywienie. Próbowałem wspominać Nanę z czasów, kiedy miałem dziesięć lat, a ona zastępowała mi już rodziców.

Kiedy wywieźli ją w końcu z izby przyjęć, z serca spadł mi wielki głaz. Do szpitala trafiła nieprzytomna i nie było żadnych gwarancji, że ujrzę ją jeszcze żywą.

Ale żyła, a na dodatek mogła mówić.

– A to wam strachu napędziłam, co?

Głosik miała słaby, świszczący i kiedy siedziała tak na szpitalnym łóżku na kółkach, wydawała mi się jeszcze drobniejsza niż w rzeczywistości, ale była już całkiem przytomna.

– Niewąskiego – przyznałem.

Wyściskałbym ją, ale bałem się, że znowu wyduszę z niej życie. Poprzestałem na cmoknięciu w policzek.

– Witaj z powrotem, staruszko – szepnąłem jej do ucha.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze jest wrócić z dalekiej drogi. A teraz chodźmy stąd!

## Rozdział 27

Kiedy Nana zadomowiła się już w swojej szpitalnej salce, zajrzała do nas kardiolog, doktor Englefield. Wyglądała na jakieś pięćdziesiąt lat, a na jej twarzy spod zawodowej beznamiętności malującej się tam zwykle u specjalistów przeziarał cień troski.

– Pani Cross – powiedziała, przeglądając kartę choroby Nany – zdiagnozowano u pani zastoinową niewydolność serca. Oznacza to, że pani serce nie pompuje do organizmu tyle krwi, ile powinno, co skutkuje niedoborem tlenu oraz środków odżywczych i najprawdopodobniej stąd to zasłabnięcie dzisiaj rano.

Nana kiwnęła obojętnie głową i zapytała:

– Kiedy będę mogła wyjść ze szpitala?

– Za jakieś cztery do pięciu dni. Przede wszystkim muszę ustawić pani leki na ciśnienie, a potem się zobaczy.

– Oj, to już w domu się zobaczy, pani doktor.

Englefield roześmiała się tylko i wyszła. Ledwie drzwi się za nią zamknęły, Nana zwróciła się do mnie:

– Musisz to załatwić z kimś innym, Alex. Ja chcę do domu.

– Poważnie? – spytałem, starając się obrócić to w żart.

– Jak najpoważniej. – Zamachała niecierpliwie ręką, żebym robił, co mówi. – No idź. Załatwiał.

Sytuacja robiła się dla mnie niezręczna. Nigdy dotąd nie sprzeciwiałem się w niczym Nanie, a teraz nagle musiałem to uczynić.

– Myślę, że w tym wypadku lepiej będzie, jeśli posłuchamy pani doktor – powiedziałem. – Jeśli kilka nocy przespanych w szpitalu ma zmniejszyć prawdopodobieństwo powtórki z dzisiejszego poranka, to ja jestem za.

– Nie słuchasz, co do ciebie mówię, Alex. – Głos jej stwardniał, chwyciła mnie za nadgarstek. – Nie zamierzam przeleżeć ani jednego dnia na szpitalnym łóżku, słyszysz? Odmawiam. Mam do tego prawo.

– Nano...

– Nie! – ucięła i wycelowała we mnie drżący palec. – I nie tym tonem, proszę. Albo zaraz robisz, co każę, albo wstaję i robię to sama. Znasz mnie, Alex.

Strasznie się czułem, stojąc tak na przedłużeniu jej palca. Nana z jednej strony żądała, z drugiej błagała, żebym jej posłuchał.

Przysiadłem na skraju łóżka i nachyliłem się do niej.

– Nano – powiedziałem, zamykając oczy – bądź rozsądna. Odpoczniesz tu sobie, wydobrejesz. Musisz. Zachowuj się.

Tymi samymi słowami przywoływała mnie do porządku ona, kiedy miałem dziesięć lat i byłem niegrzeczny. Zachowuj się.

Usłyszałem szelest poduszki, na którą opadła, a potem w salce zaległa kompletna cisza. Otworzyłem oczy i ujrzałem na jej policzkach łzy.

– A więc to tak? Tutaj umrę?

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem przy łóżku. Później będę na nim spał.

– Nikt tu dzisiaj nie umrze – powiedziałem.

# Część druga

---

## Ogień z ogniem

## Rozdział 28

Tony Nicholson był już wystarczająco podminowany, żeby nie powiedzieć wnerwiony, a tu jeszcze ten przewrócony ciągnik siodłowy z naczepą na wylotówce z miasta. Teraz już jak nic się spóźni. Do Blacksmith Farms dotarł po 21.30, niespełna pół godziny przed mającymi się tu dzisiaj zjawić ważnymi gośćmi. Z tym specjalnym na czele.

Opuścił szybę i nie wysiadając z samochodu, wdusił przycisk bramofonu.

– Tak? – odezwał się kobiecy głos. Kulturalny. Zaciągający z brytyjska. Jego asystentka Mary Claire.

– To ja, M.C.

– Dobry wieczór, panie Nicholson. Spóźnił się pan nieco.

Powiedziała, kurwa, co wiedziała, pomyślał z irytacją Nicholson.

Brama rozsunęła się i z powrotem zasunęła za jego caymanem S.

Długi podjazd biegł około półtora kilometra otwartą przestrzenią, potem przecinał orzechowo-dębowy las i kończył się przed głównym budynkiem. Nicholson wstawił caymana do starej wozowni i wszedł do domu przez tarasowe drzwi od strony patio.

– Jestem już, jestem, przepraszam.

Hostessa na ten wieczór, trynidadzka piękność o imieniu Esther, układała na chippendalowskim stoliku w foyer oprawione w skórę katalogi dla gości.

– Coś niecierpiącego zwłoki? – spytał. – Jakież niespodziewane problemy w związku z dzisiejszym wieczorem?

– Nic z tych rzeczy, panie Nicholson. Wszystko w najlepszym porządku. – Esther miała cudownie ciepły sposób bycia, który Nicholson uwielbiał. Teraz też z miejsca lepiej się poczuł. – Bollinger<sup>\*</sup> się mrozi, Flor de Farach<sup>\*\*</sup> w humidorach<sup>\*\*\*</sup>, dziewczęta śliczne i odpowiednio poinstruowane, a pan ma... – wyciągnęła z kieszeni zegarek; w domu nie było zegarów – ...co najmniej dwadzieścia minut do przybycia naszych pierwszych gości. Dzwonili już. Będą na czas. Sprawiali wrażenie... nastawionych entuzjastycznie.

---

\* Gatunek szampana.

\*\* Gatunek cygar.

\*\*\* Specjalne pudełka do przechowywania cygar.

– No to dobrze. Doskonale. W razie czego wiesz, gdzie mnie szukać.

Nicholson zrobił szybki obchód parteru, po czym wspiął się po schodach na piętro. Wystrój foyer i w ogóle całej tej kondygnacji imitował do złudzenia angielski klub dla dżentelmenów – mahoniowa boazeria, mosiężne okucia barków i zatrzesienie absurdalnie drogich antyków. Jego ojciec w angielskim, nieprzyzwoicie klasowym społeczeństwie mógł tylko pomarzyć o znalezieniu się w takim miejscu. Nicholson pochodził z Brighton, wywodził się z klasy robotniczej, ale ów nieciekawy etap życia miał już dawno za sobą. Tutaj był królem. A przynajmniej pretendentem do tronu.

Wstąpił na główne schody prowadzące na drugie piętro. Na antresoli kilka ślicznych, eleganckich i seksownych dziewcząt czekało w pełnej gotowości na pierwszych klientów, tak zwanych wcześniaków.

Siedziały na niskich sofach, podłoga wokół zarzucona była wygodnymi poduchami, każde stanowisko miało zasłonę, którą można było w każdej chwili zaciągnąć, jeśli partner sobie tego życzył.

– Witam panie – powiedział Nicholson, lustrując je okiem znawcy. – Tak, tak, bardzo dobrze. Wspaniale się prezentujecie, wszystkie, pod każdym względem.

– Dziękujemy, Tony – odpowiedziały chórem. Katherine, a jakże, głośniejsze od koleżanek. Niebieskoszare oczy dziewczyny zawsze spoczywały na jego nordyckich rysach nieco dłużej niż oczy reszty dziewczyn. Chętnie poszłyby z szefem na całość.

Nicholson nachylił się do jej ucha i przebijając w palcach kraj ażurowej mini, szepnął:

– Tylko ta twoja kiecka nie taka, Kat. Kurwa wyglądająca na kurwę to dla nas obsuwa, prawda?

Patrzył z satysfakcją, jak ta piękna dziewczyna usiłuje zachować na twarzy promienny uśmiech – myślałby kto, że usłyszała od niego nie wiadomo jaki komplement.

– Muszę do łazienki – odszepnęła, podnosząc się z sofy.

Upewniwszy się, że wszystko inne jest zapięte na ostatni guzik, Nicholson zaszył się w swoim biurze na drugim piętrze. Była to jedyna strefa domu, do której nie mieli wstępu ani goście, ani służba.

Nalał sobie kieliszek bollingera – prezentu, jaki sam sobie sprawił na konto klientów, siedemset dolarów butelka – i usiadł. Miał dzisiaj piekielny dzień; nareszcie odpocznie.

No, nie tak do końca, ale przynajmniej z bollingerem.

Na biurku przed nim stały dwa duże płaskie monitory. Włączył system i wklepał z klawiatury długie hasło.



Jeden z dwóch ekranów wypełnił się rzędami okienek.

Na pierwszy rzut oka przypominały miniaturowe martwe natury, każda przedstawiająca obraz z innej strefy domu – foyer, antresola, pokoje gościnne, salony masażu, loch, salki projekcyjne. Było ich w sumie trzydzieści sześć.

Nicholson zatrzymał wzrok trochę dłużej na tej, która przedstawiała dwulicową Katherine w jednej z przebieralni. Dziewczyna była w samych figach, duże piersi dyndały powabnie, poprawiała sobie w lustrze rozmazany przez łyzy makijaż. Katherine, choć piękna, była pomyłką – za ambitna, za sprytna – ale nie ona była teraz jego priorytetem.

Kliknął na okienku podglądu na podjazd przed domem i to wypełniło cały ekran sąsiedniego monitora. Zegar u dołu zaczął odliczać czas.

Kliknął jeszcze raz na czerwonym trójkątku „zapis” w narożu ramki.

Nadjeżdżały właśnie pierwsze samochody. Wielkie rżnięcie czas zacząć.

– Oj, polecą wióry. W przenośni i dosłownie. Co się tylko zamarzy tym złamanym kutasikom.

## Rozdział 29

Pół godziny przed północą impreza w drogiej, ekskluzywnej Blacksmith Farms szła już pełną parą. Zajęte były wszystkie pokoje gościnne, saloniki masażu, loch, nawet antresola buzowały wyuzdanym seksem i całą tego otoczką – dziewczyna-facet, dziewczyna-dziewczyna, facet-facet, dziewczyna-facet-dziewczyna, klient nasz pan.

Dom został dzisiaj zarezerwowany na wieczór kawalerski: pięciu ładnych chłopców do towarzystwa, trzydzieści cztery dziewczyny, dwudziestu jeden bardzo napalonych gości, należność w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów wpłynęła już na konto klubu.

Gospodarza wieczoru – i družbę w jednej osobie – Nicholson dobrze znał: Temple Suiter, partner w jednej, z najbardziej prestiżowych i wpływowych kancelarii prawniczych Waszyngtonu, reprezentującej między innymi Radę do spraw Rodziny i saudyjską rodzinę królewską, a także członków poprzedniej administracji Białego Domu.

Nicholson odrobił pracę domową, jak zawsze zresztą.

Benjamin Painter, żegnający się dzisiaj z wolnym stanem kawaler, wżeniał się w jedną z najznamienitszych rodzin Waszyngtonu. Za tydzień będzie nazywał starszego senatora z Wirginii „tata”, a jedną z najukochańszych ofiar chirurgii plastycznej Waszyngtonu „mama”. Chodziły też słuchy, że sam przymierza się do ubiegania o senatorski fotel. Wszystko to razem wzięte czyniło pana Paintera tłustym kąskiem – przynajmniej z punktu widzenia Nicholsona.

Właśnie w tej chwili przyszedł pan młody, tudzież senator, siedział rozwalony w fotelu klubowym w pokoju A. Dwie najmłodsze, najładniejsze i najbezpieczniejsze dziewczyny, Sasha i Liz, rozbierały powoli jedna drugą na łóżku, podczas gdy nowa, Ana, obsługiwała go przez bawełniane japiszońskie bokserki. Cała trójka dziewcząt wyglądała na podfruwajki, ale wszystkie były pełnoletnie. Od niedawna, co prawda, ale jednak. Dziewiętnastolatkom prokurator łapy już na cipce nie trzyma.

Nicholson przesunął palcem po touchpadzie, żeby wyregulować obraz. Zainstalowane w domu kamery wielkości ołówkowej gumki były bezprzewodowe, osadzone na zintegrowanych głowicach obrotowych. Tę konkretną ukryto w czujniku dymu.

Ścieżkę dźwiękową zapewniał nie większy od łebka zapalki mikrofon z wyprowadzonym przez sufit kabelkiem, zamontowany w żyrandolu bezpośrednio nad królewskim łóżem, na którym Sasha, uśmiechając się błogo i zmysłowo pojękując,

dosiadała teraz okrakiem Liz. Obie były już nagie, jeśli nie liczyć imitacji drogiej biżuterii. Ich kuse, obcisłe czarne sukienki leżały porzucone na podłodze.

W pewnej chwili Sasha sięgnęła do nocnej szafki, wysunęła szufladę i wyjęła z niej gruby, sztuczny fallus w cielistym kolorze. Pomachała nim do Benjaminu Paintera, a ten udął, że wybałusza oczy.

– Mam tym dogodzić Liz? – spytała ze wstydliwym uśmiechem. – Lubię dogadzać Liz. Naprawdę lubię.

– To jest myśl – podchwycił Ben, jakby chwalił za kreatywność aplikanta w firmie swojego ojca. – Przygotuj ją na mnie, Sasha. A ty... – Położył dłoń na głowie klęczącej przed nim Any. – Ty, Ana, się nie śpiesz. Co nagle, to po diable, dobrze mówię?

– Och, nie musisz mi tego przypominać, Benjaminie. Ja też lubię powoli.

O ile pan Painter starał się, jak mógł, żeby dostarczyć Nicholsonowi doskonałego materiału wideo do dalszej obróbki, o tyle o jego dobrym koleździe ze studiów na wydziale prawa nowojorskiego uniwersytetu, panu Suiterze, nie dało się tego powiedzieć.

Miał teraz w spa dwie z najładniejszych Azjatek, Mayę i Justine. Maya leżała na wznak w poprzek wykafelkowanego stołu do masażu, przebierając w powietrzu kształtnymi nogami, podczas gdy Suiter posuwał ją zapamiętale. Dziewczyna wydawała pomruki rozkoszy, ale wątpliwe, by naprawdę ją odczuwała. Ona i Justine od dawna ze sobą mieszkały, współżyły, a ostatnio pobrały się nawet w Massachusetts, swoim rodzinnym stanie.

Rzeczona Justine odstawiała właśnie „złoty strzał”. Stała nad Suiterem w rozkroku na lekko ugiętych nogach i przytrzymując się przytwierdzonego do sufitu pręta, załatwiała potrzebę naturalną na ramiona i plecy klienta.

Suiter posapywał w rytm kolejnych pchnięć i piskliwym z narastającego podniecenia głosem wykrzykiwał:

– O tak... Właśnie tak... Dobra dziewczynka... Kurwa, nie dziewczynka...

Nicholson przewrócił z niesmakiem oczami i wyciszył obłeśne odgłosy kopulacji. Nie musiał słuchać na żywo chrumkań tego wieprzka. Za kilka dni zmontuje z tego ładny trzydziestosekundowy spocik i prześle go panu Suiterowi do jego domowego biura. Takie śmiałe, udźwiękowane ujęcia zawsze odnosiły pożądany skutek.

Tony Nicholson wiedział z doświadczenia, że wszyscy mężczyźni skłonni płacić za obszczywanie ich w sobotnie wieczory albo nawet tylko za możliwość przelecenia kobiety, która nie będzie pytała po fakcie, o czym myślą, są zawsze – ale to zawsze – skłonni zapłacić jeszcze więcej za przywilej zatrzymania swoich wstydliwych sekrecików wyłącznie dla siebie.

Wszyscy prócz Zeusa.

## Rozdział 30

– No, co tam masz?

– Numer rejestracyjny DLY dwa dwa cztery, granatowy mercedes McLaren. Oddany w leasing niejakiemu Temple’owi Suiterowi.

– Temu prawnikowi?

– Przypuszczalnie. Kogo innego byłoby stać na taką brykę? Gościu forsy ma jak lodu.

Carl Villanovich odłożył aparat fotograficzny i przetarł energicznie oczy. Już trzecia noc z rzędu upływała mu w tym lesie na inwigilacji Blacksmith Farms i miał tego serdecznie dosyć.

Rozłożył wyjęty z plecaka statyw i zamontował na nim aparat. Będzie poręczniej. Obserwując ekran stojącego obok laptopa, nastawił zbliżenie na dom i wyregulował ostrość.

Budynek był ogromny, wzniesiony chyba z wapienia, z kolumnami od frontu sięgającymi drugiego piętra. Swego czasu zamieszkiwał go najprawdopodobniej jakiś plantator z rodziną. Na tyłach stała zaadaptowana na cele mieszkalne stodoła i kilka innych przybudówek. Okna we wszystkich były dziś wieczorem ciemne.

– Nadjeżdża jeszcze jeden.

Jego partner Tommy Skuba strzelił szybką cyfrową lustrzanką serię fotek bordowemu jaguarowi coupe, który wypadł na pełnym gazie spomiędzy drzew. Villanovich nakierował obiektyw na tablice rejestracyjne zatrzymującego się przed domem wozu.

– Macie to? – spytał.

– Mamy – usłyszał w słuchawkach.

Centrum dowodzenia znajdowało się sto dwadzieścia kilometrów stąd, w Waszyngtonie, i obserwowało wszystko w czasie rzeczywistym.

Przed wejściem nie było żadnego portiera. Nowo przybyły zaparkował i zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu prawie natychmiast wysoka, postawna czarna kobieta w połyskliwej sukni i uśmiechając się szeroko, wpuściła go do środka.

– Skuba, skup się na oknach.

– Wiem, wiem. Robię, co mogę, żeby zakasować Stevena Spielberga. Ten

jaguarowiec wygląda mi na bywalca.

Villanovich przetarł oburącz twarz, żeby odpędzić senność.

– Nie dałoby się odtrąbić fajrantu na dzisiaj? Mamy już więcej, niż trzeba, nie?

– Nic z tego – padła natychmiastowa odpowiedź z centrum. – Macie tam siedzieć, dopóki nie zaczną się rozjeżdżać.

Cichy terkot lustrzanki Skuby wypstrykującej kolejną serię zdjęć kazał Villanovichowi spojrzeć znowu na dom. Kierowca jaguara pojawił się właśnie w oknie klatki schodowej. Wchodził na górę z uwieszoną u jego ramienia dziewczyną. Piękną i czarną, ale nie tą, która go wpuszczała.

– Jezusiczku. – Skuba opuścił aparat i zasłonił dłonią mikrofon. – Widziałeś tę dupcię? Co tu kryć, trochę facetowi zazdrość.

– Nie masz czego – mruknął Villanovich, nie odrywając oczu od pustego już okna. – Tą meliną zainteresowało się Quantico. A jak oni wchodzą do gry, to umarł w butach.

## Rozdział 31

Przed wypisaniem Nany ze szpitala musiałem się jeszcze raz spotkać z doktor Englefield. W zaciszu swojego gabinetu na pierwszym piętrze szpitala St. Anthony's lekarka była znacznie bardziej zrelaksowana, rozluźniona i w ogóle bardziej ludzka.

– Ściągnęliśmy płyn z klatki piersiowej pańskiej babci i zbiliśmy ciśnienie do bezpiecznego poziomu, ale to dopiero początek. Od teraz musicie być państwo bardzo czujni. Pani Regina nie przyjmuje może tego do wiadomości, ale dziewięćdziesiąt lat to wiek, w którym każda choroba jest groźna.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziałem. – I proszę mi wierzyć, że moja babcia również.

Nana była teraz na zupełnie nowym zestawie lekarstw – inhibitory ACE, leki moczopędne i obniżające ciśnienie. Do tego zalecenie, żeby zastanowiła się nad bezsolną dietą oraz codziennie kontrolowała wagę, a to na wypadek, gdyby w klatce piersiowej znowu zaczął się zbierać płyn.

– Wiem, sporo tego jak na jeden raz – powiedziała doktor Englefield z rzadkim u niej półuśmiechem. – Ale nieprzestrzeganie tych zaleceń przez osoby z jej wadą, a zwłaszcza w tym wieku, zwiększa ryzyko zawału. Bardzo ważne, jeśli nie decydujące, jest też wsparcie ze strony rodziny.

– Proszę mi wierzyć, że ma je zagwarantowane – zapewniłem. Jannie przekopywała już Internet w poszukiwaniu informacji o zastoinowej niewydolności serca.

– Radziłabym również rozejrzeć się za kimś, kto by się nią opiekował, kiedy zarówno pan, jak i pańska żona przebywacie poza domem. – Englefield widziała Bree tylko raz, i to przelotnie; nie chciało mi się wyprowadzać jej z błędu. – Oczywiście przekonanie do tego pańskiej babci może nie być takie proste. Podejrzewam, że raczej na pewno takie nie będzie.

Uśmiechnąłem się.

– Widzę, że się pani na niej poznała. Tak, podjęliśmy już starania.

Lekarka też się uśmiechnęła.

– Pani Regina miała szczęście, że ktoś był na miejscu, kiedy zasłabła. Dobrze by było zadbać o to, żeby był również, kiedy – bo to tylko kwestia czasu – znowu do tego dojdzie.

Nietrudno było zgadnąć, dlaczego Nana nazywała ją „doktor Słonko”. Ale jeśli

doktor Słonko próbowała mnie nastraszyć, to zdecydowanie się jej to udało.

## Rozdział 32

Poszliśmy na górę do Nany oboje. Tak było bezpieczniej. W kupie siła, nieprawdaż?

– Pani Cross – powiedziała doktor Englefield – zważywszy na stan, w jakim pani do nas trafiła, jest już z panią całkiem dobrze. Ale zanim panią wypiszemy, zalecałabym pozostanie u nas jeszcze przez jedną noc.

– Zalecanie – lubię to słowo – powiedziała Nana. – Dziękuję za nie, pani doktor. I doceniam pani troskę. Ale proszę wybaczyć, mój wnuk zabiera mnie właśnie do domu. Mnóstwo roboty tam na mnie czeka. Muszę posprzątać, upiec ciasto, napisać kartki z podziękowaniami i tak dalej, i tak dalej.

Doktor Englefield wzruszyła tylko ramionami. Umywała ręce. Czterdzieści pięć minut później byliśmy już z Naną w drodze do domu.

W samochodzie Nana przypominała mi starego czekoladowego labradora, którego mieliśmy w Karolinie Północnej, na krótko przed śmiercią moich rodziców, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Rozkoszowała się prądem powietrza wpadającym przez opuszczoną szybę, obserwując przemykający za oknem świat. Czekałem tylko, kiedy zacznie cytować doktora Luthera Kinga. *Wreszcie wolni, wreszcie wolni...*

Albo może jakąś kwestię Morgana Freemana z filmu *Choć goni nas czas*.

Spojrzała na mnie i poklepała obiema rękami tapicerkę.

– Jak oni to robią, że te siedzenia są takie wygodne? Spałoby mi się na nich dużo lepiej niż na tamtym szpitalnym łóżku, mówię ci.

– Poczekaj, aż zobaczysz, jak ci urządziliśmy twój pokój – powiedziałem z kamienną twarzą.

Zachichotała i zaczęła opuszczać oparcie fotela.

– Patrz tylko.

Ale kiedy opuściła je za nisko, chichot przeszedł w suchy kaszel. Zanosila się nim tak, że aż ścisnęło mnie w dołku. Z jej płucami nie wszystko było jeszcze w porządku.

Zatrzymałem się przy krawężniku i uniosłem oparcie razem z nią do poprzedniego położenia.

Zamachała ręką, żebym dał spokój. Kaszel jej przechodził, ale mnie serce nadal biło jak szalone. Widziałem już, że z tą rekonwalescencją to nie będą przelewki.

Epizod z napadem kaszlu wydał mi się dobrym pretekstem do poruszenia



drażliwego tematu.

– Posłuchaj – powiedziałem, kiedy znowu jechaliśmy – zastanawiamy się z Bree nad zaangażowaniem kogoś do opieki...

Nana wydała nieartykułowane chrząknięcie.

– Tylko na czas, kiedy jesteśmy w pracy. Na jakieś pół dnia.

– Nie potrzebuję, żeby skakała nade mną jakaś nadopiekuńcza przybłęda i uklepywała mi poduszki. To krępujące. I kosztuje. Potrzebujemy nowego dachu, Alex, nie pielęgniarki.

– Tak, tak – mruknąłem. Spodziewałem się takiej reakcji. – Ale nie będę czuł się dobrze, zostawiając cię samą w domu. O pieniądze się nie martw.

– Ach, rozumiem. – Splotła dłonie na podołku. – Ma być tak, jak ty chcesz, to najważniejsze. Wyłazi wreszcie szydło z worka.

– Daj spokój, nie kłóćmy się. Wracasz do domu... – zacząłem i w tym momencie dostrzegłem błysk rozbawienia w jej oczach. Zwyczajnie się ze mną droczyła.

Co jeszcze nie znaczyło, że godzi się na pielęgniarkę.

– No, przynajmniej pacjentka w dobrym nastroju – powiedziałem.

– A w dobrym – przyznała Nana. Skręcaliśmy właśnie w Fifth Street. – I nikt, nawet Alex Cross Wielki, nie jest w stanie jej go zepsuć.

Po chwili dorzuciła, poprawiając się w fotelu:

– Żadnych pielęgniarek!

## Rozdział 33

Nad drzwiami wisiał sporządzony na kolanie transparent o treści: *Witaj w domu, Nana.*

Na nasz widok dzieci wybiegły przed dom. Przeciąłem im drogę i chwyciłem rozpędzonego Alego, zanim ten rzutem na szyć zdążył zbić Nanę z nóg.

– Tylko z czuciem! – zawołałem do Jannie, która już wyhamowywała.

– Och, jak my za tobą tęskniliśmy! – wywrzeszczała. – Witaj w domu, Nana! Witaj, witaj!

– Uściśnij mnie porządnie, Jannie. Nie jestem ze szkła. – Nana uśmiechnęła się i pojaśniała jak żarówka.

Ali odebrał od Nany walizkę z rzeczami i wtaszczył ją za nami po schodkach na werandę. Nana wzięła pod rękę mnie i Jannie.

W kuchni Bree rozmawiała przez telefon. Powitała Nanę szerokim uśmiechem i dała nam na migi do zrozumienia, że już-już kończy.

– Tak, proszę pana. Tak. Będę. Bardzo dziękuję! – rzuciła do słuchawki.

– Kto to był? – spytałem, ale Bree podbiegała już z otwartymi ramionami do Nany.

– Z czuciem! – zawołał Ali, co rozsierdziło Nanę.

– Nie jestem jajkiem – fuknęła. – Stare ze mnie, żylaste ptaszysko.

Kiedy Nana oświadczyła stanowczo, że ani myśli się teraz kłaść i do łóżka pójdzie tak jak „normalni ludzie”, zasiedliśmy przy kuchennym stole.

Bree odchrząknęła, jakby miała nam coś do zakomunikowania. Przesunęła wzrokiem po naszych twarzach i zaczęła:

– Moim zdaniem cały ten pomysł z angażowaniem kogoś do opieki nad Naną nie jest chyba najlepszy. Dobrze mówię?

– Mmhmm. – Nana rzuciła mi spojrzenie, z którego wyczytałem: *Widzisz? Nie tak znowu trudno mnie zrozumieć.*

– W związku z tym... zamierzam wziąć urlop i przez jakiś czas pobyc z tobą w domu, Nana. Naturalnie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Nana się rozpromieniła.

– Bardzo ci dziękuję, Bree. Dobrze to obmyślaś. Na taką opiekę się zgadzam.

– Bierzesz urlop? – spytałem trochę zaskoczony.

– Tak. W prowadzeniu śledztwa w sprawie Caroline nadal będę ci pomagała, ale wszystko inne przekazuję kolegom. Aha... Nana, mam tu coś dla ciebie. – Wstała i wzięła z kuchennej szafki plik kartek. – Znalazłam te przepisy w Internecie i wydrukowałam specjalnie z myślą o tobie. Ciekawa jestem, co o nich sądzisz. Zrobić ci herbatę?

Nana zaczęła czytać, a ja podszedłem za Bree do kuchenki. Jedno spojrzenie w jej oczy i już wiedziałem, że lepiej nie pytać o rzeczywiste powody tej decyzji. Bree robiła zawsze, co chciała, i to w dobrym tego znaczeniu.

– Dziękuję – powiedziałem cicho. – Jesteś wspaniała.

Uśmiechem dała mi do zrozumienia, że nie mam za co dziękować.

– Ja też ją kocham – wyszeptała.

– Bakłazan? – Nana pomachała jedną z przeczytanych kartek. – Bez soli nie da się przyrządzić zjadliwego bakłazana. Zwyczajnie się nie da.

– Czytajmy dalej – powiedziała Bree, podchodząc i siadając obok Nany. – Masz tu jeszcze masę innych przepisów. Co byś powiedziała o placku z raków?

– Nad plackiem z raków można by się zastanowić – orzekła Nana.

Obserwowałem je przez chwilę, jak czytają kolejne przepisy, wybuchając co chwila śmiechem, i ciepło robiło mi się na duszy. Wyglądały jak dwie dobre przyjaciółki, które znają się od dziecka. Da Bóg, że długo jeszcze takimi będą.

– Tort ponczowy z czekoladową polewą? – przeczytała Nana i uśmiechnęła się przekornie. – Masz to na swojej liście zdrowych dań? Nie? Szkoda.

## Rozdział 34

Kiedy nazajutrz zadzwonił do mnie Ned Mahoney, znajomy z FBI, i zaproponował spotkanie, nie spodziewałem się zupełnie, że będzie to miało jakiś związek ze sprawą zamordowania Caroline. Przez telefon nic mi nie powiedział. Umówiliśmy się w barku w Tysons Corner Center w McLean. Dziwne miejsce i gdyby to był ktoś inny, nabrałbym może jakichś podejrzeń, ale Nedowi ufałem bezgranicznie.

Był dość ważną postacią, kierował swego czasu ośrodkiem szkoleniowym antyterrorystów w Quantico. Teraz zajmował jeszcze ważniejsze stanowisko, nadzorując agentów operacyjnych rozsianych po Wschodnim Wybrzeżu. Współpracowaliśmy kiedyś, kiedy byłem jeszcze agentem FBI, a niedawno znowu, przy rozpracowywaniu dziwnych powiązań grupy skorumpowanych waszyngtońskich gliniarzy z brygady antyterrorystycznej z jakimiś narkotykowymi dealerami.

Usiadłem na białym plastikowym krzeselku przy różowym plastikowym stoliku naprzeciwko popijającego kawę Neda.

– Jestem ostatnio trochę załatany. Czego, psiakrew, chcesz? – spytałem z uśmiechem.

– Przejdźmy się – powiedział. Wstaliśmy. – Ja również jestem załatany. A tak przy okazji, Monnie Donnelley przesyła ci pozdrowienia.

– Też ją ode mnie pozdrów. No więc, o co chodzi, Ned? Co mają znaczyć te podchody w stylu Johna le Carré? – spytałem, kiedy szybkim krokiem opuszczaliśmy barek.

– Mam dla ciebie garść ciekawych informacji o Caroline – powiedział bez wstępów. – Jeśli mam być szczery, Alex, to nie przekazałbym ci ich, gdyby nie była twoją bratanicą. Cała ta sprawa z dnia na dzień staje się coraz bardziej podejrzana i śmierdząca.

Zatrzymałem się przed witryną księgarni z piramidą egzemplarzy nowego bestsellera Davida Sedarisa.

– Jaka sprawa? Po kolei, Ned.

Mahoney to jeden z najzdolniejszych gliniarzy, jakich znam, ale czasami informacje zbyt szybko przelatują przez jego mózg.

Ruszył dalej, jego rozbiegane oczy przeczesywały centrum handlowe. Zaczynał mi działać na nerwy.

– Nasi ludzie obserwowali pewne miejsce w Wirginii. Taki prywatny klub. Dla

VIP-ów, Alex, ludzi, którym i ty, i ja możemy naskoczyć.

– Słucham, słucham – ponagliłem go. – Chłonę każde słowo.

Spojrzał w ziemię.

– Wiesz, że twoja bratanica była, um...

– Wiem. Znam wyniki sekcji zwłok i wszystkie inne szczegóły. Widziałem ją u patologa.

Wyrzucił plastikowy kubek po kawie do kosza na śmieci.

– Całkiem możliwe, nawet prawdopodobne, że Caroline została zamordowana przez kogoś w tym klubie.

– Chwila. – Znow się zatrzymaliśmy. Zaczekałem, aż minie nas blondynka z trzema blondwłosymi pociechami i naręczem toreb z Baby Gap. – Dlaczego Biuro się tym interesuje?

– Technicznie, Alex? Ponieważ ciało było przewożone między stanami.

Pomyślałem o mafiosie, którego najpierw zatrzymano, a potem przepadł jak kamień w wodę: Johnnym Tucci.

– Mówisz o tym gnojku z Philly?

– On nas nie interesuje. Zresztą chyba już nie żyje. Alex, do bywalców tego klubu należą największe waszyngtońskie tuzy. Od paru dni sprawa ma w Biurze priorytet. Najwyższy.

– To pewnie Burn się nią zajmuje.

Ron Burns był dyrektorem FBI, a przy tym bardzo przyzwoitym facetem. Mahoney pokręcił głową; nie mógł mi tego powiedzieć wprost, ale sam się domyślałem.

– Ned, cokolwiek się dzieje, chcę tylko pomóc.

– Tyle to ja wiem. Ale posłuchaj, Alex. Czuj się obserwowany. Nie dasz wiary, jaka śmierdząca robi się ta sprawa.

– Im bardziej śmierdząca, tym lepiej. Znaczy, że komuś zależy. Zaryzykuję.

– Już to robisz. – Ned poklepał mnie po ramieniu i uśmiechnął się niewesoło. – Tylko do tej pory o tym nie wiedziałeś.

## Rozdział 35

Spotkanie z Nedom było owocne, ale też przyprawiło mnie o ból głowy, a więc w drodze powrotnej na Judiciary Square puściłem sobie Brahmsa. Pędząc ulicami Waszyngtonu, odsłuchałem wiadomość od sekretarki Ramona Daviesa. Nadinspektor chciał się ze mną jak najszybciej widzieć. Nie komponowało to się zbyt dobrze z ostrzeżeniem, jakiego udzielił mi w centrum handlowym Ned. Od czasu telefonu z powiadomieniem o śmierci Caroline Davies jeszcze do mnie nie dzwonił.

Zaparkowałem pod Daly Building i rezygnując ze skorzystania z windy, wbiegłem na trzecie piętro schodami. Zastukałem dwoma knykciami we framugę otwartych drzwi gabinetu Daviesa.

Siedział przy biurku pochylony nad jakąś papierkową robotą. Ściana za nim obwieszona była imponującą kolekcją dyplomów, między innymi dla najlepszego detektywa policji metropolitalnej za rok 2002. Ja miałem podobny za rok 2004, ale brakowało mi na niego miejsca na ścianie mojego ciasnego gabinetu.

Leżał chyba w domu w którejś z szuflad; nie pamiętałem tylko w której.

Davies powitał mnie skinieniem głowy. Przyjaciółmi w pełnym znaczeniu tego słowa nie byliśmy, ale dobrze nam się współpracowało i szanowaliśmy się wzajemnie.

– Wejdz i zamknij drzwi.

Siadając, rozpoznałem swoje odręczne pismo na jednej ze skserowanych kartek, które czytał.

– To akta Caroline? – spytałem.

Davies nie odpowiedział od razu. Odchylił się na oparcie fotela i przyglądał mi się przez kilka sekund.

– Dzwonili do mnie dzisiaj z wydziału spraw wewnętrznych.

No nie, chyba właśnie z nimi nie miałem najmniejszej ochoty się teraz użerać.

– Czego chcieli? – spytałem.

– Myślę, że wiesz. Podobno groziłeś temu dupkowi z Kanału Dziewiątego Ryanowi Willoughby’emu? On twierdzi, że tak. Jego asystentka również.

Poprawiłem się na krześle, wziąłem głęboki oddech.

– Bzdura. Trochę mnie poniosło, i tyle.

– Okay. Wczoraj miałem też telefon od kongresmana Mintzera. Domyślasz się, w jakiej sprawie?

Nie chciało mi się wierzyć – chociaż było to typowe dla waszyngtońskich polityków pokazywanie, co to nie ja, i zastraszanie.

– W mieszkaniu Caroline znaleziono numery telefonów obu.

– Nie musisz wprowadzać mnie w szczegóły. W każdym razie jeszcze nie teraz. Chcę mieć tylko pewność, że nie dajesz się tu ponieść emocjom. – Pokazał mi teczkę dla zobrazowania swoich słów.

– Nie daję. Ale to nie jest takie zwyczajne dochodzenie w sprawie zabójstwa i nie twierdzą tak tylko dlatego, że ofiarą, która została pocięta na kawałki, była moja bratanica.

– No właśnie, Alex. W tym rzecz. Te skargi mogą poważnie zaszkodzić. Tobie i całemu śledztwu.

Słuchałem Daviesa, a jednocześnie próbowałem analizować sytuację. Skargi obywateli – jeśli w ogóle brane są pod uwagę – mogą skutkować na cztery sposoby. Mogą zostać podtrzymane, odrzucone jako bezpodstawne, uznane za niedające się udowodnić albo oddalone, bo funkcjonariusz nie złamał żadnych przepisów. Byłem przekonany, że w najgorszym wypadku podpadam pod tę ostatnią kategorię.

Davies chyba jeszcze ze mną nie skończył.

– Daję ci większe pole manewru niż któremukolwiek detektywowi z tego wydziału – ciągnął.

– Dziękuję. Dobrze to rozgrywam, prawda? Wbrew pozorom.

Zaszczycił mnie mikroskopijnym uśmiechem. Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, po czym pochylił się znowu nad swoimi papierami, z czego wywnioskowałem, że tę rafę mamy za sobą. Przynajmniej tę pierwszą.

– Chcę, żebyś prowadził to śledztwo, Alex. Ale wierz mi na słowo, że jeśli to się powtórzy, natychmiast ci je odbiorę.

Wstał z fotela, dając mi tym samym do zrozumienia, że lepiej dla mnie będzie, jeśli wyjdę, póki jeszcze mogę.

– Bądź ze mną w stałym kontakcie. Żebym nie musiał już do ciebie wydzwaniać. Od tej pory pierwszy do mnie dzwoń.

– Rozumiem – zapewniłem go i wyszedłem.

Gdybym tam został jeszcze chwilę dłużej, musiałbym mu powiedzieć o spotkaniu z Nedom Mahoneyem, a na to nie mogłem sobie w tej chwili pozwolić. Nie w sytuacji, kiedy Davies już rozważał przykrócenie mi cugli.

Powiem mu wszystko później. Jak tylko sam będę więcej wiedział.



## Rozdział 36

Tony Nicholson pamiętał krótkie opowiadanie popularne w latach, kiedy chodził do podstawówki. Nosiło chyba tytuł *Najniebezpieczniejsza gra*. Tak, teraz grał w taką grę, tyle że w prawdziwym życiu, i była ona o wiele bardziej niebezpieczna niż w jakiejś tam nowelce.

Wpatrywał się w ekrany monitorów na biurku – patrzył i czekał, sącząc szkocką i powstrzymując się siłą woli, żeby nie łyknąć jej jednym haustem. Zeus będzie tu lada chwila, a przynajmniej się zapowiedział, i Nicholson musiał podjąć do tego czasu pewną decyzję.

Już od paru miesięcy próbował rozgryźć tego czubka. Przez cały czas trzymał w gotowości apartament w wozowni, zamawiał dziewczynki, ilekroć Zeus tego zażądał, a potem bił się z myślami, czy zarejestrowanie którejś z tych imprez nie będzie aby równoznaczne z popełnieniem samobójstwa.

Nicholson niejedno widział, podglądając parę tych sesji, ale nadal nie miał pojęcia, do czego zdolny jest się posunąć Zeus, a nawet kim może być. Ale gość zdecydowanie ostro pogrywał. Niektóre z dziewcząt, z którymi odbywał sesje, znikwały jak kamfora; w każdym razie po spotkaniu z Zeusem już nigdy nie wracały do pracy.

Trzydzieści parę minut po północy czarny mercedes z przyciemnianymi szybami zatrzymał się przed główną bramą. Nikt nie naciskał dzwonka; Nicholson otworzył bramę zdalnie i czekał, aż samochód pojawi się na ostatnim odcinku podjazdu.

Przebierał nerwowo palcami nad touchpadem klawiatury. Rejestrować, nie rejestrować, rejestrować, nie rejestrować...

Wkrótce potem mercedes wyłonił się z lasu i nie zwalniając, przejechał przed domem. Jego celem była wozownia na tyłach. Tablice rejestracyjne jak zawsze były zasłonięte.

Przed Zeusem przeznaczona dla VIP-ów wozownia udostępniana została zaufanym klientom, którzy mogli sobie na nią pozwolić. Opłaty zaczynały się od dwudziestu tysięcy za noc, a i to tylko za sam pokój i przekąski. Apartament zaopatrzony był w najlepsze wysokoprocentowe trunki i wina, miał w pełni wyposażoną kuchnię, wyłożoną marmurem saunę ze szwajcarskim natryskiem i dwoma paleniskami. Do tego oddzielne linie telefoniczne i najnowszej generacji aparatura elektroniczna z oprogramowaniem przekierowującym oraz wieloczęstotliwościowymi szyfratorami głosu, uniemożliwiająca zlokalizowanie źródła połączeń wychodzących.

Nicholson przełączył się na obraz przekazywany przez kamerę zainstalowaną w living roomie – gdzie zgodnie z zamówieniem czekały dwie dziewczyny. Wiedziały tylko tyle, że klient będzie jeden, a one za ten wieczór zainkasują półtorakrotną stawkę, czyli minimum cztery tysiące dla każdej.

Na odgłos otwierających się drzwi podziemnego garażu obie wstały jak na komendę i zaczęły poprawiać na sobie ubranie.

Nicholson stęzał na widok wkraczającego do pokoju Zeusa. W tym granatowym garniturze, z neseserem w jednej ręce i beżowym płaszczem przerzuconym przez drugą, wyglądał jak każdy inny klient.

Z jednym wyjątkiem – Zeus nosił maskę. Zawsze. Czarną. Jak kat.

– Witam panie. No, ładnie. Sympatycznie. Gotowe na mnie? – spytał.

Zawsze to mówił.

I ten głos – za głęboki, żeby mógł być naturalny.

Jeszcze jeden element kamuflażu.

Kim jest ten straszny, potężny, bogaty sukinsyn?

## Rozdział 37

Zeus przyglądał się przez wąskie szpary maski dwóm dziewczynom. Podobały mu się, było na czym zawiesić oko. Jedna wysoka, z długimi ciemnymi włosami i alabastrową skórą. Druga niższa, śniada, prawdopodobnie Latynoska.

Zapewne poinstruowano je, żeby nie pytały go o maskę ani o to, kim jest, ani w ogóle nie zadawały żadnych pytań natury osobistej. Bardzo dobrze – był w wyśmienitym nastroju.

– Myślę, że dobrze się dzisiaj zabawimy – powiedział. Tyle musiało im na razie wystarczyć, zresztą nie miał na tę noc gotowego scenariusza, wiedział tylko, że wszystko w jego rękach. W końcu był Zeusem.

Wzięły jego słowa za zachętę do rozmowy i przedstawiły się jako Katherine i Renata.

– Mogę prosić o płaszcz? – spytała Katherine uwodzicielskim tonem. – Czegoś się napijesz? Mamy tu wszystko.

– Nie, dziękuję. Na razie niczego. – Był uprzejmy, ale zdecydowanie powściągliwy, nieswój nawet. Nigdy nie dotykał niczego, przebywając poza sypialnią. Jego ludzie wiedzieli o tym i ułatwiali im to pracę. – Wejdźmy. A tak na marginesie, takich pięknych dziewcząt jeszcze tu nie widziałem. Trudno zdecydować, która ładniejsza.

W sypialni wszystko było tak, jak być powinno. Zasłony w oknach zaciągnięte, na komodzie butelka wódki Grey Goose, nowe pudełko lateksowych rękawiczek i niczego poza tym – żadnych akcesoriów, żadnych dywanów, żadnej pościeli z wyjątkiem przyciętej na wymiar gumowej nakładki na materacu.

– Ciekawy wystrój. – Katherine usiadła na łóżku i przesunęła po gumie dłonią. – Styl wulkanizatorski.

Zeus tego nie skomentował.

Kazał się dziewczynom rozebrać, potem sam zdjął ubranie, składając starannie i układając na komodzie każdą jego część, żeby opuszczając klub, wyglądać tak samo schludnie i elegancko jak po wejściu do niego.

Na koniec otworzył neseser.

– Skuję was teraz, dziewczęta – oznajmił. – Ale bez obawy. Uprzedzono was o tym, prawda? No. Czy którejs z was zakładano już kiedyś kajdanki?

Renata, ta nieśmiała, pokręciła przecząco głową.

– Ja raz czy dwa – przyznała druga, Katherine, z wyzwaniem „no-chodź-przeleć-mnie” w oczach. – I wiesz co? Wcale mnie to nie sprowadziło na dobrą drogę.

– Nie rób tego, Katherine – upomniał ją. Spojrzała na niego zdziwiona, nie zrozumiała. – Nigdy więcej przede mną nie udawaj. Proszę. Bądź sobą. Potrafię wychwycić różnicę.

Rzucił na łóżko parę kajdanek.

– Załóżcie je, proszę. Chciałbym... chcę, żebyście się ze sobą skuły. Po jednej obejmie na każdą.

Podczas gdy dziewczyny zatrząskiwały sobie na przegubach kajdanki, naciągnął na dłonie rękawiczki i wyjął resztę swojego wyposażenia: jeszcze dwie pary kajdanek, kłębek nowej linki, dwa czerwone kulkowe kneble z gumy z czarnymi rzemieniami.

– Teraz się połóżcie – polecił, a gdy to zrobiły, podszedł najpierw do Renaty. Dostrzegał teraz w jej oczach coś interesującego, rodzący się niepokój, zarzewie strachu.

– Podaj mi wolną rękę – powiedział, a kiedy posłuchała, przykuł tę rękę do kolumnienki łóżka. – Dziękuję, Renato. Jesteś słodka. Lubię posłuszne kobiety. Taki już jestem.

Kiedy przechodził na drugą stronę łóżka, Katherine wygięła lekko plecy w łuk i szerzej otworzyła oczy, nieudolnie markując przerażenie.

– Nie rób nam krzywdy, prosimy. Zrobimy, co tylko chcesz; obiecuję – powiedziała.

Zaczynała go wkurzać – już. Jak żona, która pobudza męża, jakby chciała, a nie mogła. Byle tylko odbębnić swój małżeński obowiązek. Zatrzasnął ostatnią obejmę kajdanek na drugiej kolumnienke łóżka i zanim zdążyła dodać coś jeszcze, co do końca zepsułoby zabawę, przystąpił do zakładania jej knebla.

– Widzę, że w dalszym ciągu udajesz, i to marnie – zauważył. – Coraz bardziej działasz mi na nerwy. Przykro mi. Nie lubię siebie w takim stanie. Tobie też się nie spodobam.

Z całej siły, a był silnym mężczyzną, związał rzemyki knebla na jej karku. Dziewczyna chciała coś powiedzieć, ale skończyło się na zdławionym stęknieniu. Sprawił jej ból. I dobrze. Zasłużyła sobie.

Kiedy odstępował od łóżka, wyraz twarzy Katherine zmienił się nie do poznania. Teraz naprawdę się go bała. To było widać.

– No, już lepiej – orzekł. – Zaraz, może to jeszcze bardziej cię zmotywuje...

Sięgnął znowu do nesesera i wyjął z niego paralizator. I cęgi.

– No nie, Katherine, cudownie. Czynisz niebywale postępy. Widzę to po oczach.

## Rozdział 38

Nicholson był tak pobudzony, jakby opił się tej nocy nie szkockiej, lecz kawy. Oślepiany światłami reflektorów na Lee Highway mrużył oczy i marzył tylko o szklaneczce do poduszki, pastylce ambienu na sen i ucieczce na kilka godzin od koszmaru, którego był naocznym świadkiem.

Tak czy owak, stało się. Zarejestrował sesję Zeusa z tymi dwiema dziewczynami. Oglądał na żywo mrożące krew w żyłach sceny, jakie się tam rozgrywały. Miał je teraz na płytce CD, skopiowane z twardego dysku. Oryginalny zapis wykasował z twardego. Pytanie, co z tym zrobić.

Najlepiej byłoby wrzucić płytkę z zapisem na samo dno bankowej skrytki depozytowej i na zawsze o niej zapomnieć. Z drugiej strony nie zaszkodziłoby mieć jej pod ręką. Tak dla bezpieczeństwa, na wszelki wypadek.

Nicholson nie nastawiał się nigdy na ciągnięcie tego interesu w nieskończoność. Dyskretny klub i podły szantaż to kompozycja na dłuższą metę nie do utrzymania. Zwłaszcza że ostatnio wciął się w nią Zeus, a nie zanosilo się, żeby ten świr zamierzał sobie odpuścić.

Prędzej czy później trzeba się będzie wycofać i zniknąć. I to raczej prędzej niż później.

Przez głowę przemykały mu rozmaite warianty planu ewakuacji.

Na zagranicznym koncie na Seszelach miał niewiele ponad dwa miliony. W drodze jest przelew od Temple'a Suitera na sto pięćdziesiąt tysięcy, a w przyszłym tygodniu imprezka urządzana przez Al-Hamada, od którego zainkasuje co najmniej tyle samo. Z taką rezerwą na rentiera się jeszcze nie kwalifikuje, ale na wyniesienie się z kraju i przevegetowanie przez jakiś czas na jakim takim poziomie wystarczy. Na dwa lata na pewno, a może nawet na dłużej.

Poleciałby do Zurychu i przywarował tam na kilka tygodni, dopóki nie załatwi sobie drugiego paszportu. Mnóstwo krajów prowadzi programy imigracyjne; w ostateczności mogłaby być i Irlandia. Mając już ten drugi paszport, poleciałby, dajmy na to, na wschód. Słyszał, że w Bangkoku kwitnie handel żywym towarem. Może już pora sprawdzić, jak z tym jest naprawdę.

No tak, tylko ta nieszczęsna Charlotte.

Boże, co go opętało, że się z nią ożenił? Myślał, że uda mu się ulepić z tej bryły gliny coś podobnego do człowieka? Była szarą londyńską nauczycielką, kiedy się poznali;

teraz była szarą amerykańską kurą domową. To zakrawało na jakiś ponury żart – z niego.

Tak, jedno nie ulega wątpliwości. Pani Nicholson zdecydowanie nie pojedzie z nim ani na wschód, ani w jakimkolwiek innym kierunku. Pytanie tylko, czy zacząć się już rozglądać za kimś, kto by ją elegancko usunął – w końcu jeden trup mniej lub więcej nie robi różnicy – czy jeszcze się z tym wstrzymać. Kosztowałoby go to dwadzieścia do trzydziestu tysięcy. Nie tak znowu dużo jak za pozbycie się tej kuli u nogi.

Było już po czwartej nad ranem, kiedy Nicholson dotarł wreszcie do domu. Z galopadą myśli w głowie skręcił w swój krótki, kolisty, biegnący pod górkę podjazd i o mało nie wpasował się w kufer czarnego, czterodrzwiowego jeepa zaparkowanego przed samym garażem.

– Ki diabeł?

Pierwsze, o czym pomyślał, to płytką w schowku deski rozdzielczej, a zaraz potem przed oczami stanął mu Zeus. Jezu, czy to możliwe, żeby ktoś już wiedział o tym nagraniu? O to chodzi?

Nicholson wolał tego nie sprawdzać. Wrzucił wsteczny, ale było już trochę za późno.

Jakiś grubas z pistoletem w dłoni zaglądał do wozu przez boczną szybę od jego strony i kręcił wymownie głową.

## Rozdział 39

No nie – *Rodzina Soprano*? To było pierwsze skojarzenie, jakie nasunęło się Nicholsonowi.

Było ich dwóch. W światła reflektorów wstępował właśnie drugi – przyjemniaczek o aparycji bandziora – mierząc mu z pistoletu prosto w twarz.

Grubas otworzył przed Nicholsonem drzwiczki i się cofnął. Toporna gęba, wielki kałdun opięty tandetnym, wepchniętym w spodnie golfem. Niemożliwe, żeby takie indywiduum pracowało z Zeusem. To rodziło podstawowe pytanie.

– Kim, u diabła, jesteście? – spytał Nicholson. – Czego ode mnie chcecie?

– My od pana Martina. – Akcent nowojorski albo bostoński, w każdym razie te okolice. Wschodnie Wybrzeże.

Nicholson, trzymając ręce na widoku, wysiadł powoli z samochodu.

– No dobrze, a co to, cholera, za jeden ten pan Martino?

– Nie rźnij głupa. – Korpulentny zbir pokazał na dom. – Wchodzimy. Ty, koleś, przodem.

Do Nicholsona dotarło, że gdyby to był zwyczajny napad, już by nie żył. Znaczy, chodzi o coś innego. Tylko o co?

Ledwie weszli frontowymi drzwiami, z góry dobiegł piskliwy, bardzo denerwujący głos Charlotte Nicholson:

– To ty, kotku? Kogo tam przyprowadziłeś? Nie za późno na gości?

– To znajomi. W interesach. Wracaj do łóżka, Charlotte.

Nawet w zaistniałych okolicznościach naszała go chęć, żeby ją udusić. Za to tylko, że jest tam, gdzie jej być nie powinno. Zeszła stopień niżej i w świetle padającym z holu pojawiły się jej bosc platfusowate stopy i łydki.

– W jakich interesach? – zawołała znowu.

– Głucha jesteś? Do łóżka. Ale już. – Chyba podziałało, bo zawróciła i odpłynęła w ciemność. – I siedź tam na górze – dorzucił. – Połóż się. Zaraz do ciebie przyjdę.

Poprowadził swoich nieproszonych gości do dużego pokoju na tyłach domu, gdzie nikt nie będzie im przeszkadzał i gdzie znajdował się barek, do którego Nicholson od razu się skierował.



– Nie wiem, jak wy, panowie, ale ja się... – Nie dokończył. Cios w potylicę zamroczył go na chwilę i powalił na kolana.

– Ty, kurwa, co? – wywarczał brzuchacz. – Myślisz, żeśmy tu wpadli podrinkować?

Nicholson był tak wkurzony, że gdyby tylko mógł, pokazałby spaślakowi, gdzie raki zimują. Ale nie mógł. Podźwignął się z trudem z klęczek i zwałił na sofę. Ostrość widzenia powoli mu powracała. Dobre i to.

– To czego, cholera, ode mnie chcecie o czwartej nad ranem.

Brzuchacz pochylił się nad nim.

– Szukamy jednego z naszych chłopaków. Przyjechał tu jakieś półtora tygodnia temu i od tamtego czasu kamień w wodę.

Jezu, ależ by przylutował temu przejeźdonemu, ale nie przylutuje, przynajmniej nie teraz. Może kiedyś... gdzieś...

– Zaraz, zaraz. Jaki chłopak? Coś bliższego.

– Johnny Tucci się nazywa – przybliżył brzuchacz.

– Jak? Pierwsze słyszę. Tucci? Bywał w moim klubie? Kto to?

– Nie leć z nami w kulki, koleś. – Do sofy podszedł teraz ten szczuplejszy, zalatywało od niego papierosami i niemytym od jakiegoś czasu ciałem. – Wiemy wszystko o twoim kurwidołku na wsi, kumasz?

Nicholson wyprostował się na sofie. To jednak mogło mieć jakiś związek z Zeusem. A konkretniej z tym, co odstawia na boku.

– No – ciągnął oprych. – Myślisz, że pan Martino na wywczasu tu swoich ludzi wysyła?

– Panowie, ja nadal nie mam pojęcia, o czym mówicie – odparł Nicholson. I po części było to prawdą.

Brzuchacz przysiadł na fornirowanym stoliczku okolicznościowym i po raz pierwszy opuścił pistolet.

– Dobra, wytłumaczę ci jak chłop krowie – powiedział niemal ugodowym tonem. – Wcięło jednego z naszych chłopaków. Mamy kłopot z namierzeniem tego, co ubijał interes z naszym szefem. Na razie trafiliśmy na ciebie. A znakiem tego nasz kłopot staje się teraz także twoim kłopotem. Kapujesz?

Nicholson niestety kapował.

– I co ja mam niby robić... w związku z tym naszym wspólnym kłopotem?

Facet wzruszył ramionami, podrapał się łufą pistoletu po nieogolonej brodzie.

– Rzecz w tym, że musimy podać kogoś panu Martinowi na tacy. Popytaj więc, zorientuj się, co w trawie piszczy, albo to ciebie podamy.

– Albo tę damulkę z góry – dorzucił ten drugi.

– To bierzcie sobie od razu tę damulkę – podchwycił Nicholson – i jesteście kwita.

Gruby wreszcie się uśmiechnął i wstał. Najwyraźniej się zbierali.

– No, wypadałoby się zaopatrzyć na drogę – rzucił do Nicholsona. – Ty siedź, sami się obsłużymy.

Podszedł rozkołysanym krokiem do barku, z którego jego kumpel wygarnął już tyle butelek, ile był w stanie oburącz objąć.

Kiedy za zbirami zamknęły się drzwi, Nicholson podszedł do barku, żeby nalać sobie drinka z lodem, i stwierdził, że zabrali johnniego walkera, a zostawili dalmore'a 62 po czterysta dolarów za butelkę. Uznał to za zły znak.

Skoro ci dwaj już do niego trafili, to sytuacja wymykała się spod kontroli szybciej, niż się spodziewał.

Tylko kim, u diabła, jest ten Johnny Tucci?

## Rozdział 40

Suarez i Overton każdą robotę dla Zeusa odwalali za porozumieniem stron w ciemno – żadnych osobistych spotkań ze zleceniodawcą i płatnikiem w jednej osobie. Tej nocy również weszli o wyznaczonej godzinie do apartamentu w wozowni Blacksmith Farms, posprzątaali po nim i zabrali stamtąd wszystko, co trzeba było zabrać, z ciałami włącznie.

Nie świtało jeszcze, a oni teleпали się już swoim pontiacem G6 znajomą, pełną wykrotów leśną dróżką przez wirginijską knieję. Tył przysiadał trochę na resorach obciążony zawartością bagażnika.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – zwrócił się Suarez do partnera. – Facet jest najwyraźniej obrzydliwie nadziany. Dlaczego tak ryzykuje? Pogięło go czy co?

– W jakimś sensie.

– W jakim? Dzień w dzień dwadzieścia cztery godziny na dobę i tak przez okrągły rok? Kiblowy szczur na amfle się chowa. I jak mu to uchodzi na sucho... no jak?

– Po pierwsze, Suarez, wiesz, kto to jest? Wiesz?

– Fakt, nie wiem. Ale ktoś musi wiedzieć. Ktoś musi go w końcu przystopować.

– Cóż ja ci mogę na to odpowiedzieć. Witaj w popierdolonym świecie sławnych i bogatych.

## Rozdział 41

Remy'emu Williamsowi ci dwaj zdecydowanie się nie podobali. Od samego początku. Kiedy podjechali pod chatę i nie wysiadali z samochodu, wiedział już, że nie przywieźli tylko zwyczajowego worka ze śmieciami, że coś kombinują.

– Jak leci, chłopaki? – Poczłapał do nich jak ostatni menel, za jakiego zresztą go mieli. – No, co tam dla mnie dzisiaj mata?

– Dwie babeczki. – Kierowca spojrzął na niego, ale zaraz uciekł wzrokiem. A to co: sumienie się u tego Latynosa odezwało? – Jedna ma kulkę w piersiach. Sam zresztą zobaczysz.

– Tak? A po coście ją zastrzelili?

– Czy ja wiem, dla pewności, bo jedna już nam kiedyś nawiała i do tej pory nie możemy jej dorwać.

Remy wyczuwał, że gościu go podpuszcza, ale nie wiedział dlaczego. Nie miał pojęcia, co kombinują ci mordercy. Był tylko trybikiem w maszynie, nie znał wszystkich szczegółów i podejrzewał, że nikt nie zna. Jak JFK. Jak RFK. Kurde, jak O.J.

– Coś mi się widzi, że i tamtą zastrzeliliście – zauważył. – Może ona wcale nie nawiała. Może leży gdzieś w tych krzakach i gnije, jak my tu sobie gadamy. I znajdą ją w końcu jakieś włóczęgi.

– Tak, może. – Były agent wziął głęboki oddech. Zaczynał trochę przeginać z tym swoim teatralnym przygnębieniem. – Wyładuj towar i będziemy się zmywali.

Remy podrapał się po jajach – może lekka przesada – i poczłapał do bagażnika. Kierowca, nie wysiadając, zwolnił blokadę klapy. Jezu! Coś takiego.

Oba ciała zawinięte były w czarną folię, którą zaklejono taśmą. Profesjonalna robota, ci dwaj znali się na rzeczy, to trzeba im było przyznać. Ale kto wcześniej załatwia te dziewczyny? Gdzie tu jest pies pogrzebany? Kim jest morderca?

Wywłókł oba „pakunki” z bagażnika na brezentową płachtę, którą wcześniej rozpostarł na ziemi. Narzędzia czekały już rozłożone na grubym pniaku hikory, obok rębaka stał kanister z benzyną.

– Która jest postrzelona? – zawołał do tajniaków.

– Ta wyższa. W lewą pierś. Szkoda małej. Niezła sztuka z niej była.

Remy przekręcił „pakunek”, rozciął myśliwskim nożem folię i ściągnął ją ze zwłok.

Tuż nad jędrną, kształtną lewą piersią widniała mała dziurka. Ciało było jeszcze ciepłe. Zgon nastąpił całkiem niedawno.

– Jest, widzę. Mam wydłubać kulkę czy sami chcecie to zrobić?

– Ty wydłub. I pozbądź się jej.

– Dobra. Załatwione. Coś jeszcze?

– Tak. Bagażnik zatrzaśnij.

Parę sekund później Remy był już sam.

Nie ufał tym aroganckim gnojkom, ale nie przeszkadzało mu wcale, że mają go za ostatniego prymitywa, na rękę mu to nawet było. Pewnie nie zdawali sobie sprawy, jak mało sami znaczą.

Ani po jak kruchym lodzie stąpają.

Prawdę powiedziawszy, sami już się mu podłożyli, wymazując swoje tożsamości. Byli teraz jak dwa bezimienne widma. Mógłby ich usunąć z tego świata i ślad by nie pozostał – cholera, nieraz już robił takie rzeczy. Wspecjalizował się w tym.

Odpakował drugą dziewczynę – też piękną. Chyba ją uduszono. I pogryziono? Gładził przez chwilę jej ciepłą jeszcze pierś, potem pociągnął oba ciała na brezencie pod górkę, do rębaka.

Fakt, szkoda. Kto, u diabła, to robi? Ktoś jeszcze bardziej od niego świrnięty?

## Rozdział 42

W sobotę po południu odbyłem jeszcze jedną potajemną rozmowę z Nedom Mahoneyem – tym razem na podziemnym parkingu przy M Street w Georgetown.

Wjeżdżając tam, czułem się jak na planie filmu *Wszyscy ludzie prezydenta*. Po co ta cała zabawa w konspirację? Co to, u licha, ma znaczyć?

Ned już na mnie czekał. Kiedy wysiadłem z wozu, wręczył mi szarą teczkę z pieczęcią FBI. Zawierała kilka notatek służbowych oraz zestaw odbitek.

– Co to?

– Renata Cruz i Katherine Tennancour – odparł. – Obie zagięły, przypuszczalnie nie żyją.

Zdjęcia przedstawiały obie dziewczyny w rozmaitych punktach miasta w towarzystwie różnych, głównie białych, o wiele starszych mężczyzn.

– To David Wilke? – spytałem, wskazując osobnika bardzo podobnego do aktualnego przewodniczącego senackiej Komisji Sił Zbrojnych.

Ned kiwnął głową.

– Tak, to David Wilke. Stałymi klientami obu kobiet są wysoko postawieni ludzie i przede wszystkim dlatego od jakiegoś czasu je obserwujemy. Nie wiemy, jak ta druga, ale Katherine Tennancour pracowała w pewnym klubie koło Waszyngtonu.

Wpatrywałem się bez słowa w Mahoneya.

– Wiem, co myślisz – ciągnął. – Drażnienie tego tematu może zachwiać władzę ustawodawczą.

Cała ta sprawa z każdą minutą stawała się coraz bardziej śliska. Nie dało się wytropić tego mordercy – czy może sitwy, do której należał – bez wyciągnięcia przy tym na światło dzienne najprzeróżniejszych brudów. Groziło to zrujnowaniem życia wielu niewinnym członkom rodzin – a to dopiero początek.

O wiele błahsze afery doprowadzały do utraty większości w Izbie Reprezentantów bądź w Senacie, decydowały o wyniku wyborów prezydenckich czy gubernatorskich. No i nikt nie poddaje się bez walki; miałem już tego przedsmak w formie reakcji wydziału wewnętrznego. Każdy, kto uważa, że policjanci zacierają ręce, natrafiając na takie sensacje, bo upatrują w nich kariery, jest w wielkim błędzie.

– Jezu, Ned. To jak zapowiedź tornada, które spustoszy Waszyngton.

– Bardziej jak jego wywoływanie, jak szukanie guza – odparł. – Kłuje się prawdziwy szambosztorm piątej kategorii. Lubisz Waszyngton?

– W ogóle to lubię. Ale nie w tej chwili.

– No to słuchaj, Alex – podjął poważniejszym już tonem. – Biuro ma to właśnie na tapecie. Wielkie otwarcie za pasem. Nie miałbym pretensji, gdybyś chciał się wycofać, i jeśli chodzi ci coś takiego po głowie, to teraz jest najlepszy moment. Po prostu oddaj mi tę teczkę ze smakowitościami.

Trochę mnie zaskoczyła jego propozycja. Myślałem, że Ned lepiej mnie zna. Co oczywiście znaczyło, że kryje się pod nią poważne ostrzeżenie.

– Mam przez to rozumieć, że jesteście gotowi wejść do tego podwaszyngtońskiego klubu? – spytałem.

– Czekam tylko na sygnał.

– I co?

Ned uśmiechnął się i chyba trochę rozluźnił.

– I bądź dzisiaj wieczorem pod telefonem. Przedryndam do ciebie.

## Rozdział 43

Tego wieczoru zjadłem kolację w rodzinnym gronie. Potem rozłożyliśmy z dziećmi chińczyka i zagraliśmy. Oszukiwałem trochę przy przesuwaniu pionków po planszy i przekomarzałem się z Jannie i Alim, starając się nie myśleć o piekle, które może się lada chwila rozpętać. Wszystko zależało od tego, kto zawita dzisiejszej nocy do tego prywatnego klubu.

Nana siedziała z boku i zerknęła na nas co rusz znad *Tysiąca wspaniałych słońc*, powieści, przez którą się ostatnio przekopywała. Bree sprzątała po kolacji.

Sielanka się skończyła, kiedy zadzwonił telefon.

Spojrzałem na dzieci. Spodziewałem się z ich strony kręcenia nosami, zwyczajowego: „Tato, nie odbieraj”, a widząc, że obydwójce odwracają z rezygnacją wzrok, poczułem się jeszcze gorzej.

Spojrzałem na wyświetlacz. Mahoney. Tak jak zapowiadał.

– Przepraszam was, naprawdę muszę odebrać ten telefon – powiedziałam do Alego i Jannie.

Ich milczenie brzmiało głośno i wyraźnie, kiedy wychodziłem z komórką na korytarz.

– Tak, Ned?

– Mamy zielone światło, Alex. Hotel Holiday Inn przy zjeździe siedemdziesiąt dwa w Arlington. Czekam tam na ciebie na parkingu. Ruszaj natychmiast.



## Rozdział 44

Operacji nadano kryptonim „Stosunek przerywany”, co świadczyło, że w FBI uchowało się jeszcze parę osób obdarzonych poczuciem humoru.

Zespół Neda zgromadził się w pełnym składzie na małej farmie w okręgu Culpeper, jakieś półtorej godziny drogi na zachód od Waszyngtonu, w bliskim sąsiedztwie Parku Narodowego Shenandoah. Dziwna to była zbieranina: Mahoney i jego partner, agent Renee Vixtor; sześciu agentów z HRT – zespołu uwalniania zakładników; trzech negocjatorzy kryzysowi z wydziału wsparcia taktycznego oraz dziesięciu ludzi ze SWAT – brygady antyterrorystycznej FBI.

Spodziewałem się samych HRT-owców, co nie znaczy, że byłem rozczarowany. Antyterrorystyki FBI należą do najlepszych na świecie. Zapowiadała się pokazowa akcja.

Był też przedstawiciel wirginijskiej policji stanowej z dwoma vanami do transportu zatrzymanych na miejscu operacji, no i ja. Nie wiem, za jakie sznurki Ned musiał pociągnąć, żebym znalazł się w składzie grupy, ale doceniałem to i wiedziałem, że uważa mnie za wartość dodaną. Zebraliśmy się wszyscy przy tylnej klapie czyjegoś pick-upa na szybką odprawę.

– Nawet gdybyśmy zastali w środku jakieś grube ryby, co całkiem możliwe, działamy zgodnie ze standardowymi procedurami operacyjnymi – poinstruował grupę Ned. – SWAT wchodzi pierwszy, za nimi agenci i obstawiamy z miejsca wszystkie wyjścia. Bądźcie przygotowani na każdy scenariusz, z sytuacjami seksualnymi włącznie, a nawet na stawianie zdecydowanego oporu. Tego ostatniego się nie spodziewam, ale niczego nie można wykluczyć. Najważniejsze to szybko i sprawnie wygarnąć stamtąd wszystkich, jak leci.

Z obserwacji wynikało, że główny dom ma wejścia od północy, południa i wschodu. W związku z tym Mahoney podzielił nas na trzy grupy. Ja miałem wejść z nim drzwiami frontowymi. Było tam również kilka przybudówek, które dziś wieczorem stały podobno puste. Ciekaw byłem, jakiego rodzaju balety się w nich odbywały.

Zanim ruszyliśmy, Ned dał mi kurtkę FBI i nową aramidową kamizelkę kuloodporną, które wyjął z bagażnika swojego samochodu. Kamizelka była lżejsza od tradycyjnych, i bardzo dobrze, bo mieliśmy do pokonania na piechotę kilka kilometrów.

Czterdzieści pięć minut zajęła nam droga na przełaj przez las i gęste zarośla. Po przebyciu półtora kilometra zdaliśmy się wyłącznie na noktowizję, ci z goglami prowadzili tych bez.

Od tej chwili urwały się też wszystkie rozmowy, nie licząc sporadycznej wymiany krótkich komunikatów przez radio między Mahoneyem i dowódcą antyterrorystów ze SWAT.

Ze szczytu stromej wzniesienia ujrzeliśmy wreszcie dwupiętrowy główny dom w całej jego okazałości. Zatrzymaliśmy się tuż poza zasięgiem wzroku, jakieś siedemdziesiąt metrów od frontu. Ned wysłał SWAT-owców na szybkie rozpoznanie terenu, a ja pożyczyłem lornetkę i skracałem sobie czas oczekiwania na rozpoczęcie akcji obserwacją przedpola.

Była to naprawdę duża, wzniesiona z wapienia rezydencja; tak, właśnie rezydencja. A kolista podjazd przywodził dziś wieczorem na myśl salon samochodowy – mercedes, rolls, bentley, nawet zabytkowe lamborghini i czerwone ferrari.

Wzdłuż parteru ciągnął się rząd wysokich, oświetlonych od wewnątrz okien słupkowych, ale ludzi w nich nie było widać. Przypuszczalnie całe towarzystwo przeniosło się na górę, gdzie wszystkie okna były ciemne, ewentualnie pozasłaniane.

Czy to tutaj zamordowano Caroline? Ta myśl opadła na mnie jak całun. Czy tutaj również tak strasznie zbezczeszczone zostały jej zwłoki? Tak na dobrą sprawę, to gdzie za chwilę wkroczymy – do jakiejś rzeźni czy tylko na placyk zabaw dla bogaczy? Dziwne uczucie nie wiedzieć, czego się spodziewać.

W końcu Mahoney dostał jakiś meldunek. Spod jego słuchawek nie dotarło do mnie ani słowo, ale wyglądało na to, że zaraz się zacznie. Postawił przez radio w stan gotowości wszystkie grupy rozmieszczone wokół posiadłości, po czym uśmiechnął się do mnie i z tym swoim wisielczym humorem spytał:

– Gotów na „Stosunek przerywany”?

– Jak zwykle – odparłem.

– No to ruszamy. Ale jazda się szykuje. – A potem rzucił do mikrofonu: – Wszystkie grupy, przygotować się. Nie robić nikomu krzywdy; nie dać jej zrobić sobie.

Kilka sekund później antyterrorysty ze SWAT wypadli z lasu, reszta za nimi i popędziliśmy z wiatrem w zawody w kierunku tego imponującego, owianego złą sławą domu.

## Rozdział 45

Posypały się drzazgi i eleganckie drzwi frontowe z orzecha włoskiego ustąpiły. SWAT-owcy wpadli do środka. Dobyłem glocka, ale liczyłem na to, że nie będę go musiał użyć. Podczas ostatniej akcji, w której braliśmy z Nedem udział, strzelano do nas.

Miałem nadzieję, że tym razem się bez tego obejdzie. W końcu chodziło tu o przestępców w białych kołnierzykach, nieprawdaż? Gdy tylko dostaliśmy od SWAT sygnał „czysto”, Ned zostawił dwóch ludzi przy drzwiach, resztę wprowadził do środka.

Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem, można zawrzeć w jednym słowie: pieniądze.

Foyer było wysokie na dwa piętra, miało posadzkę z marmurowych, ułożonych w szachownicę płyt, z sufitu niczym ekstrawaganckie klejnoty zwisały ogromne żyrandole. Umebłowanie stanowiły lśniąca politurą antyki. Światło było tutaj jakieś dziwne, jakby złociste.

Drugie, co rzuciło mi się w oczy, to oszałamiająco piękne kobiety – całe mnóstwo – jedne w sukniach wieczorowych, inne w rozmaitych stadiach roznegliżowania. Trzy były kompletnie nagie i nie wyglądały wcale na zawstydzone. Trzymając się pod boki, patrzyły na nas jak na intruzów, którzy wtargnęli tu nieproszeni.

Luksusowe dziewczyny do towarzystwa. Od pełnokrwistych Amerykanek po egzotyczne Azjatki.

Przebiegłem foyer i skręcając w prawo, minąłem agenta prowadzącego korytarzem dwóch śniadych mężczyzn trajkoczących coś po arabsku oraz wysoką czarną kobietę. Cała trójka była naga i klęła na czym świat stoi, wyzywając agenta od ostatnich.

Minąwszy kilka otwartych, pustych saloników po obu stronach, doszedłem do przeszklonej palarni na końcu korytarza. Śmierdziało w niej cygarami i seksem, ale nikogo wewnątrz nie było.

Zawracając, usłyszałem wrzaski dobiegające od strony foyer. Ktoś protestował przeciwko naszej obecności – i to głośno.

– Łapy przy sobie! Nie dotykaj mnie, koniowale! – wykrzykiwał z brytyjskim akcentem wysoki blondyn wyrrywający się agentom FBI przytrzymującym go u szczytu głównych schodów. – To jawne bezprawie, do ciężkiej cholery! – Anglik miał tupet; to było widać. W końcu musieli położyć osobnika na marmurowej posadzce podestu i dopiero wtedy udało im się założyć mu kajdanki.

Biorąc po dwa stopnie naraz, wbiegłem na górę, gdzie Mahoney przystępował

właśnie do przesłuchiwania faceta.

– Ty tu jesteś kierownikiem? Nicholson, prawda?

– Odpieprz się! Wezwałem już swojego adwokata. To bezprawne najście. – Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i nie tracił pary. – Złamaliście prawo samym wejściem tutaj. To prywatna posiadłość. Dajcie mi wstać, do jasnej ciasnej! To brutalna napaść. To prywatne przyjęcie w prywatnym domu.

– Trzymajcie pana Nicholsona osobno – poinstruował agentów Mahoney. – Nie pozwólcie mu z nikim rozmawiać.

Szybko ustanowiliśmy dwie strefy zatrzymań na parterze i przystąpiliśmy do przeszukania domu, oddzielając klientów od personelu i spisując wszystkich z imienia i nazwiska.

– Tak, nazywam się Nicholson. Już wy popamiętacie to nazwisko! – Doleciało mnie z jednego z pokojów. – Nicholson, jak ten aktor filmowy.

## Rozdział 46

Był to najosobliwszy z nalotów, w jakich uczestniczyłem od czasu odejścia z czynnej służby. Ktoś obdarzony takim jak moje poczuciem humoru mógłby go nawet nazwać komicznym.

Jednego komedianta uwolniliśmy z betonowej ciemnicy, w której siedział w samych rzemiennych stringach przykuty łańcuchem do ściany, przypuszczalnie przez swoją oprawczynię podczas aktu sado-maso. Jeśli chodzi o ścisłość, to większość osób paradowała tutaj w stroju mniej lub bardziej zdekompletowanym – zupełnie nago, w atłasowej bieliźnie, w skąpych prześwitujących szatkach – a jedna ociekająca wodą para w ręcznikach i turbanach, przy czym mężczyzna ćmił cygaro.

Męską klientelę stanowili Saudyjczycy i Amerykanie. O ile zdążyłem się zorientować, jednym z nich był miliarder o nazwisku Al-Hamad. Świątował tej nocy swoje pięćdziesiąte urodziny. I sto lat, Al-Hamad. Tej imprezy z pewnością do końca życia nie zapomnisz.

Brytyjskiego kierownika – jeśli rzeczywiście nim był – zamknęliśmy w małej salce na parterze. Kiedy tam wszedłem, siedział naburmuszony i milczał. Spytałem o siniak na jego policzku i Mahoney wyjaśnił mi, że gość usiłował opluć funkcjonariusza, który go aresztował. Kiepski pomysł.

Stałem w progu i przyglądałem mu się, jak siedzi nadąsany na zabytkowej kanapie otoczonej wysokimi regałami pełnymi książek, których chyba nikt nigdy nie czytał. Był odstręczającym sukinsynem i przypuszczalnie sutenerem. Ale czy również mordercą? I dlaczego zachowywał się tak arogancko?

Jego prawnik zjawił się na miejscu niecałą godzinę później. W szelkach i pod muchą w środku nocy. Widząc go na ulicy, nigdy bym nie pomyślał, że jest związany z czymś takim. Wypisz wymaluj Dilbert z tego kultowego komiksu.

Niestety, w swoim fachu był bardzo dobry.

– Co to? – spytał Mahoney, kiedy prawnik podsunął mu jakiś dokument.

– Nakaz odstąpienia od czynności. Od tej chwili nie macie prawa kontynuować tej akcji. Mój klient da wam wspaniałomyślnie pięć minut na opuszczenie posesji. Po upływie tego czasu będziemy mieli do czynienia z odmową zastosowania się do nakazu sądowego oraz bezprawnym naruszeniem miru domowego.

Mahoney wpatrywał się przez chwilę w świńskie oczka prawnika, potem przeniósł powoli wzrok na nakaz. Cokolwiek z niego wyczytał, odniosło chyba pożądany skutek.

Wypuścił kartkę z ręki i wyszedł, nie czekając, aż sfrunie na podłogę. Usłyszałem, jak wykrzykuje rozkazy i wygania wszystkich na zewnątrz, całą ekipę.

Podniosłem nakaz z podłogi i przebiegłem go wzrokiem.

– Gdzie, u diabła, wytrzasnął pan sędziego o pierwszej nad ranem? – spytałem prawnika.

Wyciągnął rękę i pokazał mi palcem pieczętkę odcisniętą u dołu strony.

– Szanowny Laurence Gibson.

No jasne, pomyślałem. Klientami tego przybytku są senatorowie, kongresmani, miliarderzy – dlaczego by nie sędzia?

# Część trzecia

---

Z tobą lub bez ciebie

## Rozdział 47

Wróciłem do domu wczesnym niedzielnym rankiem, gdzieś między kolporterami prasy a fanami joggingu zmierzającymi w stronę parku.

No nie! A to co znowu?

Na ganku w jednym z wiklinowych foteli spała smacznie Nana. Nie licząc zabytkowych laczków frotte, ubrana była do kościoła, w szarą flanelową spódnicę i biały sweter bliźniak. Miała to być pierwsza msza Nany od wyjścia ze szpitala i wybieraliśmy się na nią całą rodziną.

Położyłem dłoń na jej ramieniu. Wzdrygnęła się i ocknęła. Wystarczył jej jeden rzut oka na moją twarz.

– Ciężka noc? – spytała.

Przysiadłem na bujanej ławeczce naprzeciwko niej.

– Taki jestem przezroczystry?

– Tylko dla wtajemniczonych. No dobrze, opowiadaj, jak było.

Gdyby chodziło o coś innego, wymówiłbym się zmęczeniem, ale w tym wypadku Nana powinna wiedzieć. Zdałem jej więc relację z wydarzeń tej nocy, o incydencie z prawnikiem pod muchą i jego „nakazem odstąpienia od czynności” również wspomniałem, pominąłem jednak całą otoczkę; po co się rozwodzić nad ciemną stroną życia Caroline. Nana i tak o niej wiedziała, byłem tego pewien. Nie wiem skąd, ale od początku wiedziała.

– A jak tam dzieci? – spytałem na koniec. – Co mówiły, kiedy wyszedłem?

– Sam wiesz. Jakoś to przeżyły – odparła, ale zaraz dorzuciła z przekąsem: – Jak to one.

– Znaczący to twoja siostra bliźniaczka machała mi wczoraj wieczorem na pożegnanie? Jak gdyby nigdy nic? No popatrz tylko, a ja byłem przekonany, że to ty.

– Tak, tak, najlepszą obroną jest atak. – Wyprostowała się, pokręciła głową i zaczęła sobie masować bok szyi. – Chciałam tylko powiedzieć, że dla dzieci nie zawsze jest ważne, dlaczego wychodzisz, Alex. Wystarczy, że wychodzisz.

Nachyliłem się, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

– Dobrze spałaś w nocy?



Prychnęła niecierpliwie.

– Starym ludziom sen niepotrzebny. Pomóż mi wstać, zaparzę kawę. Dobrze ci zrobi.

Ująłem ją pod łokieć. Zaczęła się unosić z moją pomocą z fotela, ale w połowie jakby zrezygnowała.

– Co jest? – spytałem.

– Nic. Tylko, ummm...

Twarz wykrzywił jej ból, byłaby upadła, gdybym jej nie podtrzymał. Zanim zdążyłem z powrotem ją posadzić, straciła przytomność.

O Boże, nie.

Jej drobne ciało było lekkie jak piórko. Poszukałem pulsu na szyi. Nie wyczuwałem żadnego.

– Nana? Słyszysz mnie? Nana?

Pociemniało mi przed oczami. Nie ruszała się, nie oddychała. Lekarze z St. Anthony's powiedzieli mi, czego to są objawy.

U Nany nastąpiło zatrzymanie akcji serca.

## Rozdział 48

I kolejny koszmar – ratownicy medyczni w domu, jazda karetką na sygnale, pytania na izbie przyjęć w St. Anthony’s. A potem to straszne czekanie.

Czuwałem przy Nanie cały dzień i całą noc. Powiedziano mi tylko, że przeżyła zawał serca.

Podłączyli ją do respiratora, żeby ułatwić oddychanie, do ust przyklepili plastrem rurkę. Zacisk na palcu mierzył poziom tlenu, kroplówką podawano dożylnie leki. Od klatki piersiowej Nany do stojącego przy łóżku monitora biegły przewody, pulsujące przebiegi na ekranie przywodziły na myśl jakiegoś elektronicznego strażnika. Nienawidziłem tego ekranu i jednocześnie pokładałem w nim całą nadzieję.

Przez cały dzień aż do późnego wieczora przychodzili przyjaciele i krewni. Zajrzała ciotka Tia z którąś z moich kuzynek, potem Sampson z Billie. Bree przyprowadziła dzieci, ale ich nie wpuszczono, i bardzo dobrze. Dosyć się napatrzyły, kiedy karetka znowu zabierała Nanę z domu.

A potem przyszła pora na „konieczne” rozmowy. Rozmaici przedstawiciele personelu chcieli ze mną porozmawiać o zapisie „nie reanimować” w jej aktach, o możliwości umieszczenia w hospicjum, o wyznaniu, wszystko to tak na wszelki wypadek. Na wypadek gdyby co? Gdyby Nana się już nie obudziła?

Kiedy minęły godziny odwiedzin, nikt nie próbował mnie wyprosić. Niechby tylko spróbowali, ale byłem im za to wdzięczny. Siedziałem z przedramionami złożonymi na krawędzi łóżka i albo opierałem na nich głowę, albo modliłem się za Nanę.

Wreszcie gdzieś w środku nocy się poruszyła. Jej ręka przesunęła się pod kocem i ten nieznaczny ruch świadczył, że nasze modlitwy zostały wysłuchane.

A potem powoli otworzyła oczy.

Pielęgniarki poinstruowały mnie, że gdyby coś takiego nastąpiło, mam zachować spokój i mówić cicho. Nie przyszło mi to łatwo.

Przyłożyłem dłoń do jej policzka i nie cofałem jej, dopóki się nie upewniłem, że jest świadoma mojej obecności.

– Na razie nic nie mów, Nana. Masz w przełyku rurkę, która pomaga ci oddychać.

Jej wzrok zaczął się powoli przesuwac i w końcu spoczął na mojej twarzy.

– Zemdlałaś w domu. Pamiętasz?

Kiwnęła ledwo zauważalnie głową. Odniosłem wrażenie, że się przy tym uśmiecha, i ogromny ciężar spadł mi z serca.

– Zadzwoń teraz po pielęgniarkę i zobaczmy, kiedy będzie cię można odłączyć od tej maszyny – ciągnąłem. – Okay? – Sięgnąłem do przycisku przywołania, ale kiedy znów na nią spojrzałem, oczy miała zamknięte. Zerknąłem na ekran monitora, żeby się upewnić, że tylko zasnęła.

Świadczyły o tym te wszystkie żółte, niebieskie i zielone przebiegi.

– No nic, odłożmy to do rana – powiedziałem, chociaż zdawałem sobie sprawę, że mnie nie słyszy.

Mogłem mieć tylko nadzieję, że doczeka rana.

## Rozdział 49

W południe Nana była już w pełni przytomna i odłączona od respiratora. Serce miała powiększone i była jeszcze zbyt słaba, by opuścić oddział intensywnej terapii, ale szło ku lepszemu i wszystko wskazywało na to, że wkrótce zostanie wypisana do domu. Z tej okazji przemyciłem do salki dzieci i odbyliśmy najszybszą, najcichszą w dziejach rodziny Crossów celebrację.

Inne pomysły wieści dochodziły z frontu pracy. Lynda Cole, prawniczka FBI, sporządziła uzasadnienie i Biuro wróciło na podwaszyngtońską posiadłość. Kiedy zadzwoniłem do Neda Mahoneya na komórkę, ten był już z zespołem FBI na miejscu.

Bree zastąpiła mnie po południu w szpitalu – ją miała później zmienić ciotka Tia – a ja pojechałem się rozejrzeć jeszcze raz po Blacksmith Farms.

Ned czekał na mnie przy bramie, bo bez niego nie wpuszczono by mnie na teren. Najbardziej interesujące było małe mieszkanko na tyłach domu. Wchodziło się do niego wewnętrznymi schodami z podziemnego garażu na trzy samochody.

Wyglądało jak apartament w Hay-Adamsie\*. Miękka lniana tapicerka w pastelowych kolorach, podwieszany sufit w jadalni i kominek z orzechowym obramowaniem na wysoki połysk.

Gdyby nie technicy w beżowych bojówkach i granatowych koszulkach polo, można by powiedzieć, że było tam wprost sterylne.

– Z tą sypialnią mamy zagwozdkę – powiedział Ned. Wszedłem tam za nim przez rozsuwane drzwi. – Ani dywanu, ani żadnych bibelotów, ani pościeli, nic – ciągnął, chociaż sam już to zauważyłem. Tylko gołe łóżko, toaletka i dwie nocne szafki, zupełnie jakby ktoś się stąd niedawno wyprowadził. – Nie znaleźliśmy żadnych odcisków palców ani mikrowłókien, pozostał nam tylko luminol\*\*.

To wyjaśniało przeznaczenie przenośnych lamp ultrafioletowych rozstawionych w pomieszczeniu. Mahoney zgasił górne światło i zasunął drzwi.

– No, chłopaki, jedziemy z tym koksem.

Lampy zapłonęły i całe pomieszczenie zalała widmowa poświata. Ściany, podłoga, meble, wszystko fluoryzowało jasnym błękitem. Był to jeden z tych momentów, kiedy od-

---

\* Hay-Adams – luksusowy hotel w Waszyngtonie.

\*\* Luminol – środek chemiluminescencyjny stosowany do wykrywania śladów krwi.

nosiłem wrażenie, że moje życie to tak naprawdę odcinek serialu *CSI: Kryminalne zagadki czegoś tam*.

– Ktoś tu fachowo posprzątał – stwierdził Mahoney. – I nie mam bynajmniej na myśli sprzątaczk.

Jedną z wad luminolu jest to, że chociaż potrafi wydobyć ślady krwi, to reaguje również z niektórymi środkami, jakie stosują ludzie, żeby się ich pozbyć, na przykład z wybielaczem. I z tym właśnie mieliśmy do czynienia. Wyglądało to tak, jakby cała sypialnia pomalowana została chloroksem.

Bez wątpienia popełniono tu przestępstwo. Niewykluczone, że nawet morderstwo.

## Rozdział 50

Tego, co się stało jakieś pół godziny później, nikt się nie spodziewał.

Z living roomu dobiegł gwar podnieconych głosów. Zajrzeliśmy tam z Nedom. Kilku techników zgromadziło się wokół brodacza stojącego na niskiej drabince przy drzwiach. Facet trzymał w ręku plastikową osłonę, którą zdjął przed chwilą z czujnika dymu zainstalowanego na suficie, i pokazywał czubkiem ołówka niewinnie wyglądający guzek na płytce montażowej urządzenia.

– Głowę dam, że to kamera. Bardzo wyrafinowana.

Nareszcie jakiś przełom.

Ned zarządził natychmiast powtórne przeszukanie obu budynków. Wszyscy po wyłączali swoje komórki oraz odłączyli od sieci telewizory i komputery, żeby nie zakłócały pracy detektorów częstotliwości radiowych.

Samo przeszukanie nie trwało już długo. Półtorej godziny później cała ekipa zebrała się na odprawę w foyer głównego domu. Kilka osób znałem, między innymi zastępcę dyrektora Luke’a Hamela i Elaine Kwan z zespołu analiz behawioralnych, komórki, w której kiedyś pracowałem.

Dziwiło mnie, że sprawie nie nadano jeszcze najwyższego priorytetu.

Ekipą techników kierowała agent specjalny Shoanna Spears. Była to wysoka, postawna blondynka z bostońskim akcentem i malutkim tatuażem wystającym spod kołnierza bawełnianej koszuli. Stała na schodach i zwróciła się do zebranych:

– Przeszukaliśmy już w zasadzie cały dom. W każdym pokoju, nawet w łazienkach i pomieszczeniach służbowych, znaleźliśmy przynajmniej jedną kamerę.

– I co filmowały te wszystkie kamery? – spytał Hamel.

– Trudno powiedzieć. Są bezprzewodowe; mogą przekazywać sygnał do dowolnej stacji bazowej w promieniu trzystu metrów, może nawet większym. Na drugim piętrze znaleźliśmy komputer z odpowiednim oprogramowaniem, ale na dysku twardym nie ma żadnych zarchiwizowanych plików. To by znaczyło, że albo obserwacja prowadzona była jedynie na żywo, albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś skopiował te pliki na inny nośnik i zabrał, a z twardego dysku je wykasował.

– W takim razie czego właściwie mamy szukać? – odezwał się spod drzwi wejściowych Mahoney. – Dyskietek? Pendrive’ów? Laptopa?

Agentka Spears kiwnęła głową.

– Czegoś w tym rodzaju – powiedziała. – To zwyczajne pliki wideo. Mogą być z powodzeniem przechowywane na czymkolwiek.

Ludzie nie kryli rozczarowania. Spodziewali się usłyszeć coś bardziej konkretnego. I wtedy Spears dorzuciła:

– Nie wiem, czy to coś wniesie, ale ze sprzętu na górze zdjęliśmy odciski palców tylko jednej osoby. Przepuszczamy je właśnie przez IAFIS\*.

---

\* Integrated Automated Fingerprint Identification System – zintegrowany automatyczny system identyfikacji linii papilarnych.

## Rozdział 51

– Nic z tego nie rozumiem, Tony. Dlaczego nie powiesz mi przynajmniej, dokąd jedziemy? Takie to trudne?

Prawda była taka – i Nicholson odkrył ją tego popołudnia – że brakowało mu ikry niezbędnej do popełnienia morderstwa z zimną krwią. W każdym razie własnymi rękami. Wydawało mu się zawsze, że gdyby zaszła taka potrzeba, bez wahania przyduśliby Charlotte poduszką albo dosypał jej czegoś trującego do kawy. Teraz okazywało się, że nic z tego. A było już za późno, żeby zakontraktować kogoś, kto by go w tym wyręczył.

Wrzucał do torby ostatnie rzeczy, a Charlotte zrzędziła z drugiej strony łóżka. Torba od Louisa Vuittona, którą dla niej przeznaczył, wciąż stała pusta, a jego cierpliwość się wyczerpywała. Najchętniej przyłożyłby jej w dziób. Tylko co by to dało?

– Kochanie. – To słowo ledwie przeszło mu przez gardło. – Po prostu mi zaufaj. Spóźnimy się na samolot. Potem ci wszystko wyjaśnię. A teraz pakuj się szybko i w drogę. W drogę, kotku. Zanim do reszty mnie wkurzysz i łeb ci ukręcę gołymi rękami.

– Chodzi o tych mężczyzn, których przyprowadziłeś tu w nocy, prawda? Od razu wiedziałam, że coś z nimi nie w porządku. Jesteś komuś winien pieniądze. Zgadłam?

– Cholera, Charlotte, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Nie jesteśmy tu już bezpieczni, głuptasku. Najlepsze, co może nas czekać, to więzienie. Najlepsze, rozumiesz? O innych ewentualnościach lepiej nie wspominać.

Zależy, kto dopadnie nas pierwszy, dokończył w myślach.

– Nas? Dlaczego nas? Ja nic nikomu nie zrobiłam.

Nicholson obiegnął łóżko, wygarnął z jej szafy naręczne ciuchów i wrzucił je razem z wieszakami do pustej torby.

A potem jeszcze skórzaną szkatułkę na biżuterię, którą kupił jej we Florencji dawno, dawno temu – w zamierzchłych czasach, kiedy był młody, zakochany, a przede wszystkim głupi.

– Wychodzimy. Ale już.

Podreptała za nim przestraszona, że ją zostawi, i na to właśnie liczył. Doszli tak do holu i tam już Charlotte zupełnie się rozkleiła. Usłyszał za sobą ni to jęk, ni krzyk, a kiedy się obejrzał, zobaczył ją w półprzysiadzie na wypolerowanej posadzce z łupkowych płyt. Czarne strumyczki rozmazanego makijażu spływały jej wraz ze łzami po policzkach. Zawsze za bardzo się pacykowała, jak ta kokota, że też od razu nie dało mu to do



myślenia.

– Tak się boję, Tony. Cała się trzęsę. Widzisz? Czy ty nie dostrzegasz niczego poza swoimi potrzebami? Dlaczego taki jesteś?

Nicholson upuścił torbę na ziemię, chwycił żonę za rękę, szarpnął brutalnie i powlókł po posadzce. Charlotte zapierała się, kopała i piszczała, ale nie zwracał na to uwagi. Byle tylko dociągnąć ją do samochodu i wepchnąć do środka. Tam tę upartą, głupią krowę może, kurwa, nawet szlag trafić.

I nagle coś łupnęło w drzwi frontowe z taką siłą, że zatrzęszczały i pękły przez środek. Jeden rzut oka przez okno i Nicholson już wiedział, co to było – taran. Przemknęło mu przez myśl, że chyba już za późno, by nawet samemu się ratować.

Zaraz po pierwszym nastąpiło drugie potężne uderzenie. Zasuwa i rygiel odpadły jak dziecięce zabawki i drzwi z impetem otworzyły się na oścież.

## Rozdział 52

– Uciekaj.

Tyle tylko zdążył poradzić żonie, zanim puścił jej rękę, obrócił się na pięcie i pognął sprintem do drzwi na podwórko. Wszystko, co do tej pory było ważne, schodziło na plan dalszy, najważniejsze teraz to ratować skórę.

Wbiegając do kuchni, nadział się w progu na wychodzącego z niej niewysokiego, krępego Latynosa.

Kurczę, a ten skąd się tu wziął? – zdążył pomyśleć i w następnej sekundzie chrupnęło mu w kolanie. Zamajaczył mu jeszcze klucz francuski w ręku mężczyzny, a potem pociemniało z bólu w oczach, padł jak ścięty i tak już został.

Na początku był tylko ten ból, wielka, czerwona kula bólu eksplodująca w nodze.

Potem doszły jeszcze kajdanki. Zatrzasnęły się na jego nadgarstkach nie wiadomo kiedy.

Kajdanki?

Następnie latynoski intruz wziął go za kołnierz, zaciągnął do living roomu i porzucił pośrodku dywanu. Charlotte siedziała już tam na jednym z barcelońskich foteli z ustami zaklejonymi srebrnym przyklepcem. Drugi mężczyzna – naprawdę było ich tylko dwóch? – stał za nią i przyglądał się Nicholsonowi beznamiętnie, prawie ze znużeniem, jakby robił takie rzeczy na co dzień.

Nie byli z FBI ani z policji; to się wyczuwało. I w niczym nie przypominali tamtych dwóch bandziorów. Ubrani byli na ciemno, na głowach mieli czarne kominiarki, a na rękach lateksowe rękawiczki.

Nie gliniarze, ale blisko. Byli gliniarze? Siły specjalne?

Ten, który go powalił, miał złamany nos i czarne oczy, którymi patrzył na niego z góry jak na marnego robaka.

– Dysk – warknął.

– Jaki dysk? – wykrztusił Nicholson przez zaciśnięte zęby. – O co ci, cholera, chodzi?

Mężczyzna spojrział na zegarek z nierdzewnej stali.

– Masz niecałe dwie minuty.

– Dwie minuty i co? – spytał Nicholson, ale zaraz zobaczył odpowiedź na swoje pytanie.

Wyższy z mężczyzn wyjął z kieszeni plastikowy worek i naciągnął go Charlotte na głowę. Szarpała się, ale on bez trudu owinął jej ciasno szyję srebrnym przyklepcem, odcinając dopływ powietrza do worka.

Nicholson obserwował, jak zmienia się wyraz twarzy Charlotte, kiedy ta uświadomiła sobie, co się dzieje. Nawet szkoda mu się jej zrobiło, może to odezwała się dawna miłość, która podobno nigdy nie rdzewieje, w każdym razie jakaś... ludzka emocja. Po raz pierwszy od lat poczuł więź z Charlotte.

– Zwariowałeś! Nie wolno ci tego zrobić! – wrzasnął na mężczyznę, który przytrzymał jego żonę.

– Pan to robi, panie Nicholson. To pan, nie my, jest panem sytuacji. Wszystko od pana zależy. Powstrzymaj nas pan, na litość boską.

– Ale ja nawet nie wiem, o co wam chodzi. Wyjaśnijcie mi!

Zerwał się z dywanu, żeby pośpieszyć Charlotte z pomocą, lecz kontuzjowane kolano nie utrzymało jego ciężaru i zwałił się z powrotem na ziemię, wklinowując między kanapę a stolik.

– No proszę, powiedzcie, o co wam chodzi! Bo ja naprawdę nie wiem! – zawył błagalnie Nicholson, wychodząc z siebie, żeby zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco. Była to kreacja jego życia, bo i o życie tu chodziło.

Kiedy wreszcie udało mu się wgramolić na kanapę, Charlotte już się nie ruszała.

Jej znajome błękitne oczy stały w śłup. Głowa, nadal uwięziona w plastikowym worku, spoczywała na ramieniu jak u marionetki, która czeka, aż ktoś ją ożywi. Na ten groteskowy widok nietrudno było przekonująco zareagować.

– Skurwysyny! Skurwiele popierdolone, zabiliście ją! Wierzycie mi teraz? Tego było wam trzeba?

Mężczyźni wymienili spojrzenia, wzruszyli ramionami.

– No to pójdziemy – powiedział biały.

Ten drugi kiwnął głową i Nicholsonowi wydawało się przez chwilę, że się wymigał, że ta liczba mnoga odnosi się tylko do nich dwóch. Tylko mu się wydawało. Jeden zarzucił sobie na ramię Charlotte, drugi pociągnął Nicholsona.

Skacząc na zdrowej nodze do drzwi – i Bóg jeden wie, dokąd dalej za nimi – Nicholson przeprowadził rachunek sumienia. I wyszło mu, że żałuje, iż nie był miłszy dla Charlotte.

## Rozdział 53

Jechaliśmy z Nedom Mahoneyem moim wozem międzystanową I-66 na wschód, w kierunku Alexandrii, kiedy przyszedł meldunek od wirginijskiej policji stanowej, że się spóźniliśmy, że dom Nicholsona zastali pusty. Stwierdzili ślady włamania i szamotaniny, znaleźli dwie porzucone, spakowane do drogi walizki, a samochody obojga Nicholsonów stały wciąż w garażu.

Powiadomiono drogówkę, ale ta, nie dysponując opisem pojazdu, którym porusza się poszukiwany, niewiele mogła zdziałać.

Plan zbiórki w domu Nicholsona utrzymany został w mocy. Zastępca dyrektora Hamel wezwał natychmiast na miejsce inny zespół techników. A Mahoney zadzwonił do kogoś z Gmachu Hoovera z prośbą o szybkie wszczęcie poszukiwań Nicholsona.

Miał ze sobą służbowy toughbook<sup>\*</sup>, co pozwoliło mu przyśpieszyć wyszukiwanie informacji. Dzielił się nimi ze mną na bieżąco, przebierając palcami po klawiaturze i nie odrywając oczu od ekranu:

– No więc tak, nasz podopieczny nie był nigdy aresztowany, naturalizowany, zatrudniony na państwowym etacie, nie służył w wojsku, co mnie akurat nie dziwi. Nie nosi też żadnych przydomków. I nie przewija się przez żadne akta Biura czy to jako Tony, czy jako Anthony Nicholson.

– Wątpię, żeby to on był naszym mordercą – mruknąłem.

Mahoney przerwał swoje zajęcie i spojrzał na mnie.

– Dlaczego?

– Za dużo tutaj luźnych końców – wyjaśniłem. – Nicholson najwyraźniej zalicza się do tego towarzystwa, ale to wszystko, Ned. Jak w tej starej dykteryjce o pięciu ślepcach i wszystkich częściach ciała słonia.

– I Nicholson czym by był? Dupą?

Roześmiałem się. Mahoney był mistrzem szybkich skojarzeń.

– Myślę, że ktoś przyszedł do niego po to samo co my, tylko wcześniej. A to znaczy, że podąża tym samym tropem, ale jest o krok przed nami.

---

\* Notebook o wzmocnionej konstrukcji firmy Panasonic produkowany na potrzeby wojska i policji.

– Albo... – Mahoney uniósł palec – albo gość upozorował swoje zniknięcie. Nic prostszego. Zostawić parę wypchanych walizek, uszkodzić kilka mebli, a teraz jest ze swoją kolekcją filmików z ukrytej kamery na środku Atlantyku, podczas gdy my wciąż śmiejemy mu w domu proszkiem daktyloskopijnym.

Rozważaliśmy jeszcze przez jakiś czas rozmaite możliwości, dopóki nie nadszedł kolejny meldunek. Czegokolwiek dotyczył, Mahoney znów się ożywił. Wstukał do swojego laptopa jakiś adres.

Kilka sekund później prowadzeni przez GPS pędziliśmy już obwodnicą Beltway w kierunku Alexandrii, ale nie do domu Nicholsona.

– Osiedle Avalon Apartments – rzucił Mahoney. – Nicholson figuruje tam w bazie danych niesolidnych najemców. Zalega z czynszem czy coś w tym rodzaju.

– Wynajmuje coś? – zdziwiłem się. – W tym samym miasteczku, w którym ma już jeden dom?

Mahoney kiwnął głową.

– W tym domu mieszka z żoną, która, idę o zakład, jest co najmniej o piętnaście lat starsza od osóbkę, którą zastaniemy za drzwiami posesji numer dwa. No co, o dwadzieścia dolców?

– Nie ma głupich.

## Rozdział 54

Tony Nicholson wychylił się z tylnego siedzenia na tyle, na ile pozwoliły mu kajdanki. W oknach na piętrze paliło się światło.

– Niepotrzebnieśmy tu przyjechali – powiedział. – Ona o niczym nie wie. Mówię wam.

Ten, który zrujnował Nicholsonowi nogę, otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– Nigdy nic nie wiadomo – mruknął. – Może gadasz przez sen.

Wysiadł, podszedł do drzwi frontowych, otworzył je kluczem Nicholsona i zniknął w środku.

Nicholson nie tracił jeszcze nadziei, że zdoła uratować siebie, a może i Marę. Oczami wyobraźni ujrzał jej piękną twarz w szczelnie zalepionym plastikowym worku.

Kierowca był wysokim mężczyzną i blondynem – jak on – miał jasne oczy i wysokie czoło. Wyglądał na inteligentniejszego od tamtego meksyka. Niewykłuczone, że był też rozsądniejszy.

– Słuchaj – odezwał się szeptem Nicholson. – Wiem, czego szukacie. Mogę wam pomóc to znaleźć, ale muszę mieć jakieś gwarancje.

Mężczyzna siedział prosto, jakby kij połknął, wpatrzony w przednią szybę. Zdawał się nie słyszeć, co do niego szepcze Nicholson.

– Krótko mówiąc, chcę dobić targu.

Nadał żadnej reakcji z przedniego fotela.

– Chodzi o dysk. Z Zeusem. Słyszysz? Powiem wam, gdzie jest.

– Owszem – mruknął wreszcie blondyn. – Powiesz.

– Jak to... nie chcesz ubić interesu? Teraz? Tutaj? Dlaczego, do cholery?

Palce kierowcy bębniły lekko po kierownicy.

– Bo i tak cię zabijemy. Ciebie i twoją przyjaciółczkę.

Nicholsonowi zadudniło głucho w piersiach i teraz już naprawdę strach zajrzał mu w oczy. Roześmiał się trochę sztucznie, desperacko.

– Jezu, kolego, nie będę cię pouczał, sam najlepiej wiesz, co robisz, ale dlaczego miałbym...

Kierowca odwrócił się niespodziewanie, sięgnął do strzaskanego kolana Nicholsona i ścisnął je mocno.

Ból zaparł Nicholsonowi dech w piersiach. Szczęka mu opadła, krtań się zacisnęła. Nie był w stanie zaczerpnąć tchu, a co dopiero krzyknąć. W ciszy, jaka zaległa, słyszał wyraźnie, co cedzi przez zęby oprawca:

– Bo przyjdzie taki czas, kolego, że odechce ci się żyć i zapragniesz śmierci. Zrozumiano? A jeśli do tego czasu nie powiesz nam jeszcze, co chcemy wiedzieć... to wierz mi, że wtedy wszystko wyśpiewasz.

## Rozdział 55

Drzwiczki otworzyły się i do samochodu wsunęła się Mara – najpierw jej kształtna pupcia, potem blond główka przyduszana od góry dłonią tego drugiego. Zanim drzwiczki się za nią zatrzasnęły, Nicholson zauważył czterdziestkępiątkę wystającą gościowi zza paska.

Mara, co zupełnie zrozumiała, wyglądała na spanikowaną. Kurczę, przecież miała dopiero dwadzieścia trzy lata. Złożone dłonie trzymała przed sobą, udrapowany na nich sweterek osłaniał kajdanki. Dostała ten sweterek od niego w prezencie. Kaszmirowy. Z salonu Polo w Alexandrii. W lepszych czasach.

– Nic ci nie jest?

– Jejku, Tony, co się dzieje? Powiedział mi, że jest z policji. Pokazał odznakę. To prawda?

– Lepiej o nic nie pytaj – poradził jej przyciszonym głosem Nicholson.

Przetrącona noga rwała tak, jakby miała lada moment eksplodować. Trudno mu się było skupić, a obecność Mary tylko pogarszała sytuację. I to jak pogarszała. Nicholson kochał tę dziewczynę. Była zupełnym przeciwieństwem Charlotte. Po pierwsze, za dużo wiedziała. Po drugie, pochodziła z Nowego Jorku, z irlandzko-włoskiej rodziny. A trzymanie gęby na kłódkę nie było najmocniejszą stroną większości nowojorczyków.

– O co im chodzi? – nie dawała za wygraną. – Dokąd nas zabierają? Powiedz mi, Tony.

– Cholernie dobre pytanie – mruknął Nicholson, a potem kopnął zdrową nogą oparcie przedniego fotela i wrzasnął: – Dokąd nas, kurwa mać, zabieracie?!

Oberwał za to z backhandu lufą czterdziestkiąpiątki w kość policzkową. Zabolało, ale nie za bardzo. A że zabolęło, to nawet dobrze, bo to znaczyło, że wciąż jeszcze żyje, nie?

– No dobrze, dobrze, nieważne dokąd, w każdym razie ja już u niego nie pracuję – poinformowała Mara dwóch siedzących z przodu osobników. – Słowo daję. Powiem wam, co tylko chcecie wiedzieć. Prowadziłam księgowość.

– Zamknij się, Mara – syknął Nicholson. – To nic nie da.

– On szantażuje ludzi. Ważne osobistości. Ciągnie od nich forszę. Nagrywa ich, a potem...

Nicholson napał na nią ramieniem, na tyle tylko pozwalała mu ograniczona



swoboda ruchów.

– Mara, ostrzegam cię.

– Bo co, Tony. Trochę za późno na twoje ostrzeżenia, nie uważasz? Mnie tu w ogóle nie powinno być.

W jej ciemnobrązowych oczach płonęły strach i gniew, to samo, co odczuwał on, a więc trochę nie fair by było zupełnie ją potępiać.

– Same znane nazwiska – paplała dalej jak nakręcona. – Bogaci faceci. Politycy, ci z Wall Street, prawnicy, te sfery...

– Dobra, dobra – przerwał jej kierowca. – Nas interesuje to, o czym jeszcze nie wiemy. Albo mówisz coś ciekawego, albo – tu zacytuję tego twojego kochasia – zamknij się, Mara.

## Rozdział 56

Mahoney podał przez radio naszą nową pozycję, kiedy prowadzeni przez GPS zjeżdżaliśmy z Beltway w Eisenhower Avenue. Zapadał zmierzch, ale ruch na drogach był jeszcze spory. Ludzie wracali z pracy.

Dwa i pół kilometra od zjazdu zaczynał się szereg identycznych trzypiętrowych budynków ciągnący się wzdłuż ulicy. Tablica nad odchodzącą w bok drogę osiedlową informowała: *Witamy w Avalon Apartments.*

GPS poprowadził nas mini labiryntem wewnętrznych uliczek. Było to jedno z tych ekskluzywnych zamkniętych osiedli z własną infrastrukturą. Ceny wynajmu zaczynały się tutaj, jak wyczytał w swoim laptopie Mahoney, od trzech i pół tysiąca za miesiąc.

– Wiesz, moja ciotka z Vero Beach na Florydzie mieszka w czymś takim. Maksymalnie można tam mieć w domu dwa zwierzaki, ale ona ma cztery identyczne pieski. I wyprowadza je na spacer dwójkami.

Słuchałem go jednym uchem, rozglądając się czujnie po okolicy.

– Hej, Ned, widzisz? – mruknąłem, kiedy skręcaliśmy w uliczkę, przy której mieszkał Nicholson. Z podjazdu jakieś pięćdziesiąt metrów przed nami wyjeżdżał granatowy sedan. – Czy to czasem nie budynek Nicholsona?

Mahoney wyprostował się w fotelu pasażera i zamknął laptop.

– Możliwe. Sprawdźmy.

Granatowy sedan jechał już w naszą stronę. Miał waszyngtońską rejestrację. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn, dwójkę pasażerów z tyłu trudniej było zidentyfikować.

Kiedy się mijaliśmy, zerknąłem odruchowo na tylne okno sedana i na sekundę nawiązałem kontakt wzrokowy z Nicholsonem.

## Rozdział 57

Kiedy zawyła moja syrena, granatowy sedan przyśpieszył gwałtownie i po chwili skręcał już na pełnym gazie za róg. Nie miałem zielonego pojęcia, kim są ci ludzie – mafiosami, płatnymi mordercami, czy kim tam jeszcze – ale z ich reakcji wynikało, że Nicholson i jego przyjaciółka są w poważnych tarapatkach.

Ned rozmawiał już przez telefon.

– Mahoney z tej strony. Mamy Nicholsona. Ścigamy granatowego pontiaca G sześć na waszyngtońskiej rejestracji.

Za kolejnym zakrętem zobaczyliśmy ich. Stali na końcu uliczki wyjazdowej z osiedla, blokowani przez spory wciąż ruch na Eisenhower.

– Punkt dla dobrych chłopców! – zawołał Ned, pompując pięścią, a mnie przemknęło przez myśl, że może zatrzymanie pójdzie już teraz bezproblemowo.

Nagle otworzyły się drzwiczki z obu stron pontiaca, mężczyźni wysiedli i zaczęli strzelać!

Zanim zdążyliśmy z Nedom wyskoczyć z wozu, pocisk przebił z głuchym pacnięciem przednią szybę. Pchnąłem drzwiczki od strony kierowcy i wytoczyłem się na jezdnię. Mahoney zrobił to samo od swojej strony.

Z przydrożnego rowu, w który się sturlałem, widziałem tylko kierowcę sedana, wysokiego, krótko ostrzyżonego blondyna. Wyglądał na wojskowego i wciąż strzelał. Nie odpowiadałem ogniem, bałem się.

Powstrzymywały mnie samochody przejeżdżające Eisenhower za jego plecami. Zachodziła obawa, że kogoś tam przypadkowo postrzelę. Facet chyba wyczuł moje wahanie, bo popędził w kierunku najbliższego budynku.

Kiedy przebiegał pod tablicą powitalną nad wjazdem na teren osiedla, oddałem do niego dwa mierzone strzały. Dwie łuski jedna po drugiej uderzyły mnie w ramię. Blondyn padł trafiony drugim pociskiem.

Ale to nie był jeszcze koniec, bynajmniej. Mahoney zerwał się, strzelając. Zobaczyłem teraz drugiego mężczyznę. Leżał na jezdni, w nogawce spodni miał wilgotną dziurę, ale wstał i utykając, zaczął się oddalać.

– Rzuć broń! – krzyknął za nim Mahoney.

Wziąłem faceta na muszkę w momencie, kiedy unosił swoją czterdziestkępiątkę,

żeby posłać kulkę Mahoneyowi.

Byliśmy szybsi. Szarpnęło nim raz i drugi. To nasze pociski dosięgły celu, jednak zdołał mimo wszystko nacisnąć spust. Ned przykucnął i oddał kolejny strzał. Trafił faceta w ramię.

Gość żył jeszcze, kiedy do niego dobiegliśmy. Oczy miał szeroko otwarte, dygotał, ale palec trzymał wciąż na spuście. Ned przydeptał mu nadgarstek i wyjął czterdziestkępiątkę z dłoni.

– Trzymaj się – powiedział. – Karetka już jedzie.

Ale z facetem było źle. Z rany w brzuchu buchała krew. Za dużo jej było, za szybko się lała. Mahoney pobiegł do Nicholsona i kobiety, ja ściągnąłem marynarkę, zwinąłem ją w kłęb i docisnąłem do rany.

– Dla kogo pracujecie? – spytałem.

Nie byłem pewien, czy mnie usłyszał. Nie wyglądał na wystraszonego, ale oczy miał wielkie jak spodki. Spróbował przełknąć i z ust popłynęła mu krwawa piana. Moja marynarka nasiąkała już jak gąbka.

– No, mów! – krzyknąłem. – Kto was tu przysłał?

Przestał oddychać, ścisnął mocno moje przedramię, a potem dłoń mu zwiotczała. Skonał, nie wyjawiając niczego, co pomogłoby nam zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

## Rozdział 58

Do naszych dwóch trupów dołączył szybko trzeci. W bagażniku pontiaca odkryliśmy ciepłe jeszcze zwłoki sinej na twarzy Charlotte Nicholson.

Tony Nicholson i jego domniemana dziewczyna Mara Kelly powiedzieli tylko, że nic złego nie zrobili i nie mają pojęcia, kim byli zastrzeleni przez nas mężczyźni. Tyle zdołaliśmy z nich wydobyć, zanim zostali aresztowani przez FBI.

Grupa zadaniowa rozrosła się tymczasem do trzech samochodów Biura, policji aleksandryjskiej, zespołu techników i lokalnego biura szeryfa. W pierwszej wolnej chwili postanowiłem zadzwonić do Bree.

Dopiero wtedy stwierdziłem, że mam wyłączony telefon, i to od wielu godzin. Włączyłem go i znalazłem trzy wiadomości oczekujące w poczcie głosowej – wszystkie od Bree.

Zaniepokojony odsłuchałem pierwszą:

„Cześć, to ja. Słuchaj, lekarzy niepokoi praca nerek Nany. Mówią, że poziomy płynów w jej organizmie nie są takie, jak trzeba. Nie postawili jeszcze ostatecznej diagnozy, ale oddzwoń do mnie. Całuję”.

Ruszyłem w stronę swojego samochodu, wcale nieprzekonany, czy chcę odsłuchać drugą wiadomość.

„Alex, tu znowu Bree. Dzwoniłam do Biura, ale tam nikt nie wie, gdzie jesteś. Nie mam numeru komórki Neda. Nie wiem, co robić. Z Naną nie jest najlepiej. Mam nadzieję, że ta wiadomość szybko do ciebie dotrze”.

Puściłem się biegiem, ale trzecia wiadomość omal nie osadziła mnie w miejscu.

„Alex, gdzie ty się podziewasz? Zła jestem, że muszę się z tobą komunikować w ten sposób, ale... Nana zapadła w śpiączkę. Wyłączam teraz komórkę i wracam na oddział, a więc nie będziesz się mógł do mnie dodzwonić. Przyjeżdżaj najszybciej, jak możesz”.

## Rozdział 59

Uroczystość odbywająca się tego wieczoru w Number One Observatory Circle\* była stosunkowo nieformalna – marylandzki krab w potrawce dla kilku członków personelu średniego szczebla oraz ich rodzin. Marynarki owszem, ale bez krawatów – dopóki przed samą kolacją wiceprezydent nie ściągnął marynarki, a reszta gości nie poszła za jego przykładem.

Agent Cormorant pozostał jednak w marynarce. Była specjalnie skrojona, by nie wypychała jej pod pachą kabura z pistoletem SIG Sauer .357, i chociaż impreza zaliczała się do tych o niewielkim stopniu zagrożenia, to Cormorant miał w swoim zawodowym DNA zakodowane, by nie brać niczego za dobrą monetę, a zwłaszcza ostatnio.

Secret Service ochraniała tę rozrastającą się rezydencję w wiktoriańskim stylu od 1972 roku. Rockefellerowie nigdy się tu nie wprowadzili, ale przed Tillmanami mieszkali tu już Mondale'owie, Bushowie, Quayle'owie, Gore'owi e i Cheneyowie. Każdy kąt tego domu był dokładnie udokumentowany, i to dosłownie. Cormorant znał go lepiej niż własne mieszkanie z dwiema sypialniami przy M.

Kiedy więc zaszła potrzeba zamienienia paru słów na osobności z wiceprezydentem, na wszelki wypadek udał się do biblioteki okrężną drogą, przez salonik na tyłach domu, żeby nikt z gości nie widział, jak tam wchodzi ani jak wychodzi.

Tillman nalał sobie szkockiej z lodem i czekał przy kominku, aż Cormorant zamknie i zarygluje drzwi po obu stronach pokoju.

– No, co się nam takiego niecierpiącego zwłoki urodziło, Dan? – spytał.

– Nie będę ukrywał, panie wiceprezencie, że łamię teraz wszelkie procedury – wyznał Cormorant.

Tillman pociągnął łyczek ze szklaneczki.

– A to coś nowego. Ostrzeżenie, jak rozumiem.

Przyjaźnili się, na ile mogą się przyjaźnić ludzie na ich stanowiskach. Kiedyś będą może jeździli razem na ryby i wakacje, ale teraz jeden był panem wiceprezydentem, drugi agentem Cormorantem – ochraniający i ochraniający.

– Panie wiceprezencie, jestem zdania, że pora poinformować panią prezydent o Zeusie. A konkretnie o tym, że być może ktoś powiązany z Białym Domem albo z rządem

---

\* Oficjalna rezydencja wiceprezydenta USA.

jest mordercą.

Tillmanowi stężała twarz, odstawił drinka.

– Tyle pani prezydent już wie. Ode mnie. Potrzebne nam fakty. Potrzebne nazwisko.

Tillman został już powiadomiony o nalocie FBI na wirginijski klub, ale nie znał jeszcze szczegółów. Cormorant zreferował mu je pokrótce, powiedział też o kamerach znalezionych w seksklubie.

– Pseudonim Zeus na razie nie wypłynął, ale jeśli zostaną znalezione jakieś nagrania wideo z tych kamer, to pseudonim nie będzie miał znaczenia.

– Kiedy znaleźli te kamery? – spytał Tillman. Był wyraźnie poruszony.

– Dzisiaj. Po południu.

– To skąd już o tym wiesz?

Cormorant wytrzymał w milczeniu jego badawczy wzrok. Miał nadzieję, że to milczenie poczytane mu zostanie za oznakę szacunku.

– No, nic – podjął Tillman. – Mniejsza z tym. Kontynuuj. Przepraszam, że ci przerwałem.

– Tylko prokurator generalny mógłby tu coś zaradzić. Gdyby istniał jakiś dobry pretekst do odstąpienia od śledztwa albo chociaż jego spowolnienia...

Tillman wyraźnie się obruszył.

– Nie kończ. Chcesz, żeby prezydent wywarł nacisk na prokuratora generalnego? Zdajesz sobie w ogóle sprawę, co proponujesz?

– Nie o to mi chodzi, panie wiceprezydencie. Najważniejsza jest ochrona pani prezydent Vance i obecnej administracji.

Zza drzwi prowadzących do foyer dobiegła salwa śmiechu. Cormorantowi powieka nawet nie drgnęła, jedynie nieco zniżył głos:

– Nie sugeruję zamiatania tego skandalu pod dywan. Potrzeba mi tylko trochę czasu na ustalenie, kim jest ten Zeus. Jeśli mi się to uda, Biały Dom będzie mógł się lepiej przygotować do stawienia czoła burzy, jaka się wkrótce za jego sprawą rozpęta. A nie ma wątpliwości, że się rozpęta, to tylko kwestia czasu, panie wiceprezydencie.

– Co na to Reese? – spytał Tillman. – Rozmawiałeś z nim? Wie o tych kamerach?

– Zrelacjonowałem dzisiaj pokrótce szefowi personelu, jak sprawy stoją, ale o udaniu się z tym do pani prezydent nie było mowy. Chciałem najpierw zasięgnąć pańskiej opinii.

– Nie próbuj mnie z nim poróżnić, Dan. I nie próbuj mnie poróżnić z prezydent

Vance. Pani prezydent może liczyć na moją pełną lojalność.

– Ależ, panie wiceprezydencie...

– No, dobrze. Zrobisz tak. – Tillman podjął już decyzję. – Porozmawiaj szczerze z Gabe'em. Jeśli przyjdzie z tym do mnie, zaczniemy działać. Jeśli nie, to naszej rozmowy nie było.

Wiceprezydent był już w połowie drogi do drzwi.

– Walter! – zawołał za nim Cormorant, po raz pierwszy podnosząc głos. – Potrafię go znaleźć. Tego Zeusa. Daj mi tylko trochę czasu.

Tillman przystanął, ale się nie odwrócił.

– Porozmawiaj z Gabe'em – rzucił i ruszył dalej w kierunku drzwi. Agent Cormorant, chcąc nie chcąc, wyszedł za nim.

Rozmowa była skończona, a w sąsiednim pokoju stygł krab.



## Rozdział 60

Na sygnale przejechałem przez most nad Potomakiem, wpadłem do miasta i wyłączyłem syrenę dopiero przed szpitalem St. Anthony's. Od odsłuchania wiadomości od Bree cały byłem w nerwach. Jak mogło do tego dojść? Jeszcze rano Nana rozmawiała z nami, jej stan się poprawiał...

Wysiadając z windy na szóstym piętrze, zobaczyłem Jannie. Siedziała pod ścianą na brzeżku plastikowego krzeselka przy wejściu na OIOM. Na mój widok zerwała się z niego, podbiegła i przytuliła do mnie.

– Nana jest w śpiączce, tatusiu. Nie wiadomo, czy się z niej wybudzi.

– Ciii. Wiem, wiem. Już jestem. – Rozluźniła się i rozplakała. Była taka silna i tak krucha zarazem. Zupełnie jak Nana, pomyślałem. – Widziałaś ją?

Kiwnęła głową.

– Przez chwilę. Potem pielęgniarka mnie wyprosiła, powiedziała, żebym zaczekała tutaj.

– Już dobrze. Chodźmy do niej.

Przy Nanie na tym samym krześle, na którym przespałem ostatnią noc, siedziała Bree. Wstała i objęła nas oboje.

– Jak dobrze, że wreszcie jesteś – wyszeptała.

– Co się stało? – spytałem też szeptem. Chyba na wypadek, gdyby Nana słyszała.

– Nerki przestały działać, Alex. Jest teraz dializowana i z powrotem na hydraglinie, betablokerach...

Słuchałem jej jednym uchem, nogi się pode mną uginały, w głowie się kręciło.

Nana wyglądała o wiele gorzej niż rano. Nie byłem na ten widok przygotowany.

Ponownie leżała pod respiratorem z rurką tracheotomijną w krtani i drugą rurką do karmienia w nosie. Ale najgorsza była jej ściągnięta, wykrzywiona bólem twarz. Coś straszego.

Usiadłem przy niej.

– To ja, Alex. Jestem przy tobie. To ja, Alex, staruszko.

Odnosiłem wrażenie, że oddziela nas od Nany gruba tafla szkła. Mogłem do niej mówić, widzieć ją, dotykać jej, ale dosięgnąć już nie mogłem. Straszne uczucie. Wolałem

nie myśleć, co to będzie.

Zazwyczaj dobrze sobie radzę w kryzysowych sytuacjach – na co dzień mam z nimi do czynienia – lecz ta mnie przerastała. Kiedy podeszła do mnie Jannie, nie próbowałem nawet ukrywać łez.

## Rozdział 61

Tej nocy, jeśli akurat się nie zdrzemnąłem albo nie musiałem zejść z drogi pielęgniarcom, które zaglądały co kilka godzin, żeby sprawdzić stan pacjentki, mówiłem do Nany. Z początku ograniczałem się do samych banałów – opowiadałem, jak ją kochamy, jak mocno trzymamy za nią kciuki, a nawet co dzieje się w salce.

W końcu jednak dotarło do mnie, że Nanie najbardziej zależało zawsze na prawdzie, jakakolwiek by ona była. Zacząłem jej więc opowiadać o wypadkach minionego dnia.

– Musiałem dzisiaj zabić człowieka – wyznałem na głos i czekałem, zupełnie jakbym się spodziewał, że Nana jakoś to skomentuje. Nie doczekałem się.

Przypomniało mi się za to, o co w pierwszej kolejności spytała dawno temu przy okazji podobnej rozmowy:

*Miał rodzinę, Alex?*

Miałem wówczas dwadzieścia osiem lat. Doszło do napadu z bronią w rękę na mały sklepik spożywczy w Southeast. Nie byłem nawet na służbie, wracałem tylko tamtędy do domu. Mężczyzna nazywał się, nigdy tego nie zapomnę, Eddie Clemmons. Po raz pierwszy do mnie strzelano i po raz pierwszy zmuszony byłem odpowiedzieć ogniem w samoobronie.

*Tak, odparłem wtedy, miał żonę, ale z nią nie mieszkał. I dwoje dzieci.*

Pamiętam, jak nie zdejmując płaszcza, stałem w sieni domu na Fifth Street. A Nana z koszem prania, który właśnie niosła, naprzeciwko mnie. Usiedliśmy na schodach i składając to pranie, rozmawialiśmy o strzelaninie.

*Dojdiesz do siebie, uspokajała mnie. Może nie całkiem, ale dojdiesz. Musisz, bądź co bądź jesteś policjantem.*

I naturalnie się nie myliła. Może dlatego tak bardzo chciałem teraz z nią porozmawiać, usłyszeć od niej, że wszystko będzie dobrze.

Wziąłem jej dłoń, pocałowałem i przyłożyłem sobie do policzka.

– Będzie dobrze, Nana – powiedziałem.

Ale bez przekonania.

## Rozdział 62

Ocknąłem się z czyjąś dłonią na ramieniu.

– Czas do pracy, kotku – szepnął mi ktoś na ucho. – To ja, Tia.

Ciotka Tia postawiła na podłodze wypchaną płócienną torbę. Przez całą noc to się budziłem, to znowu zapadałem w drzemkę; dziwnie było tak siedzieć przy nieprzytomnej Nanie w pokoju bez okien, bez poczucia czasu.

– Zaczekam na poranny obchód – wymruczałem.

– Nie, kotku, do roboty. – Trąciła mnie ponagłajaco w ramię. – Za mało tu miejsca na dwoje, a mnie bolą nogi. No, już cię nie ma.

Z torby, którą ze sobą przyniosła, wystawały drewniane kolorowe druty do robótek, termos i „USA Today”. Ciotka Tia była niemal profesjonalistką w czuwaniu przy łóżkach bardzo chorych i umierających – między innymi mojego wujka, a potem swojej młodszej siostry Anny.

– Chciałam ci przynieść coś do poczytania, ale nie mogłam się zdecydować co, więc w końcu przyniosłam gazetę – powiedziała ciotka Tia. Dopiero po chwili się zorientowałem, że nie zwraca się do mnie, lecz do Nany. – Wiesz, że budowę pomnika doktora Kinga zlecili Chińczykom? Chińczykom, Regina, dasz wiarę?

Tia nie jest sentymentalna, ale na swój sposób święta. Mogłem mieć pewność, że się nie rozpłacze przy Nanie, obojętne, czy ta jest w śpiączce, czy nie. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czubek głowy. Potem Nanę też pocałowałem.

– Cześć, Tia, cześć, Nana. To na razie.

Ciotka dalej perorowała, ale ja słyszałem odpowiadającą mi Nanę. Jeszcze jedno echo, wspomnienie czy co tam jeszcze.

*Będzie dobrze. I uważaj na siebie, Alex.*

W tej chwili nic mi bezpośrednio nie zagrażało. Po wczorajszej strzelaninie byłem na ustawowym urlopie. Nadinspektor Davies ograniczył go do dwóch dni, za co byłem mu wdzięczny, ale nawet te dwa dni to było dla mnie za długo. Musiałem porozmawiać z Tonym Nicholsonem i Marą Kelly. Natychmiast. Poprosiłem więc Sampsona, żeby załatwił jakoś te przesłuchania na swoje nazwisko. A ja pojedę z nim jako dodatkowa para uszu i oczu.

## Rozdział 63

Areszt miasteczka Alexandria mieści się w dużym, starym ceglany budynku na końcu Mill Road.

To tam przetrzymywano Zacariasa Moussaouiego\*, zanim po wyroku został przeniesiony do ściśle strzeżonego zakładu karnego we Florence w Kolorado, gdzie dziwnym trafem siedział również Kyle Craig, seryjny morderca, z którym miałem jeszcze niewyrównane rachunki. Zdziwiająca, jak mały i ciasny okazuje się świat zbrodni dla kogoś, kto tak jak ja ma z nim przez dłuższy czas do czynienia. Wkurzyłem się na samą myśl o Kyle'u Craigu.

Nicholson i pani Kelly siedzieli tutaj – on na parterze, ona na pierwszym piętrze. Umieściliśmy ich w osobnych pokojach przesłuchań i musieliśmy się przemieszczać między nimi windą.

Z początku oboje twierdzili zgodnie, że nie wiedzą, dlaczego ich napadnięto i uprowadzono. Udawałem przez jakiś czas, że w to wierzę, w końcu przy kolejnej wizycie u Mary Kelly położyłem przed nią na stole kserokopię.

– Co to? – spytała.

– Niech pani sama zobaczy.

Pochyliła się, odgarniając wystudiowanym ruchem niesforny kosmyk włosów za ucho paznokciem z białym tipsem. Podawała się za księgową, ale ukończyła tylko pierwszy rok college'u.

– Bilety na samolot? – zdziwiła się. – Nie rozumiem. Po co mi je pokazujecie?

Nad stołem pochylił się Sampson. Ma metr dziewięćdziesiąt wzrostu i potrafi wzbudzić respekt swoją posturą.

– Z Montrealu do Zurychu, na wczorajszą wieczór. Przeczytała pani, co na nim napisane? Nazwiska?

Postukał w kartkę palcem.

– Anthony i Charlotte Nicholson. Pani przyjaciel zamierzał dać nogę. Bez pani, Maro, z żoną.

---

\* Jeden z terrorystów stojących za zamachem z 11 września 2001 roku na dwie nowojorskie wieże.

Odsunęła od siebie kartkę.

– Akurat. Ja też mam komputer i kolorową drukarkę.

Podałem jej swój telefon komórkowy.

– Ma tu pani numer do Swiss Air. Chce pani do nich zadzwonić i potwierdzić rezerwację pani Nicholson?

Nie odpowiedziała. Postanowiłem dać jej parę minut na przyswojenie tego, co przed chwilą zobaczyła i usłyszała. Prawdę mówiąc, miała rację. Podrobiliśmy te bilety. Kiedy wróciliśmy, była już gotowa. Zauważyłem, że płakała, a potem usiłowała zatrzeć ślady tych łez.

– Co chcecie wiedzieć? – spytała i zaraz zmrużyła oczy. – Co będę z tego miała?

Sampson nawiązał z nią kontakt wzrokowy.

– Postaramy się pani pomóc.

Kiwnąłem głową.

– Tak to się odbywa. Pomagamy pomagającym.

Włączyłem przenośny magnetofon i postawiłem go na stole.

– Kim byli ci mężczyźni w samochodzie? Zaczniemy od tego.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Widziałam ich pierwszy raz w życiu.

Uwierzyłem.

– Czego chcieli? Co mówili?

Zastanowiła się. Myślałem, że będzie chciała pogrzyźć Nicholsona, ale chyba się pomyliłem.

– Widzicie, panowie, ostrzegałam go, że do czegoś takiego może dojść.

– To znaczy do czego, pani Maro? – spytał Sampson. – Proszę uściślić.

– Szantażował klientów klubu. Mówił, że zbiera dla nas kapitał „na nową drogę życia”. Tak to nazywał. Dobrze sobie, nie? – Wykonała gest obejmujący cały pokój. – To ma być ta nowa droga życia?

– A nazwiska? Zna pani jakieś? Co pani wie o ludziach, których szantażował?

Mara Kelly ożywiła się, w jej głosie pojawiły się gorycz i nutka sarkazmu:

– Wiem tylko tyle, że był zawsze bardzo ostrożny. Zabezpieczał się, jak tylko mógł, na wszystkie fronty. Gdyby ktoś chciał na niego donieść, pogrzyłyby również sam siebie. A gdyby Tony’emu coś się przytrafiło, to ja miałam ujawnić cały ten proceder. – Odchyliła się na oparcie krzesła, założyła ręce na piersiach. – Taki przynajmniej był plan.

Tym groził kretynom, których szantażował za to, że lubili sobie na boku poświntuszyć.

– I wszyscy płacili? – spytał Sampson.

Znowu potoczyła wzrokiem po ścianach, jakby nie mogła uwierzyć, że się tu znalazła, że tym się to skończyło.

– Ha, gdyby tak było, to byśmy tu teraz nie rozmawiali, no nie?

## Rozdział 64

Niedługo potem Tony Nicholson śpiewał już jak z nut o klubie i szantażu. Ileż razy byłem już świadkiem, jak podejrzani, kiedy wyczują, że grunt usuwa im się spod nóg, zaczynają zeznawać aż miło. Nie musieliśmy go nawet specjalnie ciągnąć za język.

– Jak panowie myślicie, dlaczego ją też wzięli? – spytał w końcu. – I niech was nie zwiedzie jej ładna buzia. Ta suka jest cwańsza, niż wygląda.

Tych dwoje nie było już chyba parą. Robiło się coraz ciekawiej.

Nicholson od paru godzin siedział na tym samym rozchwierutanym składanym krzeselku z przetrąconą nogą w łupkach. Jego skrzywiona twarz świadczyła, że tabletki przeciwbólowa przestaje działać.

– Dobra, Tony – powiedziałem. – To by było na tyle, jeśli chodzi o wstęp. Teraz przejdźmy do sedna sprawy.

Otworzyłem teczkę i zacząłem wykladać na stół fotografie.

– Timothy O’Neill, Katherine Tennancour, Renata Cruz, Caroline Cross.

Na jego twarzy odmalowało się szczere zdziwienie, które szybko znikło. Nicholson był wytrawnym graczem.

– Co to za jedni?

– Wszyscy pracowali dla ciebie.

– Możliwe – przyznał. – Wiele osób dla mnie pracuje.

– To nie było pytanie. – Pokazałem palcem zdjęcie Caroline. – Zwłoki tej dziewczyny znaleziono okaleczone nie do poznania. To też zarejestrowały twoje kamery, Nicholson?

– Ja naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. Nie rozumiem, do czego pan zmierza. Proszę jaśniej.

– Jak zginęła?

W oczach Nicholsona pojawił się dziwny błysk. Spojrzał jeszcze raz na zdjęcie, potem na mnie.

– Caroline Cross, mówi pan? Pan się tak nazywa, prawda? – Kiedy nie odpowiadałem, jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Przepraszam, panie detektywie, ale wydaje mi się, że wpadł pan po uszy.



Zerwałem się z krzesła. Gdyby stół nie był przytwierdzony do podłogi, rozgniótłbym nim Nicholsona o ścianę.

Ale Sampson obiegnął już stół i był przy nim. Wyrwał spod Nicholsona krzesło i ten zwałił się na podłogę.

– Moja noga! – wrzeszczał. – Moja cholerna noga! Sukinsyny! Podam was obu do sądu!

Sampson jakby go nie słyszał.

– Wiesz, że w Wirginii nadal stosuje się karę śmierci, prawda?

– Co to, kurwa, Abu Ghraib\*? Odwalcie się ode mnie. – Nicholson zazgrzytał zębami i walnął pięścią w podłogę. – Nikogo nie zabiłem!

– Ale wiesz, kto zabijał! – krzyknąłem.

– Gdybym wiedział, to myślicie, że nie zrobiłbym z tego użytku. Pomóżcie mi wstać, palanty jedne. No, pomóżcie. Hej! Heeej!

Wyszliśmy z pokoju, zostawiając go na podłodze i zabierając ze sobą krzesła.

---

\* Abu Ghraib – więzienie w Iraku koło Bagdadu, w którym podczas ostatniej wojny w Zatoce Perskiej armia USA przetrzymywała i torturowała jeńców wojennych.

## Rozdział 65

Cztery godziny później w imię „oczyszczenia się” i wyznania wszystkiego, co mu wiadomo, a przede wszystkim w celu ubicia możliwie najlepszego interesu, Nicholson wskazał nam bankową skrytkę depozytową w Waszyngtonie. Powiedział, że znajdziemy w niej dowód, iż chce nam pomóc. Miałem co do tego pewne wątpliwości, ale sprawdzić nie zaszkodziło.

Było z tym trochę zachodu, jednak następnego ranka parkowaliśmy już z Sampsonem przed Exeter Bank przy Connecticut ze wszystkimi niezbędnymi dokumentami, kluczem z biurka Nicholsona i dwoma pustymi neseserami, na wypadek gdyby naprawdę w skrytce znajdowały się coś warte dowody.

Nie była to zwyczajna placówka bankowa. Na początek, żeby nas wpuszczono, musieliśmy zadzwonić z ulicy. W holu panował nieskazitelny ład i porządek – w zasięgu wzroku żadnych ulotek ani druczków.

W recepcji skierowano nas do przeszklonych biur na półpiętrze. Kiedy wstępowaliśmy na schody, kobieta w jednym z nich odłożyła słuchawkę telefonu i spojrzała na nas.

Sampson uśmiechnął się i pomachał do niej.

– Całkiem jak w filmie o Jamesie Bondzie – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Proszę wejść, doktorze Cross. Spodziewaliśmy się pana.

Kierowniczka oddziału Christine Currie rzeczywiście się nas spodziewała. Jej formalny uśmiech i uścisk dłoni były równie ciepłe jak wczorajsza owsianka.

– To pewne odstępstwo od naszych zasad – powiedziała. Akcent miała afektowany, brytyjski, może nawet jeszcze bardziej brytyjski niż Nicholson. – Żywię nadzieję, że to nie potrwa długo? Mogę na panów liczyć w tym względzie, panowie detektywi?

– Ależ naturalnie – zapewniłem ją z całym przekonaniem, bo obaj z Sampsonem chcieliśmy się jak najszybciej znaleźć z powrotem na ulicy, za duszno nam tu było.

Zapoznawszy się z naszymi upoważnieniami i porównawszy je z podpisem Nicholsona złożonym w kilku miejscach, pani Currie poprowadziła nas do windy w głębi półpiętra. Wsiadliśmy do kabiny i zjechaliśmy na dół.

– Prowadzicie tu państwo bezpłatne rachunki bieżące? – spytał z przekąsem Sampson.

Ja się nie odzywałem, patrzyłem przed siebie. Takie pretensjonalne miejsca czasami

działały Johnowi na nerwy. Pretensjonalni ludzie również. Ale najbardziej niegodziwcy, kryminaliści oraz wszyscy ci, którzy im pomagają i sprzyjają.

Weszliśmy do małego pomieszczenia. Przy drzwiach w głębi stał uzbrojony strażnik, za biurkiem siedział pracownik banku w garniturze i pod krawatem. Pani Currie osobiście nas zalogowała, po czym wprowadziła do sali ze skrytkami depozytowymi.

Skrytka Nicholsona miała numer 1665 i była jedną z większych.

Otworzyliśmy naszym kluczem drzwiczki, pani Currie wysunęła ze skrytki długą, wąską szufladę i przeniosła ją do jednego z pomieszczeń dla klientów.

– Zaczekam na zewnątrz. Kiedy panowie skończą, proszę dać mi znać – powiedziała tonem, który znaczył: *Nie marudźcie tam długo, bo nie mam czasu.*

Nie kazaliśmy jej długo czekać. W szufladzie znaleźliśmy kilkadziesiąt płyt DVD, każda w plastikowej koszulce z datą naniesioną odręcznie czarnym markerem. Były tam też dwa oprawione w skórę segregatory ze sporządzonymi odręcznym pismem notatkami, listami, adresami i rachunkami.

Zapakowaliśmy to wszystko do neseserów i po kilku minutach wyszliśmy.

– Boże, błogosław Tony’emu Nicholsonowi – powiedziałem do usztywnionej pani Currie.

## Rozdział 66

Resztę popołudnia przesiedzieliśmy z Sampsonem nad laptopami w moim gabinecie. Oglądaliśmy i katalogowaliśmy nadobowiązkowe życie seksualne bogatych i sławnych. Materiał był zadziwiająco monotony, zważywszy na wyposażenie, o jakie zadbał Tony Nicholson, urządzając ten prywatny klub.

Za to lista prominentnych klientów wywoływała u nas jeden okrzyk niedowierzania za drugim. Przynajmniej połowa twarzy była rozpoznawalna, niektóre widywało się na inauguracjach prezydentur. I to w pierwszym rzędzie.

Klientela nie składała się wyłącznie z mężczyzn, były też kobiety, niewiele, jakieś pięć procent, ale były, a wśród nich była ambasador Stanów Zjednoczonych przy ONZ.

Musiałem sobie co rusz przypominać, że któraś z tych osób – przynajmniej technicznie rzecz biorąc – jest podejrzana o dokonywanie morderstw.

Wykorzystując daty na opakowaniach płyt z nagraniami, skatalogowaliśmy chronologicznie wszystkie filmiki. Opis każdego zawierał nazwiska klientów, których rozpoznaliśmy, oraz rysopisy tych nierozpoznanych, a także lokalizację konkretnych pokoi klubu, w których rozgrywały się poszczególne „scenki”.

Moje największe zainteresowanie wzbudzał apartament nad wozownią. Upatrywałem w nim centrum całej tej układanki z morderstwami.

I tego się uchwyciliśmy. Oczy mnie już piekły z przemęczenia, kiedy wreszcie zacząłem dostrzegać w tych filmach pewną prawidłowość.

– John, pokaż mi, co do tej pory zwojowałeś. Chcę coś sprawdzić.

Na razie wszystkie notatki sporządzaliśmy odręcznie. Rozłożyłem kartki z nimi na stole i zacząłem wodzić po nich wzrokiem.

– Tutaj... tutaj... i tutaj...

Ilekcję stwierdzałem, że ktoś korzystał z apartamentu, zakreślałem datę czerwonym flamastrem i odhaczałem wpis. Na koniec przeanalizowałem rezultaty.

– Zauważyłeś? Apartament nad wozownią wykorzystywany był przez jakiś czas dosyć regularnie, a potem, przed jakimiś sześcioma miesiącami, to się skończyło. Stoi pusty.

– A co się takiego wydarzyło przed sześcioma miesiącami? – spytał Sampson. Pytanie było retoryczne, ponieważ obaj znaleźliśmy odpowiedź.

Wtedy zaczęły się morderstwa.

W takim razie – gdzie się podziała reszta płytek Nicholsona?

## Rozdział 67

Po pracy kupiłem na Siódmej porcję tajszczyzny dla Bree i udałem się do szpitala. Nie była to może kolacja, na jaką zasługiwała, ale lepsze już to od dań ze szpitalnej kantyny.

Zastałem ją z całym mobilnym biurem – laptopem, małą drukarką i teczkami rozłożonymi na stolyczku pod ścianą. Kiedy wszedłem, laptop otwarty był na Web MD, a ona pracowicie robiła notatki.

– Kto zamawiał panang curry z pad thai? – zawołałem od progu.

– Wygląda na to, że ja – mruknęła.

Oderwała się od pracy i cmoknęła mnie na powitanie w policzek.

– Jak tam nasza dziewczynka? – spytałem.

– Walczy. Jest niesamowita, nie przesadzam.

Nana wyglądała może na nieco spokojniejszą, ale poza tym nic się nie zmieniło. Doktor Englefield uprzedziła nas już, żebyśmy nie przywiązywali zbytnej wagi do drobiazgów. Można popaść w obłąd, interpretując na różne sposoby każdy tik i poruszenie, podczas gdy najważniejsze to nie podupadać na duchu i żyć nadzieją.

Ja rozpakowywałem jedzenie, a Bree opowiadała mi, co się tego dnia wydarzyło. Englefield chciała potrzymać Nanę przez jakiś czas na betablokerach. Serce było jeszcze słabe, ale pracowało w miarę poprawnie. Oprócz tego zamierzali ograniczyć liczbę dializ do trzech dziennie.

– I jest nowa rezydentka, doktor Abingdon, powinieneś z nią o tym porozmawiać – ciągnęła Bree. – Mam tu jej numer.

Podąłem jej talerzyk i butelkę mineralnej.

– Bardzo się starasz – powiedziałem.

– Nigdy wcześniej nie miałam prawdziwej rodziny – odparła. – Ta jest pierwsza. Chyba wiesz?

Wiedziałem. Matka Bree zmarła, kiedy ona miała pięć lat, a ojciec stracił od tej pory całe zainteresowanie dziećmi. Wychowywała się u kilku kuzynów i kiedy w wieku siedemnastu lat odchodziła z domu, nawet się nie obejrzała.

– Tak czy owak, nie możesz przedłużać w nieskończoność tego zwolnienia – zauważyłem.

– Posłuchaj, kotku. Nie chcę, ale muszę. Koniec rozmowy.

Nawinęła na widelec wstęgę ryżowego makaronu i wsunęła go sobie do ust z uśmiechem, którego dawno u niej nie widziałem.

– A zresztą co mi mogą zrobić w pracy? Zastąpić kimś innym? Nie da rady, za dobra jestem.

Nie mogłem zaprzeczyć.

Przez resztę wieczoru czytaliśmy Nanie na głos fragmenty jej ulubionych książek. Potem, około dziesiątej, pocałowaliśmy ją na dobranoc i po raz pierwszy, od kiedy to się stało, wróciłem do domu przespać się we własnym łóżku. Obok Bree, tam gdzie było moje miejsce.

## Rozdział 68

Kiedy nazajutrz zadzwonił do mnie Ned Mahoney z propozycją spotkania w ogrodzie rzeźb Hirshhorna, nie wahałem się ani przez moment. Od razu wyszedłem z biura i pomaszerowałem tam piechotą.

To się nazywa kuć żelazo, póki gorące. Na dwóch frontach. Ciekawe, czego tym razem chce Ned? Co znowu odkrył?

Schodząc pochylnią od strony Mallu, zobaczyłem go. Siedział na jednym z niskich betonowych murków. Na mój widok wstał i ruszył przed siebie, nie czekając, aż podejść. Kiedy się z nim zrównałem, zaczął bez wstępów zdawać mi relację. Znałem Neda na tyle, żeby zamienić się w słuch i nie przerywać.

Biuro prześwietliło już za pomocą programu SWIFT zagraniczne konta bankowe Tony'ego Nicholsona. Lokat, otwartych rachunków i nazwisk powiązanych z tymi rachunkami była cała lista.

SWIFT, czyli Society of Worldwide Interbank Financial Telecommunications, to międzynarodowe stowarzyszenie instytucji finansowych z siedzibą w Belgii, które śledzi na bieżąco jakieś sześć bilionów transakcji zawieranych codziennie na całym świecie. Zbierane dane nie obejmują rutynowych transakcji bankowych – niekoniecznie muszą wiedzieć, czy i kiedy wyciągam pieniądze z bankomatu – ale rejestrowane jest prawie wszystko inne. Program spełnia wszelkie wymogi prawne, ponieważ powstał na zlecenie rządu USA po jedenastym września w celu namierzania ewentualnych terrorystów. A jeśli nawet istniały jakieś przeszkody, to ktoś z FBI potrafił je obejść.

– Gdybym to ja prowadził tę sprawę, a nie prowadzę, zainteresowałbym się numerami – mówił Mahoney, zasypując mnie informacjami. – Zaczęłbym od tych, którzy zasilają konta Nicholsona największymi kwotami, i szedł po nitce do kłębka. Nie wiem tylko, ile masz na to czasu, Alex. Ta sprawa jest niewiarygodnie trefna. Coś tu jest nie w porządku.

– I Biuro jeszcze nie wie co? Nie chce mi się wierzyć.

To było pierwsze pytanie, jakim udało mi się przerwać jego trwający od kilku minut monolog. Ned zawsze był pobudzony, a to za sprawą red bulla, którego namiętnie pijał, ale takim jak dziś jeszcze go nie widziałem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem – burknął, wzruszając ramionami. Wepchnął ręce w kieszenie i rozpoczęliśmy następną rundę wokół ogrodu. – Coś naprawdę jest na rzeczy, Alex. Oto przykład. Nie rozumiem dlaczego, ale cała sprawa przekazana została do



Charlottesville. A tamci będą pewnie współpracowali z Richmond.

– Przekazana? Bez sensu. Jak to?

Wiedziałem z doświadczenia, że FBI nie oddaje wszczętych już dochodzeń ot tak sobie. Prawie nigdy się to nie zdarza. Powołuje czasami do grupy zadaniowej agentów z różnych oddziałów, by pokryć większy obszar, ale żeby oddać sprawę?

– Wczoraj przyszło polecenie z biura zastępcy dyrektora i jeszcze w nocy przewieźli akta. Nie wiem, kto teraz prowadzi śledztwo ani czy w ogóle jest ktoś taki. Ze mną o tej sprawie nikt od nich nie będzie chciał teraz rozmawiać. Dla nich jestem kimś w rodzaju brygadzysty zespołu agentów operacyjnych i nie powinienem się już tym interesować. Stanowczo nie powinno mnie tu być.

– Może chcą ci dać coś do zrozumienia – zażartowałem, ale puścił to mimo uszu. Zresztą żart był kiepski. Chciałem tylko uspokoić trochę Neda, żeby zaczął mówić wolniej, bo trudno mi było za nim nadążyć.

Zatrzymał się przy wielkiej rzeźbie Rodina, uściśnął mi dłoń i potrząsnął nią w dziwnie formalny sposób.

– To ja będę już leciał – powiedział.

– Wiesz, Mahoney, trochę mnie nastraszyłeś...

– Ty rób dalej swoje. Ja wybadam, co mi jeszcze wolno, a czego nie, ale na razie na pomoc Biura nie licz. W niczym. Rozumiesz?

– Nie, Ned, nie rozumiem. Co z tym wykazem kont bankowych, o którym przed chwilą wspominałeś?

Był już na kamiennych schodach prowadzących na Jefferson Drive.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzucił przez ramię, nie oglądając się i klepiąc jednocześnie po kieszeni płaszcza.

Kiedy znikł mi z oczu, wsunąłem rękę do kieszeni. Do kluczy przybył mi w niej pendrive.

## Rozdział 69

Przekazując mi takie wrażliwe informacje, Ned ryzykował utratę pracy. Mógł też wylądować za to w więzieniu. Byłem mu dozgonnie wdzięczny i idąc za jego radą, zacząłem od samej góry – od najhójniejszego „płatnika” Tony’ego Nicholsona.

Gdyby ktoś powiedział mi tydzień wcześniej, że senator Marshall Yarrow z Wirginii ma związek z takim jak ten skandalem, raczej bym nie uwierzył. Człowiek miał za wiele do stracenia, i to nie tylko w pieniądzech – chociaż na ich brak też nie mógł narzekać.

Yarrow na fali boomu internetowego lat dziewięćdziesiątych został miliarderm przed ukończeniem pięćdziesiątego roku życia, a potem się wycofał. Część swojej fortuny przeznaczył na założenie fundacji w stylu Billa Gatesa, ukierunkowanej na pomoc chorym dzieciom w Stanach Zjednoczonych, Afryce i na Dalekim Wschodzie. Prowadziła ją jego żona. Następnie wykorzystując popularność, którą w ten sposób zyskał, oraz inwestując kolejną górę pieniędzy, wystartował w wyborach do Senatu, czego nikt nie brał poważnie, dopóki nie wygrał. Obecnie Yarrow zasiadał w senackich ławach drugą już kadencję i nie było w Waszyngtonie tajemnicą, że tworzy nieoficjalny komitet mający zbadać jego szanse w nadchodzących wyborach prezydenckich.

Czyli owszem, miał wiele do stracenia, ale przecież nie byłby pierwszym waszyngtońskim politykiem, którego pogrążyła chuć, nieprawdaż?

Podzwoniłem po znajomych i dowiedziałem się, że Yarrow ma dzisiaj robocze śniadanie w swoim biurze, a potem, o pierwszej trzydzieści, posiedzenie klubu parlamentarnego w Russell Senate Office Building.

Czyli około pierwszej trzydzieści powinien przechodzić przez lobby południowo-zachodniego skrzydła Russell Senate Office Building.

I tam też postanowiłem go dopaść.

O pierwszej dwadzieścia pięć wysiadł z windy w towarzystwie rozgadanych asystentów. On sam rozmawiał przez telefon komórkowy.

Zastąpiłem mu drogę i pokazałem odznakę.

– Przepraszam, panie senatorze. Chciałbym zająć panu chwilkę.

Od grupki asystentów odłączyła się blondynka pod trzydziestkę i wkroczyła między nas.

– W czym mogę pomóc, panie oficerze?

– Detektywie – poprawiłem ją, nie spuszczać wzroku z Yarrowa, który zasłaniał właśnie dłonią mikrofon komórki. – Mam kilka pytań do senatora Yarrowa. Prowadzę dochodzenie w sprawie fałszowania kart kredytowych. Ktoś płaci chyba jedną z kart senatora – w klubie towarzyskim w okręgu Culpeper?

Yarrow był bardzo dobry. Powieka mu nawet nie drgnęła.

– No dobrze, byle szybko – mruknął z pewnym ociąganiem. – Grace, powiedz senatorowi Morehouse’owi, żeby beze mnie nie zaczynali. Wy już tam idźcie. Zamienię tylko parę słów z detektywem i zaraz do was dołączam. Wszystko w porządku, Grace.

Zostaliśmy z senatorem sam na sam pod kasetonową kopułą trzy piętra nad naszymi głowami.

– No więc, co z tą kartą kredytową? – spytał idealnie opanowanym tonem.

Zniżyłem głos.

– Panie senatorze, właściwie to ja w sprawie półmilionowych przelewów na pewne zagraniczne konto, których dokonywał pan przez sześć ostatnich miesięcy. Może wolałby pan porozmawiać o tym gdzie indziej?

– A wie pan? – powiedział pogodnie, jakby to był wywiad w telewizyjnym programie *Today* Matta Lauera. – Właśnie mi się przypomniało, że nie zabrałem na posiedzenie jednej teczki z ważnymi materiałami, a swoich asystentów posłałem już przodem. Wróci pan ze mną po nią?

## Rozdział 70

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy w prywatnym gabinecie Marshalla Yarrowsa, to zatrzesienie jego fotografii na ścianach, każda w towarzystwie jakiejś „ważnej” osobistości. Na jednej on z panią prezydent i z wiceprezydentem, na innych z Tigerem Woodsem, z Bono, z Arnoldem i Marią. Z Bobem Woodwardem. Z Robertem Barnettem. Był najwyraźniej człowiekiem dobrze ustosunkowanym i chciał, żeby dowiedział się o tym każdy, kto przekroczy próg jego gabinetu.

Yarrow przysiadł na krawędzi ogromnego, wyłożonego wiśniowym drewnem biurka i ostentacyjnie nie zaproponował mi, żebym usiadł.

Zacząłem dosyć agresywnie, ale teraz postanowiłem spuścić trochę z tonu. Yarrow mógłby się zaciąć, a wtedy bez oficjalnych przesłuchań nic bym z niego nie wyciągnął.

– Panie senatorze, może na początek wyjaśnijmy pańskie związki z tym klubem towarzyskim i miejmy to za sobą, bo tak w ogóle to ja w innej sprawie – zagaiłem. Nie była to do końca prawda, ale mniejsza z tym.

– Nigdy nie byłem związany z żadnym klubem towarzyskim – odparł z takim przekonaniem, że gdybym nie widział jego seksualnych wyczynów zarejestrowanych przez Nicholsona, może bym i uwierzył.

Nie naciskałem.

– Powiedzmy, ale zaznaczam, że mnie interesuje przede wszystkim kwestia szantażu.

– Niech pan wreszcie przestanie krążyć ogródkami, detektywie, i powie, o co panu właściwie chodzi. – W głosie Yarrowsa pojawiły się ostrzejsze nutki. – Nie mam czasu na zabawy w kotka i myszkę. Co konkretnie ma pan nadzieję stąd wynieść?

– Dobre pytanie. Już panu mówię. Spodziewam się od pana usłyszeć, że te przelewy bankowe znaczą dokładnie to, co myślę.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

– No, dobrze – odezwał się w końcu – a więc miejmy to już za sobą. Przyznaję, bywałem w Blacksmith Farms, ale wyłącznie w celach rozrywkowych. I nigdy prywatnie. Zawsze z gośćmi z terenu, ze współpracownikami, z delegacjami z Bliskiego Wschodu czy kim tam jeszcze. Taka, niestety, jest ta praca. Wprowadzałem ich, wypijaliśmy po kilka drinków i oni zostawali, a ja wychodziłem. Tak było. Proszę mi wierzyć – uniósł lewą rękę i pokazał zaobrączkowany palec – Barbarze jestem tak samo wierny jak

swojemu elektoratowi. Nic z tych rzeczy. Żadnych podstaw do szantażu. Czy wyrażam się jasno?

Zaczynali mnie mierzić ci ludzie udający, że nic takiego się nie dzieje.

– Przykro mi, panie senatorze, ale mam dowód, że było inaczej. Film na DVD. Jest pan pewien, że tą drogą chce pan podążać?

Senator Yarrow zachował zimną krew i nawet pamiętał o zabraniu teczki, której rzekomo zapomniał.

– Panie detektywie, posiedzenie mojego klubu zaczęło się przed pięcioma minutami, a jeśli dzisiaj nie popchnę tego ważnego projektu ustawy, to nie wejdzie pod obrady.

– Jak długo potrwa to posiedzenie? – spytałem.

Wyjął z kieszeni wizytówkę i podał mi ją w dwóch palcach.

– Niech pan zadzwoni do Grace – powiedział. – Wpiszemy pana do kalendarzyka.

Czułem, jak coraz szybciej i wyżej rośnie między nami ściana ogniowa.

## Rozdział 71

Tego wieczoru przyniosłem Nanie płytę ze składanką *Best of U Street*, z samymi sławami z czasów, kiedy z moim dziadkiem i przyjaciółmi chodziła jeszcze po klubach – Basie, Sarah Vaughan, Lena Horne oraz sam Duke, wielki mister Ellington.

Puściliśmy ją cichutko na laptopie Bree.

Przyprowadziłem też Jannie i Alego. Pielęgniarki po raz pierwszy wpuściły go do sali. Siedział przy łóżku Nany jak trusia.

– Co to, tatusiu? – spytał w pewnym momencie.

– Monitor akcji serca. Widzisz te linie? One pokazują, jak bije serce Nany. Teraz, jak widać, miarowo.

– A ta rurka?

– Nana znajduje się w śpiączce i w ten sposób jest karmiona.

– Chcę, żeby Nana szybko wróciła do domu. Bardzo tego chcę. Cały dzień się o to modłę – wyrzucił z siebie.

– Możesz jej to sam powiedzieć, Ali. Nana tu jest. Jak chcesz jej coś powiedzieć, to mów.

– Będzie mnie słyszała?

– Chyba będzie. – Położyłem jego dłoń na dłoni Nany. – Mów.

– Cześć, Nana! – zawołał jak do niedosłyszającej. Trudno się było nie roześmiać.

– Z takim samym entuzjazmem, ale o ton niżej, kolego – upomniała go Bree. – Założę się, że Nana cię usłyszała.

## Rozdział 72

Jannie zachowywała większą rezerwę w stosunku do babci. Nie zbliżała się do łóżka, sprawiała wrażenie, jakby nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

– Chodź tu, Janelle – przywołałem ją. – Pokażę wam coś ciekawego.

Kiedy podeszła, wyjąłem portfel, a z niego fotografię. Tę, którą znalazłem w mieszkaniu Caroline i od tamtej pory nosiłem przy sobie.

– To Nana, wasz wujek Blake i ja. Przed laty. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym.

– Tatusiu! Jak ty tu śmiesznie wyglądasz. – Jannie pokazała mój niby-to-słomkowy kapelusz przepasany niebiesko-biało-czerwoną szarfą, nasadzony na modną w latach siedemdziesiątych fryzurę afro, którą wtedy nosiłem. – Co ty masz na głowie?

– Kapelusz, nie widać? Nazywa się kanotier. To Dwóchsetlecie. Dwóchsetletnie urodziny Ameryki. Miliony ludzi w takich kapeluszach tamtego dnia paradowały. Ale mało komu tak w nim było do twarzy.

– Mhm – mruknęła bez przekonania Jannie.

– A jakieś pięć minut po zrobieniu tego zdjęcia – ciągnąłem – nadjechała w paradzie wielka platforma z zawodnikami waszyngtońskich Redskinsów, którzy rozrzucaли mini-piłki futbolowe. Zostawiliśmy z Blakiem Nanę i rzuciliśmy się za nimi w pogoń, żeby złapać chociaż jedną taką. Parę godzin nas szukała, a kiedy wreszcie znalazła, to takiej wściekłej jeszcze jej nie widzieliście.

Ali spojrzał na Nanę, próbując wyobrazić ją sobie w stanie silnego wzburzenia.

– To znaczy jak to wyglądało?

– Pamiętasz, jak się na nas obraziła i na jakiś czas wyprowadziła?

– Tak.

– No to wtedy była jeszcze bardziej rozeźlona. A pamiętacie, jak jeden taki... – tu dźgnąłem Alego palcem pod żebra – ...spuścił odkurzacz po schodach i podrapał drewno?

Alemu szczęka opadła.

– Jeszcze bardziej?

– Dziesięć razy bardziej, młodziaku.

– I co było, tato? – zainteresowała się Jannie.

Prawda była taka, że Nana dała nam po buziach, a zaraz potem przytuliła i kupiła po wacie cukrowej bujnej jak nasze fryzury.

Wziąłem ją teraz za rękę i popatrzyłem na nią z czułością.

Zostań z nami, Nano.



## Rozdział 73

Następny dzień zaczął się dla mnie bardzo wcześnie. Miałem całą listę nazwisk z zapisków znalezionych w skrytce depozytowej Nicholsona, a Sampson potwierdzone aktualne adresy dwudziestu dwóch dziewcząt do towarzystwa pracujących w wirginijskim klubie.

O ósmej rano wysłałem w miasto pięć dwójek mundurowych z zadaniem doprowadzenia najlepiej wszystkich, a przynajmniej tyle ile się da z tych panienek, żeby nie zdążyły się ze sobą porozumieć, bo zaczęłyby się mataczenie.

Przypuszczalnie były nocnymi ptaszkami, a takie najłatwiej zgarniać z samego rana. Sampson zadzwonił również do Mary Ann Pontano, naszej znajomej z obyczajówki. Zgodziła się udostępnić nam pomieszczenia w biurze przy Trzeciej Ulicy, które dzielili z policją narkotykową, oraz asystować chociaż przy części przesłuchań. Biała kobieca twarz po naszej stronie stołu powinna korzystnie wpłynąć na prostytutki, z których większość była biała.

O dziesiątej mieliśmy już na miejscu piętnaście z dwudziestu dwóch dziewczynek z listy.

Porozmieszczałem je po salkach konferencyjnych, boksach, korytarzach i korytarzykach, czym nie zyskałem sobie tego ranka sympatii sekcji narkotykowej. A co tam. Mało mnie obchodziło, co sobie o mnie myślą.

Nie czekając na doprowadzenie reszty, rozpoczęliśmy przesłuchania. Żadna z tych atrakcyjnych młodych kobiet nie przejawiała specjalnej ochoty do składania zeznań, czemu trudno się było dziwić. Nie oszczędzaliśmy im szczegółów śmierci Caroline, nie kryliśmy, że może i mogło już dojść do podobnych morderstw. Chciałem uzmysłwić tym dziewczynom, co ryzykują, pracując dla Nicholsona, w ogóle pracując dla kogokolwiek z tej branży.

Kilka szybko przyznało, że rozpoznaje na zdjęciu Caroline. W klubie nosiła pseudonim Nicole, ale nieczęsto tam bywała. Była „miła”. Była „cicha”. Innymi słowy, nie dowiedziałem się od nich niczego, co naprowadziłoby mnie na trop jej mordercy.

Zamiast na lunch poszedłem na spacer, żeby pozbierać myśli, ale niewiele to dawało. Czyżbym tracił tutaj czas? Czy zadawaliśmy nie te co trzeba pytania? Może zwolnić panienki do domu i zająć się tego popołudnia czymś innym?

To był mój typowy problem: nigdy nie wiedziałem, kiedy przerwać, bo przerywanie kojarzyło mi się zawsze z rezygnacją. A na to nie byłem jeszcze gotowy. Przed

wszystkim wciąż miałem przed oczami „szczętki” Caroline. Obawiałem się, że nie tylko ona zginęła w tak straszny sposób.

Wracałem na Trzecią Ulicę, nie czując się ani trochę lepiej, kiedy zadzwoniła moja komórka. Spojrzałem na wyświetlacz: Mary Ann Pontano. Odebrałem.

– Jestem na spacerze. Próbuję pozbierać myśli.

– Wszędzie cię szukam – powiedziała. – Wracaj natychmiast i porozmawiaj jeszcze raz z tą Lauren.

Przyśpieszyłem kroku.

– Tą rudą w wełnianym płaszczyku?

– Tak, Alex. Chyba pamięć jej wraca. Ma do opowiedzenia kilka ciekawych rzeczy o jednej z tych zaginionych dziewcząt, Katherine Tennancour.

## Rozdział 74

Lauren Inslee, podobnie jak wszystkie dziewczęta do towarzystwa, które dzisiaj zgarnęliśmy, była smukła, hojnie obdarzona przez naturę i absolutnie zjawiskowa. Pracowała kiedyś jako modelka w Nowym Jorku i Miami, była absolwentką Florida State University, a od jakiegoś czasu obsługiwała mężczyzn, którzy gustują w pewnych sobie kobietach w typie cheerleaderek. Nicholson był najwyraźniej przygotowany na zaspokajanie najrozmaitszych upodobań swoich klientów, ale wspólny mianownik jego oferty stanowiła „luksusowość”.

– Katherine nie żyje, prawda? – To było pierwsze pytanie, jakie zadała Lauren, kiedy z nią usiadłem. – Nikt nam tu niczego nie mówi. Ciągniecie nas za języki, a sami nie piśnecie słówkiem, o co właściwie chodzi.

– Bo nie wiemy, Lauren. Dlatego właśnie was tu poprosiliśmy.

– No dobrze, ale coś tam chyba podejrzewacie? Nie chcę być namolna. Chcę wiedzieć. Była moją przyjaciółką, krajanką z Florydy. Chciała zostać prawniczką. Przyjęli ją na Uniwersytet Stetsona, a to naprawdę dobra szkoła.

Przez cały ten czas Lauren pastwiła się nad papierową serwetką, rwąc ją na strzępki. Na talerzu obok podartej serwetki leżał nietknięty klin zamówionej przez nas pizzy.

– Z policyjnego raportu wynika, że w jej mieszkaniu nie ma śladów pakowania. Biorąc pod uwagę czas, jaki upłynął... cóż, nie wygląda na to, żeby miała tam jeszcze wrócić.

– O Boże. – Dziewczyna bliska płaczu odwróciła wzrok, obejmując się ciasno ramionami.

Atmosfera z każdą sekundą stawała się coraz bardziej przygnębiająca. Znajdowaliśmy się w jednym z większych pokoi przesłuchań ze ścianami pomazanymi graffiti i podłogą poprzipalaną gaszonymi na niej od lat niedopałkami papierosów.

– Detektyw Pontano mówi, że wspominałaś coś o pewnym szczególnym kliencie Blacksmith? Powtórz mi to, Lauren.

– Czy ja wiem... – zawahała się. – Słyszałam o nim od Katherine. Ale w całym tym przybytku na co dzień aż huczało od rozmaitych plot.

– Co ona ci opowiadała, Lauren? – spytałem uspokajającym tonem. – Bez obawy, nie aresztujemy cię za nic, co tutaj powiesz. Wierz mi. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Prostytucja nic mnie nie obchodzi.

– Pochwaliła mi się, że jest ustawiona z wielką szyczą, Zeusem czy jakoś tak. To był ostatni raz, kiedy z nią rozmawiałam.

Zapisałem to. Zeus?

– To jakiś oficjalny pseudonim? Czy sama go tak przezwała?

Lauren przetarła oczy.

– Oficjalny. Prawie wszyscy rejestrują się tam pod pseudonimami. No wie pan – Dzida, Jajo, Brudny Harry, co im tam do łba strzeli. W końcu spotykamy się twarzą w twarz, ale prawdziwe nazwiska nie są nigdzie zapisywane. Tak jest bezpieczniej dla obu stron.

– Rozumiem, Lauren. – Kiwnąłem głową. – A wiesz może, kim jest ten Zeus. Jakies przypuszczenia?

– Nie mam pojęcia. Słowo daję. Ale chyba ma coś wspólnego z rządem. Katherine coś o tym napomykała, ale nie wiem, czy tak sobie mówiła, czy naprawdę ma.

Coś mnie tknęło.

– Co dokładnie mówiła?

Lauren wyprostowała się na krześle i obiema rękami odgarnęła włosy z twarzy.

– Jedno musi pan zrozumieć – zaczęła, nachylając się do mnie. – Klienci nie mówią prawdy na temat tego, czym się zajmują. Wyobrażają sobie, że jak dziewczyna będzie myślała, że są ważniejsi niż w rzeczywistości, to bardziej się postara, pozwoli im na więcej. No więc ja nigdy nie wierzę we wszystko, co od nich słyszę. Według mnie ci, którzy opowiadają o sobie, kłamią. Mężczyźni mający prawdziwą władzę? Ci się nią nie przechwalają?

– A ten Zeus?

– Właściwie to nawet nie wiem, czy on naprawdę istnieje. To tylko imię. Greckiego boga, prawda? Greckiego? Może w tym rzecz? W jego seksualnych upodobaniach?

## Rozdział 75

Nazajutrz tankowałem wynajęty samochód na stacji benzynowej przy L Street, myśląc o własnym wozie, który wstawiłem do warsztatu w celu wymiany przedniej szyby roztrzaskanej w trakcie strzelaniny w Alexandrii. Nie ma to jak przyzwyczajenie, jak stare, znajome, wygodne wnętrze, nawet taki uchwyt na kubek dokładnie w tym miejscu, gdzie się po niego odruchowo sięga.

Zadzwoiła komórka, numer mi się nie wyświetlił, był zastrzeżony, ale od kiedy Nana leżała w szpitalu, odbierałem wszystkie telefony. I tym razem zrobiłem to bez zastanowienia.

– Doktor Cross? – Nieznajomy kobiecy głos, ton nieco formalny. – Łączę z szefem personelu Białego Domu.

Przyznam, że mnie замуrowało. Co to, do cholery, ma znaczyć? Jak to? Biały Dom do mnie? Jakiś żart?

To nie był żart. Charakterystyczny głos, który chwilę potem usłyszałem, zdecydowanie należał do Gabriela Reese'a. Znałem go dobrze z telewizyjnych dzienników i niedzielnych porannych konferencji prasowych.

– Witam, detektywie Cross, co u pana? – zaczął konwersacyjnym tonem.

– To zależy, panie Reese. Mogę spytać, skąd ma pan numer mojego telefonu?

Naturalnie nie odpowiedział.

– Chciałbym się z panem jak najszybciej spotkać. Najlepiej w moim biurze. Znajdzie pan dla mnie chwilkę?

Pomyślałem o Nedzie Mahoneyu i jego wzburzeniu, kiedy się ostatnio widzieliśmy. Jego obawie, że materiały z dochodzenia mogą wyciec. No i... chyba wyciekły.

– Przepraszam, panie Reese, ale można przynajmniej wiedzieć, w jakiej sprawie?

Po dłuższej chwili milczenia, odniosłem wrażenie, że znaczącego, Reese znowu się odezwał:

– Chyba pan już wie.

Owszem, wiedziałem.

– Będę za piętnaście minut – mruknąłem.

I tu Reese znowu mnie zaskoczył.

– Nie. Proszę mi powiedzieć, gdzie pan teraz jest. Wyślemy po pana wóz.

## Rozdział 76

Kilka minut później zatrzymywał się obok mnie służbowy samochód z żołnierzem za kierownicą. Kierowca podjechał za mną do najbliższego garażu, czekał, aż tam zaparkuję, a potem zawiózł mnie do Białego Domu.

Wjechaliśmy na teren północno-zachodnią bramą od strony Pennsylvania Avenue. Musiałem się dwukrotnie wylegitymować, najpierw wartownikowi przy bramie, a potem uzbrojonemu strażnikowi, który powitał mnie na podjeździe Zachodniego Skrzydła. Stamtąd agent Secret Service wprowadził mnie do środka wejściem najbliższym Ogrodu Różanego.

O ile orientowałem się w rozkładzie Białego Domu, tamtędy prowadziła najkrótsza droga do gabinetu szefa personelu.

Zdawałem sobie również sprawę, że nie chciano tutaj, by moja wizyta zwróciła czyjąkolwiek uwagę, stąd ta eskorta.

Gabriel Reese miał reputację szarej eminencji. Z panią prezydent Vance znał się od lat. Wielu ekspertów widziało w nim faktycznego wiceprezydenta administracji. Wnioskowałem z tego, że Reese albo zaprasza mnie z własnej inicjatywy, albo na polecenie pani prezydent. Nie podobało mi się to.

Mój opiekun z Secret Service przekazał mnie kobiecie o znajomym głosie. To ona do mnie telefonowała. zaproponowała mi kawę, a kiedy podziękowałem, wprowadziła mnie od razu do gabinetu Gabriela Reese'a.

– Dziękuję za przybycie, detektywie Cross. – Podał mi rękę przez biurko i zaprosił gestem do zajęcia miejsca w jednym z klubowych foteli. – Przykro mi z powodu pańskiej bratanicy. To musiał być dla pana straszny wstrząs. Wolę sobie nawet nie wyobrażać.

– Tak, był, dziękuję – odparłem. – Ale zdumiewające, że tyle pan wie o tej sprawie.

Zrobił zdziwioną minę.

– Byłoby bardziej zdumiewające, gdybym nie wiedział. Secret Service ma obowiązek wiedzieć o wszystkim, co dotyczy Białego Domu.

Usiłowałem ukryć zaskoczenie. Co moje dochodzenie w sprawie morderstwa może mieć wspólnego z Białym Domem? O co tu chodzi?

– To dlaczego rozmawiam z panem, a nie z nimi? – spytałem. – Nie z Secret Service, znaczy.

– I na to przyjdzie pora – odparł. A mnie zrobiło się jakoś niewyraźnie,

Reese odznaczał się pewnością siebie, ale w jego manierach nie było nic z zadufania właściwego ludziom z najwyższych kręgów władzy. W osobistym kontakcie wydawał się młodszy i chociaż nadal wyglądał trochę formalnie w tej zapiętej pod szyję koszuli i konserwatywnym krawacie, to trudno było uwierzyć, że ma się przed sobą człowieka wywierającego wielki wpływ na kształt amerykańskiej polityki zagranicznej.

– Na razie – ciągnął – chciałbym od pana usłyszeć, jak postępuje śledztwo, co pan do tej pory ustalił.

Ta rozmowa z każdą minutą stawała się coraz dziwniejsza.

– Postępuje dobrze, dziękuję.

– Chodziło mi...

– Chyba wiem, o co panu chodziło. Ale z całym szacunkiem, panie Reese, nie mam obowiązku składania raportów Białemu Domowi.

A przynajmniej do tej pory nie miałem.

– Rozumiem. Naturalnie ma pan prawo zachować to dla siebie. Absolutnie. Przepraszam.

Zabrnąłem już dalej, niż zamierzałem, ale Reese również. Zdecydowałem się na kontynuowanie ofensywy.

– Czy w związku z tą sprawą słyszał pan imię Zeus? – spytałem.

Zastanowił się.

– Nie przypominam sobie. A imię takie jak Zeus zapadłoby mi raczej w pamięć.

Byłem pewien, że kłamie, i to przypomniało mi coś, co Lauren Inslee mówiła o swoich klientach: Dlaczego ktoś taki jak Reese miałby odpowiadać na moje pytanie inaczej niż kłamstwem?

Kiedy zadzwonił telefon na jego biurku, natychmiast odebrał. Obserwował mnie, słuchając, potem odłożył słuchawkę i wstał.

– Pan wybaczy na minutę. Przepraszam, wiem, jaki pan zajęty.

Kiedy wychodził z pokoju, zobaczyłem na korytarzu agenta Secret Service zajmującego pozycję plecami do mnie. Ciekawe, co by się stało, gdybym też spróbował teraz wyjść. Woląłem nie sprawdzać. Siedziałem i starałem się zebrać myśli. Dlaczego szef personelu Białego Domu interesuje się moim śledztwem? W jakim sensie się nim interesuje?

Niedługo potem usłyszałem dobiegające z korytarza głosy, cichą rozmowę, której poszczególnych słów nie byłem w stanie wychwycić.



Agent w drzwiach odsunął się, przepuszczając innego. Mężczyzna wszedł i rozejrzał się po pokoju. Po mnie też przesunął wzrokiem niepozostawiającym wątpliwości, że moja osoba to dla niego jeszcze jeden element wyposażenia wnętrza.

Potem odsunął się na bok, żeby przepuścić panią prezydent. Weszła z uśmiechem.

– Alex Cross. Wiele o panu słyszałam. Same dobre rzeczy – powiedziała.

## Rozdział 77

Stylem bycia pani prezydent różniła się od Reese'a diametralnie. Po studencku potrząsnęła moją dłońią i zamiast za biurkiem usadowiła się na miękkiej, obitej skórą sofie. Ale mnie to bynajmniej nie uspokajało.

– Czytałam pańską książkę – powiedziała. – Kilka lat temu, ale dobrze ją pamiętam. Bardzo interesująca. I taka przerażająca, bo to wszystko prawda.

– Dziękuję, pani prezydent.

Podziwiałem Margaret Vance. To dzięki jej zabiegom obie strony sceny politycznej zaczęły wreszcie ze sobą rozmawiać. Ona i jej mąż Theodore Vance cieszyli się szacunkiem nie tylko Waszyngtonu, ale i całego świata. Gdyby wszystko było w najlepszym porządku, chętnie współpracowałbym z panią prezydent. Tyle że stanowczo w porządku nie było.

– Chciałabym pana prosić o pewną przysługę, doktorze Cross. – Ruchem głowy dała swojemu agentowi do zrozumienia, że ma nas zostawić samych, i czekała, aż drzwi się za nim zamkną.

– W związku ze śledztwem, które prowadzę?

– Tak. Chyba zgodzi się pan ze mną, że ważne jest, by ta sprawa w miarę postępów w śledztwie nie rozwinęła się w coś, co zagrozi niewinnym osobom, a zwłaszcza bezpieczeństwu kraju, o sprawnym funkcjonowaniu naszego rządu już nie wspominając. Niepoparte dowodami zarzuty potrafią wyrządzić tyle samo szkody co postawienie w stan oskarżenia, jeśli wysunie się je publicznie w niewłaściwy sposób. Ale panu nie muszę chyba tego wyjaśniać.

– Tak – przyznałem. – Wiem coś o tym.

– Czyli rozumie pan, że trzeba tu postępować z jak największą delikatnością. – Mówiła tak, jakby uważała, że wszystko jest już uzgodnione. – Chciałabym, żeby spotkał się pan z jednym z naszych czołowych agentów Danem Cormorantem i zreferował mu dotychczasowe ustalenia oraz przekazał sprawę.

– Nie jestem do tego upoważniony – odparłem. – A to z kilku powodów.

– Z tym nie będzie problemu. Mundurowy wydział Secret Service ma wszystkie statutowe uprawnienia policji metropolitalnej.

Skinąłem głową.

– Owszem, w granicach miasta.

– I naturalnie wszelkie środki operacyjne potrzebne do prowadzenia każdego dochodzenia – ciągnęła, jakby nie słyszała, co powiedziałem. – Dysponujemy najlepszym na świecie zespołem śledczym. – Zawiesiła głos i spojrzała na mnie sponad oprawek okularów. – Szkoda, że i pana nie ma w jego składzie.

No, no. Osobliwe to uczucie, kiedy liże człowiekowi dupę przywódca wolnego świata. Szkoda, że mogłem się nim napawać tylko przez chwilę. Miałem bardzo dobry kompas wewnętrzny, ale coś mi się wydawało, że pokazuje mi teraz drogę do granicy, spoza której nie ma już powrotu.

– Pani prezydent Vance – powiedziałem. Serce mi waliło, ale umysł miałem wciąż jasny. – Chciałbym to sobie dobrze przemyśleć. Odpowiem w ciągu dwudziestu czterech godzin albo na piśmie, albo osobiście, jak pani woli.

Nie próbowała nawet ukryć, co o tym myśli. Wokół jej ust pojawiły się dwie przypominające nawiasy zmarszczki.

– To nie są negocjacje, doktorze Cross. Zapraszając pana tutaj, wyświadczyłam panu wielką grzeczność. Pomyślałam sobie, że ktoś taki jak pan wolałby nie być doprowadzony. Jak widzę, popełniłam błąd. – Wstała, ja również. – Jestem szczerze zawiedziona. Słyszałam, że jest pan człowiekiem inteligentnym i patriotą.

– Patriotą, który znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, pani prezydent.

Vance już mnie nie słuchała. Wychodząc, rzuciła do czekającego za drzwiami agenta:

– Odprowadź doktora Crossa. Już tu skończyliśmy.

# Część czwarta

---

## Palenie domu

## Rozdział 78

Tajemnica tych morderstw była jak zaraza, rozprzestrzeniała się, infekując wszystkich, którzy się o nią otarli, zabijając.

Adam Petoskey usiadł nagle na tapczanie. Serce w piersiach waliło mu jak młotem. Wybudziło go coś, ale nie ten straszny koszmar, który właśnie mu się przyśnił, do sennych koszmarów już przywykł.

A więc co?

Co robić?

Wszystkie światła w mieszkaniu były pogaszone, grał tylko telewizor. Przysnął, oglądając *The Daily Show*, uspokajał go niewymuszony humor Jona Stewarta.

Teraz leciały reklamy, jacyś ludzie piszczei i piali z zachwytem nad specyfiką na odchudzanie. Może to go obudziło.

Tylko ta bura suka, paranoja, była od paru dni jego towarzyszką. Od tygodnia nie wychodził z mieszkania. Literalnie od tygodnia. Telefony powyłączał, żaluzje w oknach były przez cały czas opuszczone, a przy tylnych drzwiach – które zabił na głucho deskami tamtej pierwszej nocy, kiedy nie mógł zmrużyć oka – rosła góra śmieci.

Adam Petoskey o czymś wiedział – o czymś, o czym wolałby nie wiedzieć.

Praca dla Tony'ego Nicholsona i jego przyjaciółki Mary – fałszowanie ksiąg i udawanie, że nie widzi się tego, co się widziało – była cholernie dołująca. Teraz okazywało się, że niepracowanie dla niego, brak jakiegokolwiek z nim kontaktu, dołuje jeszcze bardziej.

Na przykład dzisiaj, żeby nie szukać daleko. Wstał z tapczanu wciąż trochę roztrzęsiony.

W połowie drogi do kuchni przystanął. Po raz setny w tym tygodniu wydało mu się, że ktoś się za nim skrada...

I tym razem dobrze mu się wydawało.

Zanim zdążył się obejrzeć, czyjeś silne ramię oplotło mu szyję, zacisnęło się na niej i niemal uniosło go z podłogi. Taśma klejąca zalepiła mu usta, dwukrotnie obiegała głowę na ich wysokości i została oddarta u podstawy czaszki.

– Nie stawiajcie oporu, panie Petoskey. Stawicie – przegracie – umrzecie.

Twardy paluch dźgnął go między łopatki, popchnął w kierunku drzwi do sypialni.

– Tędy, przyjacielu. Idziemy.

Mózg Petoskey'ego pracował na najwyższych obrotach. W końcu należał do buchaltera. Niewiadome i prawdopodobieństwa potrafił wyliczać jak komputer i teraz Petoskey odebrał od niego sygnał, że najlepiej będzie robić, co każe intruz. O dziwo, nawet mu ulżyło. Po siedmiu dniach samotności w tej norze oddanie się pod czyjeś rozkazy było jak powrót do cywilizacji.

W sypialni facet zapalił światło. Petoskey nie znał go – wysoki, biały, szpakowaty. Trzymał pistolet z lufą przedłużoną o... chyba o tłumik, jeśli można przyjąć za odniesienie to, co się ogląda na gangsterskich filmach w telewizji.

– Pakuj się – warknął. – Niczego nie zapomnij. Ciuchy, portfel, paszport, wszystko, co potrzebne na daleką podróż.

Petoskey przystąpił bezzwłocznie do dzieła, ale jego skołatany umysł wygenerował całą nową masę pytań. Gdzie go zabierają? Co to za długa podróż? I jak tu przekonać kogoś, że nigdy nie miał zamiaru wyjawiać komukolwiek tego, co wie?

Po kolei, Petoskey. Ciuchy, portfel, paszport...

– Teraz do łazienki – zakomenderował mężczyzna. – Zabierz stamtąd wszystko, co ci potrzebne.

Tak jest, pomyślał, wykonując bez szemrania polecenie. Wszystko, co potrzebne. Szczoteczka do zębów. Pasta, maszynka... Kondomy? A jakże. Dlaczego by nie myśleć pozytywnie?

Łazienka była malutka. Umywalka na kolumnie, sedes i wanna z natryskiem.

Otwierając apteczkę, Petoskey poczuł kolejne dźgnięcie między łopatkami.

– Właż do wanny i kładź się, kurduplu.

Polecenie nie miało sensu, ale teraz nic go nie miało. Zwiążą go w tej wannie? Obrobiją mieszkanie? I zostawią?

– Nie – warknął mężczyzna. – Odwrotnie. Głową do odpływu.

I nagle Petoskey doznał upiornego objawienia. Po raz pierwszy krzyknął, ale spod taśmy klejącej wydobyło się tylko zduszone piśnienie. A więc to koniec. Naprawdę koniec. Dzisiaj w nocy znika na zawsze.

Za dużo wiedział – sławne nazwiska, wszystkie ich brudne tajemnice.

## Rozdział 79

Sukcesywnie ubywało ludzi, z którymi mógłbym porozmawiać o śledztwie. Na szczęście miałem Nanę.

Przez kilka dni nie poruszałem przy niej tego tematu. Nie chciałem wnosić dodatkowego stresu do jej szpitalnej salki. Ale w końcu uzmysłowiłem sobie, że gdyby Nana była przytomna, to przy każdej wizycie sama wypytywałaby mnie o postępy śledztwa w sprawie śmierci Caroline. Nie było co do tego wątpliwości.

No i zacząłem zdawać jej codzienne relacje.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, staruszko – zwierzyłem się jej tej nocy – nie jest dobrze. Coś dziwnego się dzieje. Nigdy dotąd nie znalazłem się w takiej sytuacji. W każdym razie nie przypominam sobie. Ramon Davies jest gotów odsunąć mnie od sprawy. Biuro wzięło się do niej z rozmachem, a teraz nawet nie wiem, czy w ogóle dalej się nią zajmuje. Nie uwierzysz, ale czuję na karku oddech Białego Domu. Nie przesadzam. A oni są podobno po jasnej stronie mocy, Nana. Nie wiem, co o tym myśleć. Coraz trudniej te strony odróżnić. Ktoś kiedyś powiedział: Można kochać ten kraj, a jednocześnie nienawidzić tych, którzy nim rządzą. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli.

W salce jak zwykle było cicho. Wchodząc do niej, ściszałem zawsze popiskiwanie monitora pracy serca, a więc jedynymi dźwiękami oprócz mojego głosu był syk respiratora i strzępki rozmów pielęgniarek przechodzących za drzwiami.

– Nie wiem, jak to się dalej potoczy. W każdym razie prawda wyjdzie w końcu na jaw, a wtedy zrobi się wielka afera. Drugie Watergate, staruszko. Będą przesłuchania i mataczenie i prawdopodobnie nikt się nie dowie, jak było naprawdę. Ale mam wrażenie, że jestem jedynym, który chce otworzyć te drzwi. Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć.

Ta cisza miała do siebie coś jeszcze. Jakbym w niej słyszał odpowiadającą mi Nanę.

*Biedny Alex. Jednoosobowa armia, co? Możesz liczyć na wsparcie?*

Nie było to pytanie retoryczne. Ona naprawdę chciała wiedzieć. Zastanowiłem się... Miałem po swojej stronie Sampsona. No i naturalnie Bree. Za sprzymierzeńca mogłem też uważać Neda Mahoneya.

Poza tym chowałem w zanadrzu jeden pomysł na czarną godzinę. Należał do tych, które raz wprowadzone w życie nie dają się odkręcić, ale czyż ta czarna godzina już nie nadeszła, mam czekać na jeszcze czarniejszą?

Położyłem dłoń na dłoni Nany. Wentylator w pokoju szumiał. Z korytarza dobiegł

czyjś śmiech.

– Dziękuję, staruszko – powiedziałem. – Gdziekolwiek teraz jesteś.

*Nie ma za co*, przekazała mi jakimś sobie tylko znanym sposobem i na tym poprzestaliśmy. Nana jak zawsze musiała mieć ostatnie słowo.



## Rozdział 80

A ludzie nadal umierali. Każdy, kto wiedział cokolwiek, nie mógł być pewien dnia ani godziny. Z Wirginii do błękitnego domu rodzinnego Esther Walcott koło Port of Spain, stolicy Trinidadu i Tobago, było ponad trzy tysiące kilometrów. Tam uciekła po nalocie FBI na klub pana Nicholsona.

Mama i tata powitali ją z otwartymi ramionami, a co ważniejsze, nie pytali, co porabiała w tej Ameryce, z której tak niespodziewanie wróciła.

Po dwóch latach hostessowania i prowadzenia naboru dla klubu w Wirginii na jej koncie uzbierała się spora sumka, którą zamierzała zainwestować w salon fryzjerski i zacząć od początku.

Kiedy jednak trzeciej nocy w rodzinnym domu obudziła się z ustami zatkanymi męską dłonią i usłyszała przy uchu amerykański akcent, zdała sobie sprawę, że nie uciekła dostatecznie daleko.

– Piśnij tylko, a pozabijam wszystkich w domu. Wszystkich. Rozumiesz, co do ciebie mówię, Esther? Kiwnij głową.

Krzyk sam cisnął się na usta. Oddychała szybkimi, zduszonymi spazmami, ale udało jej się kiwnąć potakująco głową.

– Grzeczna dziewczynka, mądra. Zupełnie jak w tym amerykańskim klubie. Gdzie twoja walizka? – Pokazała na ścienną szafę. – Dobra. A teraz usiądź, tylko bardzo powoli.

Podparł ją poduszkami, zalepił usta taśmą klejącą i puścił. Noc była parna, ale ona dygotała jak na mrozie. Wodził szorstkimi łapskami po jej brzuchu i piersiach, a ona czuła się praktycznie naga. I bezbronna.

Kiedy w szparze pod drzwiami pojawiło się światło, serce Esther podeszło do gardła – nadzieję, która zatliła się w niej z początku, wyparł zaraz paraliżujący strach. Ktoś nadchodzi!

Intruz odwrócił się do niej w półmroku i przyłożył palec do ust, przypominając, o co idzie gra. O jej rodzinę.

Chwilkę później dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi.

– Esther? – Głos matki.

Tego było już za wiele. Bez zastanowienia jednym ruchem zerwała taśmę klejącą z ust.

– Uciekaj, mamusiu! On ma pistolet! Uciekaj!

Nie posłuchała. Drzwi sypialni otworzyły się z impetem. Oczom Esther ukazała się szerokobiodra sylwetka matki na tle światła wlewającego się z korytarza.

W tym samym momencie rozległo się ciche pyknięcie, zupełnie nieprzypominające wystrzału. Miranda Walcott chwyciła się za pierś i bez słowa osunęła na podłogę.

Esther zaczęła krzyczeć – i nie potrafiłaby przestać, nawet gdyby chciała. Usłyszała głos nadbiegającego ojca!

– Esther? Miranda? – wołał.

Intruz ruszył ku drzwiom. Zerwała się z łóżka i rzuciła za nim. Zatrzymać go jakoś, przewrócić, choćby chwytając za kostki!

Ale sama się potknęła i przewróciła, a potem znowu usłyszała to wstrętne pyknięcie.

Z korytarza doleciał głośny łomot. To jej biednego tatę odrzuciło na ścianę.

Iskierki bieli migotały na skraju pola widzenia Esther, a cały pokój pływał, kiedy wdrapywała się z powrotem na łóżko. Obiema rękami zaczęła rozrywać siatkę przeciw owadom w oknie.

Do ziemi nie było daleko i miała już skakać, kiedy chwyciły ją i wciągnęły do środka silne dłonie.

Esther znowu krzyknęła, ale zdawała sobie sprawę, że chociaż sąsiedzi na pewno ją usłyszą, to i tak jest już za późno.

Zamierzali zabić wszystkich, którzy cokolwiek wiedzieli.

I każdego, kto stanie im na drodze.

## Rozdział 81

Na weekend przyjechał do domu Damon i wszyscy bardzo się ucieszyli. Wreszcie miałem przy sobie, chociaż tylko na te dwa dni, całą swoją trójkę w komplecie.

Zaczęliśmy od powitalnej kolacji złożonej z jego ulubionych potraw: sałatka cesarska dla wszystkich, z sardelami dla mnie, hamburgery w sosie pomidorowym według przepisu Nany oraz upieczony przez Jannie małpi chleb na deser. Po raz pierwszy piekła go samodzielnie, bez pomocy Nany.

Ciekaw byłem, co Damon powie na zmiany, jakie zaszły w domu. Jannie, Ali i ja przywykliśmy już do nowych zasad organizacyjnych wprowadzonych przez Bree, pomagania w pracach domowych i nakrywania do stołu. Ale dla Damona była to nowość. On jednak nie komentował i Bree była mu za to bardzo wdzięczna.

Po posiłku, który upłynął nam w miłej, rodzinnej atmosferze, skierowałem rozmowę na temat Nany:

– No nic, pora o tym porozmawiać.

Jannie westchnęła. Była z Naną bardzo zżyta; asystowała jej we wszystkim od dziecka.

– Co masz na myśli, tato? – spytał Damon. – Wszyscy wiemy, co się dzieje, prawda?

– Trzeba się naradzić. Nana wkrótce może się poczuć lepiej. I na to wszyscy liczymy. Ale może pozostać jeszcze w śpiączce przez czas jakiś. Możliwe też, że... że już się z niej nie wybudzi.

– Że umrze – powiedziała Jannie. – Wiemy o tym, tato. Nawet Ali wie.

Kiwnąłem głową,

– Wszyscy wiemy. Wszyscy jesteśmy przygnębieni i źli. Chodźcie do mnie, może lepiej będzie o Nanie pomyśleć, zamiast o niej rozmawiać.

Zbiliśmy się w grupkę i objęliśmy. Pierwsza załamała się Bree, potem już wszyscy płakali. I nikt się tych łez nie wstydził. Może nie we wszystkich rodzinach to się udaje, ale w naszej zawsze.

## Rozdział 82

W poniedziałek byłem już gotowy do ruszenia ze śledztwem dalej. Nazywała się Wylie Rechler, chociaż jej czytelnicy nazywali ją po prostu „Jenna”. Pomagała już FBI i policji metropolitalnej.

Wylie Rechler prowadziła od lat bardzo popularny blog plotkarski zatytułowany *Jenna wie*. Ujawniła przez ten czas na jego łamach kilka pomniejszych waszyngtońskich sensacyjek – nominacją Angeliny Jolie do Rady Stosunków Międzynarodowych, utrzymywany w tajemnicy nikotynowy nałóg Baracka Obamy – ale większość miejsca poświęcała towarzyskiemu oraz intymnemu życiu „osób najbardziej znaczących”.

Dokooptowałem Sampsona i dopadliśmy tę popularną plotkarkę w markecie sieci Neiman Marcus we Friendship Heights. Wylie promowała tam nową designerską nutę zapachową, cokolwiek to znaczy, o nazwie, a jakżeby inaczej, Jenna Wie. Ja, czując w powietrzu zawieszistą woń tanich perfum, nazwałem je w myślach „Jenna Węszy”.

Rozłożyła się ze swoim kramem w połowie marketu nieopodal schodów ruchomych. Ładne panie w czarnych bluzkach spryskiwały przechodzących, a sama Jenna składała autografy na flakonikach, które wyjmowała z czerwono-czarnych pudełeczek ułożonych w wielką piramidę na ladzie w kształcie litery C.

Na widok naszych odznak poderwała do piersi dłoń z perfekcyjnym manikiurem.

– Wielkie nieba! A więc w końcu za daleko się posunęłam, tak?

Tłumek za naszymi plecami zarechotał.

– Czy może nam pani poświęcić pięć minut? – spytałem. – To ważne.

– *Mais oui*. – Wylie podniosła się teatralnie z miejsca. – Wybaczcie, panie, ale plotki czekają. Policja metropolitalna wie wszystko. Ale... czy wszystko powie?

Ta teatralność zanikła częściowo, kiedy znaleźliśmy się sam na sam.

– Tak naprawdę to nie narozrabiałam, prawda? – spytała.

– Nic z tych rzeczy – zapewnił Sampson, otwierając i przytrzymując przed nią drzwi na Wisconsin Avenue. – Chcielibyśmy tylko prosić panią o pomoc.

– Czy słyszała pani o pewnym seksklubie dla grubych ryb? – zacząłem bez wstępów, kiedy znaleźliśmy się w moim samochodzie. – Tu, w Wirginii, koło Waszyngtonu. Nazywa się Blacksmith Farms. Chodzi nam przede wszystkim o zweryfikowanie krążących od jakiegoś czasu pogłosek.

Grzebała w małej czerwonej torebce na zatrask, ale usłyszawszy moje pytanie, znieruchomiła.

– A więc to prawda?

– Co pani słyszała? Jakies nazwiska, plotki, cokolwiek.

– Nic, czym warto by się było bliżej zainteresować – powiedziała, wyciągając z torebki szminkę. – Za mało, żeby drać temat. Uznałam, że to... czy ja wiem... takie tam cuda-niewidy.

– Czy pani nie zajmuje się czasem nagłaśnianiem takich cudów-niewidów? – spytał Sampson.

– Kochany, w tym, czym się zajmuję, staram się być jak najrzetelniejsza, żeby nie ciągali mnie potem po sądach. Nauczyłam się tego na własnej skórze, pisząc na blogu o życiu erotycznym Condi Rice. A tak na marginesie, w Waszyngtonie nie ma czegoś takiego jak niesprawdzona pogłoska.

– Co pani przez to rozumie? – spytałem.

– A to, że nie da się tutaj kiwnąć palcem, żeby nie zauważył tego jakiś dociekliwy dziennikarz, który stara się wyrobić sobie nazwisko. Plotki albo szybko znajdują swoje potwierdzenie i zostają upublicznione, albo umierają śmiercią naturalną zaraz po porodzie. Ta już dawno przestała krążyć, a więc uznałam, że to była kaczką.

Uśmiechnęła się wesoło i zaczęła malować sobie usta we wstecznym lusterku.

– W każdym razie do teraz tak myślałam.

– No właśnie – mruknąłem, spoglądając jej w oczy. – Chciałbym panią prosić, żeby zajęła się tym tematem.

– Że co proszę? Pan chyba wie, z czego żyję, prawda?

– A ja zakładam, że pani też wie, z czego żyję ja – odparowałem. – To nie zabawa, Jenno, to śledztwo w sprawie morderstwa. Rozumie pani?

– Teraz to mnie pan trochę nastraszył – stwierdziła, chowając szminkę z powrotem do torebki. I nagle otworzyła się i podała mi kilka zasłyszanych nazwisk związanych jakoby z seksklubem. Nazwisk, których jeszcze nie znałem.

– Umówmy się tak – powiedziałem, wręczając jej dwie swoje wizytówki. – Niech pani do mnie zadzwoni, jeśli dowie się pani czegoś jeszcze. I proszę mi dać swój numer. Kiedy tylko ta sprawa ruszy z miejsca, ja ze swej strony przekażę pani wszystko, co będę wiedział. Umowa stoi?

– To zależy. – Wachlowała się moimi wizytówkami. – Skąd mam wiedzieć, czy należy pan do tych, którzy dotrzymują słowa?

– Zwracam się do pani – powiedziałem, starannie dobierając słowa – bo jest mi pani potrzebna, a wiem, że pomagała już pani policji metropolitalnej. Oznacza to również, że nie mogę się pani narazić. Wierzy mi pani teraz?

Wyjęła małe złote pióro, napisała kilka cyfr na odwrocie jednej z wizytówek, złożyła na niej pocałunek i oddała mi z odciskiem szminki obok numeru telefonu.

– Powiedzmy.

## Rozdział 83

Następnego dnia po południu z zaskoczeniem odebrałem telefon od jednego z adwokatów Tony'ego Nicholsona. Nie był to ten bubek pod muchą i w szelkach, który przyjechał do klubu w noc nalotu, ale ktoś zupełnie inny. Ten był chyba jeszcze droższy, zważywszy, że numer jego telefonu zaczynał się na 202.

– Detektywie Cross, nazywam się Noah Miller. Reprezentuję kancelarię Kendall and Burke. Kojarzy pan sobie mojego klienta Anthony'ego Nicholsona, jak mniemam?

– Od tygodnia próbuję się skontaktować z pańskim klientem – powiedziałem. – Zostawiłem mu już z pół tuzina wiadomości i nic.

– U Nytha-Kleina? – spytał.

– Tak.

– Owszem, reprezentują jego firmę, ale prywatne sprawy pana Nicholsona my od nich przejęliśmy. A więc do rzeczy. Na samym wstępie zaznaczam, że dzwonię na jego prośbę i że on w tym względzie rezygnuje z doradztwa prawnego.

Nastawiłem ucha.

– Kiedy będę mógł się z nim zobaczyć? – spytałem.

– Nie będzie pan mógł. Nie w tej sprawie dzwonię. Proszę słuchać uważnie. Mam dla pana klucz do skrytki depozytowej, może go pan u mnie odebrać. Pan Nicholson mówi, że to ważne dla śledztwa, które pan prowadzi. Uważa również, że tylko policja metropolitalna jest w stanie uchronić go przed śmiercią. Z FBI nie chce mieć do czynienia.

Słuchając go, szukałem w Google informacji o kancelarii Kendall and Burke. Znalazłem: duża, z dobrą reputacją, przy K Street.

– Zaglądałem już do skrytki depozytowej pana Nicholsona – powiedziałem.

– Tak, wiem. Ale tu chodzi o drugą, w tym samym banku – odparł, a moje palce zastygły nad klawiaturą. Co mógł trzymać Nicholson w drugiej skrytce? A co ważniejsze, jak mielibyśmy go ochraniać? I przed kim?

– Przyjedzie pan dzisiaj po ten klucz? – ciągnął Miller.

– Na sto procent – zapewniłem go. – Ale pozwoli pan, że o coś zapytam. Dlaczego policja? Dlaczego właśnie ja? Dlaczego Nicholson nie chce powierzyć tej sprawy federalnym?

– Widzi pan, mój klient nie ufa ludziom, którzy go przetrzymują... ani, szczerze

mówiąc, rzetelności prowadzonego przez nich śledztwa. I jeszcze jedno: chce mieć pewność, że jego wola współpracy nie przejdzie niezauważona.

Uśmiechnąłem się do siebie. To ci dopiero, znaleźć się z Tonym Nicholsonem po tej samej stronie barykady. Oj, Anthony, Anthony. Wyglądało na to, że dostaje takiej samej paranoi, jaka dopadła już mnie.

– Dwadzieścia dwa K Street, czwarte piętro? – zapytałem, szczytując te namiary z ekranu.

– Bardzo dobrze, detektywie Cross. Między pierwszą trzydzieści a drugą. Potem będę musiał wyjść.

– Będę o pierwszej trzydzieści – zapowiedziałem się i nie dając się ubiec mecenasowi Millerowi, pierwszy odłożyłem słuchawkę.



## Rozdział 84

Odebranie klucza do skrytki Nicholsona od jego adwokata z Kendall and Burke i załatwienie sprawy w Exeter Bank poszło jak po maśle. Odniosłem wrażenie, że mecenas Noah Miller i kierowniczka banku pani Currie konkurują ze sobą, które z nich potrafi szybciej spławić mnie ze swojego życia. No i dobrze.

W tej drugiej skrzynce depozytowej znalazłem tylko jeden nieopisany dysk i właśnie czegoś takiego się spodziewałem. Jadąc z nim do Daly Building, zadzwoniłem po drodze do Sampsona. Czekał już na mnie w moim pokoju z nogami na biurku i laptopem na kolanach.

– Wiedziałaś, że Zeusa nazywano również Gromowładnym? – spytał. – Jego symbole to błyskawica, orzeł, byk i dąb. Aha, na dokładkę był pederastą. Podobno.

– Fascynujące – mruknąłem. – Zabieraj buciory z mojego biurka i puść to.

Wręczyłem mu dysk i zamknąłem za sobą drzwi.

– Co to? – spytał Sampson.

– Tony Nicholson uważa, że jego ubezpieczenie na życie. Na ekranie pojawił się obraz.

Z miejsca rozpoznałem sypialnię apartamentu w wozowni klubu Nicholsona. Z daty widniejącej w dolnym rogu kadru wynikało, że rejestracja rozpoczęła się o 1.30 nad ranem 20 lipca poprzedniego roku.

– Czy tę sygnaturkę można podrobić? – spytałem Sampsona.

– Bez problemu. Bo co? Myślisz, że Nicholson z tobą pogrywa?

– Kto wie. Może. Jeszcze nie wiem.

Po jakichś trzydziestu sekundach obraz drgnął, przeskoczył i godzina zmieniła się na 2.17.

Teraz na pustym wcześniej łóżku leżała dziewczyna tylko w czarnych koronkowych majtkach. Ładna, apetyczna blondynka z rękoma przykutymi kajdankami do słupków wezłowania i nogami rozłożonymi tak, że szerzej już chyba nie można.

Dźwięku nie było, ale z tego, jak się poruszała, można było wnioskować, że raczej kusi, niż jest przestraszona czy się broni. Mimo wszystko doznałem skurczu żołądka. Cokolwiek to oznaczało, nie chciałem chyba oglądać, co będzie dalej.

W kadr wsunął się mężczyzna – istny gad w pełnym rynsztunku sado-maso –

gumowe albo lateksowe spodnie i koszula z długim rękawem. Do tego ciężkie buty i pasowany kaptur zapinany na potylicy na zamek błyskawiczny. Poza tym że był wysoki i dobrze zbudowany, niewiele można było o nim powiedzieć.

– Wie, że tam jest kamera – orzekł Sampson. – Może chce być filmowany.

– Patrzmy, John, patrzmy.

Nie mogłem teraz rozmawiać. Myślałem o tym, co spotkało Caroline, być może w tym samym pokoju i może z rąk tego samego zbrojnego, którego właśnie oglądaliśmy.

Zeus, czy jak mu tam było, pochylił się nad dziewczyną i założył jej czarną przepaskę na oczy.

– Ma obrączkę – zauważyłem. – Na prawej dłoni.

Wyglądała na klasyczną, ale jakość obrazu nie była najlepsza.

Nie śpieszył się, wyciągnął z komódki jeszcze kilka akcesoriów – rozpórkę, którą przykuł dziewczynie kajdankami do kostek nóg, małą brązową buteleczkę, chyba z azotynem amylu, bo kiedy podsunął ją blondynce pod nos, ta poczerwieniała na twarzy i jakby straciła przytomność.

Patrzyliśmy z Sampsonem w milczeniu, jak odbywali stosunek. Przez większość czasu bydlak opierał się jedną ręką o materac, żeby zachować równowagę, a drugą trzymał na jej gardle. Kojarzyło mi się to z asflksjofilią, bo dozował dziewczynie tlen, dawał go i odcinał.

Dziewczyna brała udział w tej zabawie i nie wydawała się cierpieć, co z kolei budziło niepokój przy oglądaniu. Potem nagle wygiął nad nią plecy w łuk – dochodząc, jak sądzę – i uniósł wolną rękę, jakby właśnie wygrał w jakimś konkursie.

Wyglądało na to, że oparł się na jej szyi całym ciężarem i nagle ruchy dziewczyny stały się nerwowe, rozpaczliwe. Gwałtownie wyprostowała pod nim nogi. Patrzenie na to było czymś okropnym, jakby działo się to właśnie w tej chwili, a my nie mogliśmy zrobić nic, żeby to przerwać.

Im bardziej blondynka się szamotała, tym bardziej on się podniecał, aż w końcu jej ciało stało się wiotkie i w ogóle przestała się ruszać. Dopiero wtedy ją pocałował.

– O Chryste – wymamrotał Sampson pod nosem. – Dokąd ten świat zmierza?

Zaraz potem morderca zszedł z łóżka. Nie ociągał się, nie fetyszyzował ciała. Po niespełna minucie opuścił zacisze sypialni.

Dwadzieścia sekund później nagranie się skończyło.

– Rusz się, John. Jedziemy do Alexandrii. Musimy się dowiedzieć, czy to był Zeus.

## Rozdział 85

Do aresztu w miasteczku Alexandria weszliśmy z Sampsonem przez salę widzeń. Poszliśmy znajomym szlakiem – obok kartoteki i pokoju numer 15, z którego wypuszczano osadzonych, aż dotarliśmy do administracji.

Na tym etapie nasze policyjne odznaki wystarczały, by kolejne drzwi otwierały się przed nami z brzękiem, doprowadzając nas do biura przepustek.

Wszystko do tej pory to była bułka z masłem.

W biurze jak zawsze przebywało trzech wartowników. Dwóch z nich było w średnim wieku i trzymało się z tyłu. Trzeci, młodszy, miał upierdliwą pracę, bo musiał się zajmować przypadkowymi klientami, jak my. Kiedy się odezwał, w ustach błysnął mu złoty ząb.

– Panowie w sprawie?

– Detektywi Cross i Sampson z policji metropolitalnej. Chcielibyśmy się zobaczyć z dwojgiem aresztantów, Anthonyem Nicholsonem i Marą Kelly.

– Macie na to zgodę? – I już sięgał po słuchawkę.

– Przesłuchiwałem ich wcześniej – powiedziałem. – Zadamy im tylko kilka dodatkowych pytań i już nas nie ma.

W każdym razie warto było zaryzykować. Może istniała jakaś szczelina, przez którą udałoby się nam przecisnąć.

Dyżurny nie rozmawiał długo przez telefon. Pokręcił głową w moją stronę, gdy odkładał słuchawkę.

– Cóż, po pierwsze, nie macie na dzisiaj zgody, a po drugie, to i tak bez znaczenia. Wasze ptaszki wyfrunęły, oboje, Nicholson i Kelly.

– Wyfrunęły? – Nie wierzyłem własnym uszom. – Błagam, niech mi pan powie, że zostali po prostu przeniesieni.

– Powiedziałem, że wyfrunęły, człowieku. – Otworzył czarny segregator leżący na biurku. – No, dokładnie. Dzisiaj o godzinie jedenastej. Ktoś o nazwisku Miller wpłacił, Jezu, całą kaucję za oboje. Ćwierć melona za każdego.

To zwróciło uwagę pozostałych dwóch wartowników. Podeszli, żeby spojrzeć mu przez ramię. Jeden z nich cicho gwizdnął.

– Milusi – powiedział drugi.

– Tak. Zrozumieliście, panowie? – dorzucił młodziak.

To nie była ich wina, nie oni to zrobili, ale to właśnie oni znajdowali się teraz przede mną.

– Co się tutaj dzieje? – zapytałem. – W przypadku Nicholsona istnieje ogromne ryzyko ucieczki. Czy ktoś zadał sobie trud, żeby to sprawdzić? Miał bilety na samolot kupione w dniu, kiedy go aresztowano!

Młody wartownik stał teraz przede mną. Dwaj pozostali położyli ręce na pałkach.

– Słyszę cię, człowieku. Masz się cofnąć, i to już. Poczuję, że Sampson ciągnie mnie za ramię.

– Nie strzép tu języka po próznicy, Alex. Chodźmy. Nicholson i dziewczyna przepadli.

– To katastrofa, John.

– Wiem, ale co się stało, to się nie odstanie. Chodźmy.

Pozwoliłem mu się odciągnąć, choć wiele bym dał, żeby ktoś za to beknął. Tony Nicholson na przykład. Albo ten pyszałkowaty adwokat Miller.

Kiedy wychodziliśmy, dosłyszałem jeszcze, jak wartownicy rozmawiają o byłych już aresztantach.

– Pierdzieleni bogacze, człowieku. Wychodzą, bo chcą, cała reszta też by chciała, a nie może.

– Tak, racja. Jak w powiedzeniu: bogaty ma więcej, niż potrzebuje, a biedny...

– Tu pracuje.

Ostatnie, co usłyszałem, to śmiech wartowników.

## Rozdział 86

Cyrk na kółkach! Niezależnie od tego, czy były to własne pieniądze Nicholsona, dzięki którym wyszedł na wolność, musiał mieć przecież podpis sędziego federalnego na formularzu 41 i kogoś stojącego jeszcze wyżej w łańcuchu pokarmowym, kto pośredniczyłby w tym interesie.

Tuszowanie sprawy obejmowało coraz szersze kręgi, sięgało głębiej i stawało się coraz paskudniejsze, prawda? Myślę, że cała ta sprawa bardziej wprawiała mnie w podziw, niż szokowała. Co gorsza, podejrzewałem, że daleko było do jej zamknięcia.

Skorzystaliśmy z Johnem z okazji, żeby odwiedzić dom Nicholsona i mieszkanie Mary Kelly, ale znaleźliśmy tam dokładnie to, czego się spodziewaliśmy.

Na drzwiach wisiała żółta policyjna taśma, lecz nic nie wskazywało na to, żeby ktokolwiek tam zaglądał, przynajmniej przez dwa ostatnie dni. A nawet jeśli, to wyszedł dawno temu. Bardzo wątpiłem w to, czy zobaczymy jeszcze kiedykolwiek Nicholsona albo Kelly.

Zanim wróciliśmy na autostradę, poprosiłem Sampsona, by zjechał na stację benzynową Exxon niedaleko mieszkania Kelly. Kupiłem niewielką nokię na kartę za trzydzieści dziewięć dolarów i zadzwoniłem z niej pod numer, który dostałem przy innej okazji.

Wylie Rechler odebrała po pierwszym dzwonku.

– Mówi Jenna. Opowiadaj.

– Tu detektyw Alex Cross, Jenna. Spotkaliśmy się niedawno we Friendship Heights – powiedziałem. – Jest pani gotowa w to wskoczyć?

Usłyszałem ciche melodramatyczne westchnienie.

– Kochany, byłam gotowa, kiedy ostami raz gawędziliśmy. Co ma pan teraz dla mnie?

– Słyszała pani kiedyś o Tonym Nicholsonie?

– Nie wydaje mi się. Nie, definitywnie nie. A powinnam?

– To człowiek z małym czarnym notesem, który na pewno bardzo chciałaby pani obejrzeć, choć nikomu z nas pewnie nie będzie to dane. Do jedenastej dziś rano był w areszcie federalnym. Teraz wyszedł za kaucją i gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że właśnie opuszcza kraj. Razem z małym czarnym notesem.

– Jakie ma to dla mnie znaczenie?

– Może mieć bardzo duże, Jenno. Jeśli mi pani pomoże. Chcę, żeby namówiła pani Sama Pinkertona z „Post” do włożenia aparatu podsłuchowego do ucha – powiedziałem. – Zrobiłaby to pani dla mnie?

– Myślę, że chyba tak. – Zamilkła na chwilę, a potem głos się jej obniżył. – Sam obsługuje Biały Dom. Wie pan o tym, mam rację?

– Ma pani rację.

– Jezu, aż mi się mokro zrobiło. Przepraszam za to wyrażenie. W porządku, co takiego pan Pinkerton może mieć dla mnie, kiedy zadzwonię? Jeśli zadzwonię.

Powiedziałem Jennie prawdę.

– Pewnie nic tak od razu. Ale wy dwoje tworzycie całkiem dobrany zespół przy tej sprawie. Będzie pani kryta ze wszystkich stron.

– Chyba się w panu zakochałam, detektywie.

– To zupełnie inna para kaloszy – odparłem. – Sam nienawidzi mnie jak mało kogo. Zajdzie pani z nim znacznie dalej, nie wspominając o mnie.

Kiedy się rozłączyłem, Sampson zmierzył mnie wzrokiem z siedzenia kierowcy.

– Myślałem, że Sam Pinkerton jest twoim przyjacielem.

– Bo jest. – Schowałem nowy telefon do kieszeni obok starego aparatu. – Robię właśnie, co mogę, żeby to się nie zmieniło.

## Rozdział 87

Tego popołudnia musiałem odwiedzić jeszcze jedno miejsce, dlatego poprosiłem Sampsona, żeby mnie tam podrzucił.

Jeden z ulubieńców Waszyngtonu, a także człowiek, którego sam bardzo lubiłem, Hilton Felton, umarł jakiś czas temu, zbyt młodo, w wieku sześćdziesięciu lat. Niezliczone noce spędziłem na słuchaniu Hiltona, jak grał w Kinkead's w Foggy Bottom, gdzie pracował jako pianista od 1993 roku. Tam właśnie odbywał się upamiętniający go koncert.

Mniej więcej sto pięćdziesiąt osób tłoczyło się, by uczcić życie Hiltona i oczywiście posłuchać wspaniałej muzyki jego przyjaciół. Uroczystość była bardzo piękna, odprężająca i na swój sposób wspaniała. Muzyka brzmiałaby lepiej jedynie wtedy, gdyby Hilton tam był i sam grał.

Kiedy Andrew White wstał i zagrał jedną z oryginalnych kompozycji Hiltona, poczułem się niesamowitym szczęściarzem, bo znałem człowieka stojącego za tą muzyką, ale jednocześnie zrobiło mi się strasznie smutno, bo wiedziałam, że już nigdy nie usłyszę go grającego tak, jak tylko on potrafił.

Okropnie mi go brakowało i przez cały czas, kiedy tam byłem, nie mogłem przestać myśleć o Nanie. To właśnie ona zabrała mnie ze sobą, żebym posłuchał Hiltona.

## Rozdział 88

Po sentymentalnym przystanku w Kinkead's złapałem taksówkę na Fifth Street, a potem poszedłem na górę pracować. Jakby i bez tego za mało się działo, mieliśmy tamtego wieczoru dwóch niechcianych gości w domu. Dochodziła jedenasta, kiedy Bree weszła do mojego gabinetu na poddaszu, żeby przekazać mi wieści.

– Mamy towarzystwo na dworze, Alex. Dwóch facetów w fordzie explorerze zaparkowanym od kilku godzin po przeciwnej stronie ulicy. Kubki na tablicy rozdzielczej. Ani nie odjeżdżają, ani nie wysiadają. Siedzą tam po prostu i obserwują dom. Może mają ciebie na oku.

Wiem, że intuicja Bree jest niezawodna, więc nawet przez chwilę nie wątpiłem, że mamy nowy problem. Wsadziłem glocka do kabury i narzuciłem wiatrówkę, by go zakryć.

Po drodze na dół zaszedłem do pokoju Damona, żeby wziąć jego stary kij baseballowy. Porządny kawałek jesionu, nie jakieś tam aluminium.

– Nie wychodź, proszę – zwróciłem się do Bree już przy drzwiach frontowych. – Jeśli pojawi się jakiś problem, dzwoń po posiłki.

– Jeśli pojawi się jakiś problem, zadzwonię po posiłki i sama wyjdę – odpowiedziała.

Zamknąłem za sobą drzwi i wyszedłem przez werandę. Explorer stał zaparkowany trochę z boku po przeciwnej stronie. Kierowca wysiadł, gdy zrobiłem pierwszy zamach i stałem na proch jego tylne lewe światło.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – wrzasnął na mnie. – Odbiło ci, człowieku?

W świetle latarni spostrzegłem, że był potężny, ale nie gruby, miał ogoloną głowę, a jego nos parę razy musiał być złamany. Wcześniej myślałem o służbach rządowych, lecz teraz, gdy go zobaczyłem, bardziej kojarzył mi się z działem „Prywatni detektywi” z książki telefonicznej.

– Dlaczego obserwujecie mój dom? – krzyknąłem do niego. – Kim jesteście?

Jego partner wysiadł z drugiej strony, ale obaj trzymali się na dystans.

– Alex? – Usłyszałem Bree zjawiającą się za mną. – Nic ci się nie stało?

– Nie, wszystko gra! – odkrzyknąłem do niej. – Waszyngtońska tablica rejestracyjna, DCY jeden osiem dwa.

– Zapamiętałam – powiedziała.



Łysol błysnął w moim kierunku rozłożonymi dłońmi.

– Mówię poważnie, odłóż ten kij, człowieku. Wiemy, że jesteś gliniarzem.

– Odłożę go, kiedy się dowiem, co robicie w miejscu, gdzie mieszkam.

– Nie chodzi o nic poważnego, w porządku? Nie mam nawet przy sobie gnata. – Rozpiął kurtkę, żeby mi to pokazać.

– Ktoś nas wynajął, żebyśmy nie spuszczała cię z oczu przez jakiś czas. To wszystko.

– Idzie o mnie? – Uniosłem kij trochę wyżej. – Czy o mnie i moją rodzinę?

– O ciebie. O ciebie.

Nie wiedziałem, czy mówił prawdę, czy to, co chciałem usłyszeć.

– Dla kogo pracujecie? – zapytałem.

– Nie wiemy. Powaga. To zlecenie za gotówkę. Wiem jedynie, jak wyglądasz i gdzie dzisiaj byłeś.

To nie wystarczyło, żeby mnie uspokoić. Podszedłem i zgasilem na zawsze drugie tylne światło.

– Więc gdzie to niby byłem?

– Rozpracowujesz morderstwo dla policji metropolitalnej. Ma to coś wspólnego z zatrzymanymi w Alexandrii. Do kurwy nędzy, odwal się wreszcie od tego wozu!

Coś zaświtało mi w głowie w związku z tą sprawą. Uderzyło mnie jak grom z jasnego nieba i nie mogłem temu zaprzeczyć. Ludzie, których ścigałem, zaczęli teraz pościg za mną.

– Wiesz, że powinieneś być ostrożniejszy – odezwał się drugi prywatny detektyw.

Zrobiłem krok w jego stronę.

– A to dlaczego?

– To nie nami musisz się przejmować. Kimkolwiek są i przed czymkolwiek chcą cię powstrzymać, mają pewne argumenty. To mogą ci zdradzić. A ty możesz mi wierzyć albo nie.

– Dzięki za ostrzeżenie. – Wskazałem na ulicę. – Tutaj nie macie już nic do roboty. – Jeśli złapię któregoś z was w pobliżu, aresztuję, a samochód każę odholować, zrozumieliscie?

– Aresztujesz? – Teraz, gdy najgorsze mieli za sobą, pierwszy facet zdecydował się na pogawędkę. – A na jakiej podstawie byś nas aresztował?

- Jestem gliniarzem, pamiętacie? Coś wymyślę.
- A co z moim samochodem, facet. To zniszczenia na pięćset dolców!
- Niech zapłacą wasi klienci – powiedziałem mu. – Wierzcie mi, na pewno ich na to stać.

## Rozdział 89

Następnego ranka zostałem ponownie wezwany do gabinetu Ramona Daviesa. Kazał po prostu jednemu z gryzipiórków czekać na mnie przed drzwiami mojego biura, kiedy tam dotarłem.

– Czego chce? – zapytałem funkcjonariusza. Żadne miłe wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy, jedynie paskudne rzeczy. Jak więcej trupów.

– Nie wiem. Chce się z panem spotkać. Tyle mi powiedziano.

Słyszałem, że Woody Allen zostawia aktorów samych, kiedy dobrze sobie radzą, i reżyseruje ich jedynie wtedy, gdy pojawia się problem. Davies działał na podobnej zasadzie. Nienawidziłem wizyt w jego gabinecie.

Kiedy tam dotarłem, ktoś jeszcze czekał na mnie u niego. Rozpoznałem twarz z Białego Domu, ale nie wiedziałem, jak się nazywa, dopóki Davies nas sobie nie przedstawił.

– To Alex Cross, a to agent specjalny Dan Cormorant. Jest z Secret Service. Chciałby z tobą porozmawiać.

Cormorant był facetem, który przyszedł z prezydent Vance do gabinetu szefa personelu tego dnia, kiedy składałem tam wizytę. Przyjąłem, że zjawił się tutaj z polecenia swojej przełożonej.

– Spotkaliśmy się już tak jakby – powiedziałem i uściśniłem mu rękę. – Nie przypuszczam, żeby miał pan coś wspólnego z dwoma prywatnymi detektywami, którzy tkwili wczoraj wieczorem przed moim domem?

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi – odrzekł.

– To niech pan sobie to wyobrazi.

– Alex – Ramon wszedł mi w słowo. Głos miał podniesiony, ręką dał mi znak. – Bądź cicho. Zajmijmy się tym, co trzeba.

Cormorant i ja usiedliśmy przed jego biurkiem.

– Nie będę się rozwodził nad tym, w jaki sposób doszło do tej sytuacji – stwierdził Davies, a przekaz zawarty w jego słowach był jasny. Później ze mną o tym pogada na osobności. – Ale powiem wam, co będzie się działo dalej. Alex, masz być do dyspozycji agenta Cormoranta i przekażesz mu wszystkie materiały związane z tą sprawą, jakie mu będą potrzebne. Kiedy z tym skończysz, zameldujesz mi, że jesteś gotowy do następnego

zadania. Mam poczwórne zabójstwo w Cleveland Park z wypisanym tam wszędzie twoim nazwiskiem. Duża sprawa, poważne przestępstwo.

Słuchałem tych słów, ale myślami byłem gdzie indziej. Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że Ramon czuł się nieswojo, mając na karku Secret Service, zmuszony do tego prawdopodobnie przez samego szefa. Nigdy wcześniej tak ze mną nie rozmawiał, ale postanowiłem trzymać język za zębami do czasu, aż się przekonam, o co chodziło agentowi Cormorantowi.

Spotkanie dobiegło końca wkrótce potem. Szedłem z Cormorantem w kierunku mojego pokoju.

– Jak długo jest pan w ochronie prezydenckiej? – zapytałem go. – To bardzo elitarna grupa.

– W Secret Service pracuję od ośmiu lat – odparł, nie do końca odpowiadając na moje pytanie. – Przedtem służyłem w policji w Filadelfii i dzięki temu wiem, jak bardzo mnie pan tu nie chce.

Zamiast wnikać w to głębiej, zapytałem:

– A więc jak dużo wiecie, panowie, w tej chwili o Tonym Nicholsonie? Gdzie on teraz jest? Jeśli mogę o to spytać, rzecz jasna.

Uśmiechnął się.

– Jak dużo pan o nim wie?

– Wiem, że do jedenastej w piątek rano siedział w Alexandrii, a teraz nikt nie może go znaleźć. Nikt z policji metropolitalnej w każdym razie.

– No to mamy takie same informacje – powiedział Cormorant. – To jeden z powodów, dla których tu jestem. To wielka zagadka, detektywie Cross. I do tego niebezpieczna.

Zaskoczył mnie tym, że był trochę bardziej wyluzowany od mnóstwa facetów z Secret Service, których znałem, choć oni wszyscy to jeden czort. Pozostawało też jedno pytanie – czy był tu, by w majestacie prawa rozpracowywać tę sprawę, czy też ją zatuszować?

W moim gabinecie wziąłem płytkę od Nicholsona i oddałem mu ją.

– Większość dowodów materialnych jest w FBI, ale te są nowe.

Obracał ją w dłoniach.

– Co to jest?

– Czy imię Zeus coś panu mówi? Domyślam się, że tak.

Popatrzył na mnie, ale nic nie powiedział.

– Cormorant, chce pan, żebym panu pomógł czy nie? Prawdę mówiąc, chciałbym pomóc.

– Tak, słyszałem o Zeusie – odparł.

– Prawdopodobnie to on. Na tej płytce.

– Prawdopodobnie?

– To zabójstwo. Napastnik to biały mężczyzna z charakterystyczną obrączką na prawej ręce. Nie chcę snuć żadnych domysłów i panu też nie radzę.

Powinienem się trochę bardziej wysilać, żeby uwagi podobne do tej ostatniej zatrzymać dla siebie. Zobaczyłem, jak Cormorant od razu zeszytniał.

– Co jeszcze pan ma? – zapytał. – Chciałbym się dowiedzieć wszystkiego, detektywie.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby zebrać notatki do kupy. Ale jutro mogę panu przekazać wszystko, co wiem – zapewniłem go.

– Co z kopiami? – Uniósł do góry krążek, który mu dałem. – Ile takich płytek jest w obiegu?

– Ja wiem tylko o tym jednym egzemplarzu – powiedziałem. – Pochodzi ze skrytki depozytowej Nicholsona. Dzięki niej mógł się targować. Oczywiście, gdybyśmy go znaleźli...

– W porządku, – Ucisnął mi rękę. – Niedługo znowu pogadamy.

Po jego wyjściu jeszcze raz odbyłem w myślach tę rozmowę i zapisałem wszystko, co utkwilo mi w pamięci. Ile kłamstw Cormorant zdążył mi wcisnąć do tej pory? I ja sam ile jeszcze będę musiał nakłamać z tego samego powodu, innego wprawdzie niż ten, którym się kierowałem, mówiąc mu o kopiach płyty Nicholsona, zanim to się skończy?

## Rozdział 90

Oto jak obłąkańczy/paranoiczny bieg przybrały sprawy. Przestałem używać własnego telefonu i dzwoniłem wyłącznie z komórki na kartę, zmieniając numer mniej więcej co czterdzieści osiem godzin.

Po spotkaniu z Cormorantem wybiegłem, kupiłem nową i zadzwoniłem z niej do Sama Pinkertona do „Washington Post”.

Z Samem poznaliśmy się na siłowni, gdzie obaj ćwicziliśmy. On woli shotokan, podczas gdy mnie interesuje zwykły boks, ale i tak odbywaliśmy sparingi i piliśmy też razem co jakiś czas. Dlatego nie było niczego dziwnego w tym, że zadzwoniłem i spytałem, czy nie wypiłby ze mną czegoś po pracy w Union Pub.

Resztę popołudnia spędziłem na uganianiu się za cieniem Tony’ego Nicholsona i właściwie nie natrafiłem na nic, czego nie wiedziałbym wcześniej.

Potem, tuż po piątej, ruszyłem Luisiana i Columbus Circle na spotkanie z Samem.

Przy piwie gadaliśmy o niczym, opowiadaliśmy, jak radzą sobie nasze dzieciaki, co myślimy o fatalnym budżecie szkolnictwa w Dystrykcie Kolumbii, wspomnieliśmy nawet o pogodzie. Przyjemnie było tak posiedzieć i przez krótką chwilę prowadzić prawie normalną rozmowę. Ostatnio moje dni były zbyt wypełnione, żeby znalazło się w nich miejsce na zwykłe życie.

Druga kolejka podniosła temperaturę naszej pogawędki, sprawy nabrały znacznie większej ostrości.

– Więc nad czym teraz ślęczysz w robocie? – zapytałem.

Odchylił się w łóży i kiwnął do mnie głową.

– Czy to spotkanie właśnie się zaczęło?

– Tak jakby. Pracuję teraz nad pewną sprawą i usiłuję podgrzać tam atmosferę w związku z kilkoma rzeczami.

– To znaczy właśnie tam? – Wskazał w przybliżeniu kierunek Białego Domu, który był jego działką i znajdował się jedynie o kilka przecznic od baru. – Mówimy o ustawodawstwie czy o czymś innym? Myślę, że znam odpowiedź.

– O czymś innym – odrzekłem.

– Domyślam się, że nie chodzi ci o sześćdziesiąte urodziny pani prezydent?

– Sam.

– Jeśli chcesz, mogę cię wprowadzić. Żarcie na pewno będzie całkiem dobre. Lubisz Norah Jones? Będzie występowała. I Mary Blige.

Wiedział, że wyświadcza mi przysługę, więc nie miał zamiaru zmarnować takiej okazji, żeby trochę mi nie podokuczać.

– Dobra, jest coś – stwierdził. – Znasz blog *Jenna wie?* Jenna zadzwoniła do mnie osobiście któregoś dnia. Trzeba będzie dobrze sprawdzić źródło czegoś takiego, ale wystarczy powiedzieć, że ma coś naprawdę paskudnego. W tej chwili nie bardzo mogę wchodzić w szczegóły. Może postawisz mi kolejne piwo za mniej więcej dwa dni? – Opróżnił szklanę. – Chyba że mi powiesz, nad czym, do cholery, pracujesz.

– Bez komentarza. Jeszcze nie teraz – powiedziałem. I jednocześnie pomyślałem: misja wypełniona. Cokolwiek zaszło, ta sprawa została puszczona w ruch, ze mną lub beze mnie.

– Jest jeszcze coś, prawdę mówiąc – dodałem. – To trochę nietypowe.

– Ja tam wolę rzeczy typowe – powiedział i zakręcił palcem w powietrzu, dając znak kelnerce, żeby przyniosła następną kolejkę.

– Tylko do twojej wiadomości. Gdyby coś mi się stało w ciągu kilku następnych dni lub tygodni, chcę, żebyś się temu przyjrzał.

Sam zamarł i wpatrywał się we mnie.

– Jezu Chryste, Alex.

– Wiem, że to trochę dziwnie brzmi. Nawet bardziej niż trochę, jak myślę.

– Nie masz, sam nie wiem, całej policji, żeby cię chroniła?

– To zależy, jak się to rozumie – odpowiedziałem, gdy następna kolejka pojawiła się na stoliku. – Uznajmy, że załatwiam sobie wyjście awaryjne.

## Rozdział 91

Dwa tygodnie wcześniej, cholera, jeszcze w poprzednim tygodniu, kiedy Tony'emu Nicholsonowi zachciało się pić, otwierał z hukiem butelki szampana warte pięćset dolarów za sztukę. A teraz, proszę bardzo, kulił się w deszczu na brudnym postoju dla ciężarówek przy I-95 niczym jakiś wyobcowany uciekinier z Trzeciego Świata.

Mara czekała w środku i patrzyła przez szybę Landmark, taniej restauracji. Kiedy spojrzął za siebie, popukała się w nadgarstek i wzruszyła ramionami, jakby chciała mu przypomnieć, że powinni być gdzie indziej.

Ale on pamiętał, pamiętał.

Alternatywne rozwiązanie było nie do przyjęcia – gnicie w celi aresztu w Alexandrii. Teraz mieli przynajmniej nadzieję na nowe paszporty, bilety lotnicze i wystarczającą ilość gotówki, żeby się wyrwać z tego plastelinowego kontynentu na dobre.

Ale jego kontakt się spóźniał, a z każdą mijającą minutą Nicholson popadał w coraz większą paranoję. Jakby tego było mało, kolano bolało go coraz bardziej z powodu deszczu i zimna, pulsowało jak cholera od długiego stania.

W końcu, po kolejnych pięciu minutach, coś się poruszyło w polu jego widzenia.

Stojąca po przeciwnej stronie parkingu furgonetka dała mu sygnał światłami. Nicholson popatrzył na nią. Kierowca zachęcił go gestem, żeby podszedł.

Powtórzył ten gest – bardziej natarczywie.

Serce podeszło Nicholsonowi do gardła. Coś tu nie grało. Miał to być samochód, a nie furgonetka, a spotkanie powinno się odbyć dokładnie w miejscu, gdzie ludzie mogli go widzieć. Gdzie nic mało zabawnego nie mogło mu się przydarzyć.

Za późno. Kiedy ponownie zerknął na restaurację, Mary już nie zobaczył. Zamiast niej stał tam mały chłopiec, trzymał dłonie na policzkach i wpatrywał się w niego, jakby to był remake *Wioski przeklętych*.

Serce waliło mu jak młotem, kiedy dał znak kierowcy, że zaraz wróci, i pokuśtykał ku drzwiom z szybkością, która wydawała mu się w miarę naturalna.

Jadłodajnia była w środku prawie pusta, podobnie jak stoisko z gazetami. Po Marze nie było ani śladu.

Szybkie sprawdzenie damskiej toalety powiedziało mu to, co i tak już wiedział: od tej chwili oficjalnie każde z nich musiało się martwić o siebie. Przeszedł obok ubikacji do



tylnych drzwi i kontynuował marsz.

Podwórze na tyłach wyglądało na ciche i opustoszałe. Wypożyczony wóz zaparkował pięćdziesiąt metrów dalej, co teraz wydawało się o pięćdziesiąt metrów za daleko. Kiedy zerknął za siebie ponad ramieniem, zorientował się, że tymi samymi drzwiami wychodził ktoś jeszcze – może kierowca furgonetki, a może nie; trudno było zobaczyć w kłębiącej się mgle i deszczu.

Rzucił się do rozpaczliwej ucieczki, kuśtykał pośpiesznie, ale słyszał już za sobą na chodniku odgłos kroków szybszych od jego człapania.

Kątem oka ponownie dostrzegł furgonetkę na skraju podwórza. Z boku miała napis „Mięso od Pete’a” i nawet w takiej chwili zdał sobie sprawę z ironii, jaka w tym była.

Matko Boska, jestem trupem. I Mara też. Może ona już nie żyje.

Dotarł do drzwiczek wynajętego samochodu na odległość wyciągniętej ręki. Bezwzględna dłoń zakryła mu usta, głusząc jakikolwiek krzyk, który mógłby mu się wyrwać. Mężczyzna miał potężne ramiona. Nicholson poczuł, że jest obracany, jakby był małym dzieckiem.

Przez ułamek sekundy miał niemal pewność, że napastnik zaraz skręci mu kark. Zamiast tego jednak dostał cios w podbródek. Fala bólu sprawiła, że żołądek podszedł mu do gardła, stracił orientację.

Widział niewyraźnie. Parking, niebo, samochód zlewały się w jeden zamazany obraz, aż dla Tony’ego Nicholsona zgasło światło i wszystko stało się bardzo, bardzo dalekie.

## Rozdział 92

Nicholson obudził się w ciemności na zimnym podłożu, ale przynajmniej żywy. Zdał sobie sprawę, że jest kompletnie goły, a nadgarstki i kostki u nóg ma związane.

Kiedy spróbował się rozejrzeć, okropny ból przeszył mu kark. Nadal jednak był w grze, a teraz tylko to się liczyło, prawda?

Za sobą miał jakiś budynek, słabo oświetlony od wewnątrz. Wszystko inne wyglądało jak cienie i drzewa. Stos drewna opałowego, chyba. Jakaś maszyna obok budynku. Co? Odśnieżarka? Kosiarka do trawy?

– Budzi się. – Niedaleko od niego rozległ się głos.

Nicholson usłyszał kroki i odgłos chlupoczącej wody. Kiedy kroki się zbliżyły, ziemię przed nim rozjaśnił snop światła z latarki. Zobaczył parę nóg w ciemnych butach z końskiej skóry.

– Witamy z powrotem, Tony. Myśleliśmy, że już cię tam stracimy. A tu proszę!

Kiedy chlusnęła na niego woda, miał wrażenie, że poraził go prąd. Całe ciało skurczyło mu się z zimna, nie potrafił zapanować nad urywanym, płytkim i bardzo szybkim oddechem.

– Podnieście go – powiedział ktoś inny.

Chwycili go pod pachy i posadzili jego nagi tyłek na drewnianym krześle. W świetle latarki dostrzegł jedynie sekundowe obrazy – jakąś twarz, pniak, błysk czegoś srebrnego w czyjejś ręce. Broń? Telefon?

– Gdzie jest Mara? – wybełkotał, gdy nagle sobie o niej przypomniał.

– W tej chwili nie musisz się o nią martwić. To najmniejszy z twoich problemów. Możesz mi wierzyć.

– Mieliśmy umowę! – Jego głos zabrzmiał żałośnie i wiedział o tym. – Obiecano mi. Zrobiłem dokładnie to, co mi kazano!

Coś ostrego ukłuło go w czubek głowy.

– Kto jeszcze wie o Zeusie? – zapytał jeden z mężczyzn. Mówił obojętnym, spokojnym głosem.

– Nikt! Przysięgam! Nikt nie wie! Zrobiłem, co do mnie należało. Podobnie jak Mara!

Wąska linia cięcia jak oparzenie ogniem przebiegła mu za uszami aż do karku. Powiał lekki wiatr, prąd powietrza, który zaostrzył ból niczym kwas na skórze.

– Adam Petoskey? Esther Walcott?

– Nie! To znaczy... może czegoś się domyślają. Adam nie był pod koniec tak samo ostrożny jak na początku. Ale przysięgam na Boga...

Dwa kolejne cięcia przez środek piersi i brzuch. Nicholson wrzeszczał za każdym razem.

Wciągnął brzuch, jakby dzięki temu mógł uniknąć ostrza, które przesuwano się powoli w dół, rozcinając skórę, aż zatrzymało się przy nasadzie kutasa.

– Kto jeszcze, Nicholson? To chyba dobra pora, żebyś stał się rozmowniejszy.

– Nikt! Jezu Chryste, nie rób tego!

Teraz już płakał, nie panował nad jękami. To było tak niewiarygodnie niesprawiedliwe. Całe dorosłe życie przehandlowywał jedno kłamstwo za drugie, żeby w tej chwili dać się złapać na prawdzie.

– Nie wiem, czego chcecie – wybełkotał do nich. – Nic więcej nie wiem...

Gdzieś za nim w ciemności rozległ się trzeci głos. Różnił się od dwóch pozostałych, miał nosowe brzmienie wsioka z Południa niczym w *Diukach Hazzardu*, a na takich ludzi Nicholson patrzył z góry od chwili, gdy przyjechał do Ameryki.

– Hej, chłopaki, załatwmy to raz-dwa, dobrze? Mam własne sprawy, którymi muszę się zająć.

W tej właśnie chwili Nicholson wyciągnął ostatniego asa, swoje koło ratunkowe – taką przynajmniej miał nadzieję.

– Oddałem płytkę glinom. Zeus był na niej. Detektyw Alex Cross ma tę płytkę!

## Rozdział 93

*Jak mus, to mus i tyle.* To zawsze było ulubione powiedzenie Nany – z jednej strony przejaw upor, z drugiej optymizmu – i ostatnio bez przerwy plątało mi się po głowie. Nie miałem zamiaru rezygnować z tej sprawy, tak samo jak nigdy jej nie zostawiłbym samej sobie.

Cały oddział intensywnej opieki medycznej w szpitalu St Anthony's był mi znany w tej chwili bardziej niż dobrze. Poznałem wszystkie pielęgniarki i członków rodzin niektórych pacjentów. Prawdę mówiąc, byłem akurat na korytarzu tamtego wieczoru i gawędziłem z nową znajomą o urazie mózgu, jakiego doznał jej ojciec, kiedy zabrzmiał dzwonek alarmowy w sali Nany.

Takie alarmy nie zawsze wzbudzały panikę przy Five West. Rozlegały się przez cały czas, bo komuś zsunął się czujnik z palca, nastąpiło zwarcie w urządzeniu elektronicznym albo jeszcze coś innego. Pierwszą zasadą było, że im wyższy i bardziej natarczywy stawał się dźwięk, tym większa należała mu się uwaga.

Ten zaczął się od niskiego brzmienia, ale gdy wszedłem do pokoju Nany, przemienił się w ostre zawodzenie. Jedna z pielęgniarek, Zadie Mitchell, już tam była.

– Co się dzieje? – zapytałem Zadie. – Coś poważnego?

Poprawiała plaster przy rurce z tlenem i patrzyła na przebiegi na monitorze, dlatego nie od razu mi odpowiedziała. Inna siostra, Jayne Spahn, weszła za mną.

– Zły odczyt? – zapytała.

– Nie – odparła Zadie. – Jest prawidłowy. Zawiadom Donalda Hescha.

Nacisnęła guzik uruchamiający stuprocentowe dostarczanie tlenu przez respirator i od razu zaczęła odsysać Nanę. Serce biło mi bardzo szybko.

– Zadie, co się dzieje?

– Odsącam ją, Alex. Na razie nie ma powodu do obaw.

Nie byłbym taki pewny. Nawet z respiratorem nadmiar płynu w organizmie Nany sprawiał, że jej serce musiało bardzo ciężko pracować, żeby rozprowadzić wystarczającą ilość tlenu. Z tego, co wiedziałem, topiła się na moich oczach.

Doktor Hesch zjawiał się kilka minut później z Jayne i jednym ze speców od respiracji. Ścieśnili się przy urządzeniach zajęci Naną. Mogłem jedynie stać, słuchać i starać się zrozumieć cokolwiek z tego, co mówili.

– Rano podaliśmy jej dużą dawkę, bo miała ciśnienie na granicy czterdziestu paru. Od chwili, gdy pana wezwaliśmy, odsącam jej płwocinę. Jest w niej krew.

– Dostała dzisiaj znieczulenie?

– Nie, to twarda sztuka. Ostatni raz podano jej znieczulenie dwa dni temu.

– W porządku. Niech pani zwiększy dawkę do dziesięciu i sprawdzi wyniki za godzinę. Rano przekonamy się, czego dokonała dializa. Tymczasem przejrę jej prześwietlenia.

Hesch wyszedł pośpiesznie, nie mówiąc już ani słowa, a Jayne wzięła mnie pod rękę i wyprowadziła na korytarz.

– Ma ciężką noc, Alex, ale jakoś z tego wyjdzie.

Patrzyłem na Nanę przez drzwi, na Zadie i specjalistę od oddychania, ciągle krzątających się koło niej. Ogarnęło mnie uczucie zupełnej bezradności, bo nie mogłem jej dać tego, czego potrzebowała, czegoś nawet tak prostego jak tlen. Zwłaszcza czegoś takiego.

– Słyszysz mnie, Alex? – Zdałem sobie sprawę, że Jayne nadal coś mówiła. – Do jutra rana nie dowiemy się niczego nowego. Ktoś zadzwoni do ciebie i wszystko ci powie około siódmej...

– Nie – powiedziałem. – Zostaję tu na noc.

Położyła mi dłoń na ramieniu.

– To naprawdę nie jest konieczne – dodała.

– Rozumiem.

Ale teraz już wcale nie chodziło o konieczność. Chodziło o to, na co mogłem albo nie mogłem mieć wpływu. Przez ostatnie dziesięć minut myślałem nie tylko o możliwości utraty Nany. Zastanawiałem się: A gdyby mnie tu nie było? Gdyby umarła i nikogo by przy niej wtedy nie było?

Pomyślałem, że nigdy bym sobie tego nie darował. Skoro więc zachodziła potrzeba powrotu na nocną zmianę przez jakiś czas, to nie miałem zamiaru się przed tym migać.

Jak mus, to mus – chciałem tam być dla Nany.

## Rozdział 94

Senator Marshall Yarrow wyciągał torbę z kijami do golfa ze swojego navigatora, kiedy zobaczył mnie i Sampsona idących przez parking Washington Golf and Country Club. Wyglądał tak, jakbym właśnie zrujnował mu idealny sobotni poranek. No wiecie państwo! Jaka pieprzona szkoda.

– Co wy tu, do jasnej cholery, robicie, panowie? – zapytał, gdy podeszliśmy do jego samochodu.

– Trzy umówione spotkania, trzykrotnie odwoływane – powiedziałem do niego. – Niech mnie pan nazwie szaleńcem, senatorze, ale moim zdaniem pan mnie unika. Unikał pan, w każdym razie.

– A to kto? – Obrzucił Johna spojrzeniem, bardziej na górze niż na dole, biorąc pod uwagę wzrost Sampsona.

– To mój partner, detektyw Sampson. Może pan udawać, że go tu nie ma. Pasuje jak ulał, prawda? Obaj pasujemy. Może jako chłopcy do noszenia kijów golfowych.

Yarrow prychnął na mnie i kiwnął na kogoś czekającego pod zadaszeniem wejścia do klubu.

– Mike, zobaczę się z tobą w środku. Zamów dla mnie espresso, dobrze?

Dopiero po fakcie zdałem sobie sprawę, że tym mężczyzną był Michael Hart, senator z Karoliny Północnej, demokratą w odróżnieniu od Yarrowa, który był republikaninem.

– Może wolałby pan porozmawiać z nami w naszym samochodzie? – zapytałem. – Albo w pańskim?

– Czy wyglądam na człowieka, który chciałby wsiadać z panem do samochodu, detektywie Cross?

Zaskoczyło mnie, że pamiętał moje nazwisko.

Zniknął nam z oczu, bo wszedł między swojego SUV-a i drugiego giganta zaparkowanego obok, nowiusieńskiego hummera H3T. Biorąc pod uwagę, że wpisowe do tego klubu wynosiło trzysta tysięcy dolarów, domyśliłem się, że nikt z członków nie przejmował się cenami paliwa.

– Nie zajmę panu dużo czasu, senatorze – powiedziałem. – Zaczyna nam brakować tropów i pomyślałem, że pan chciałby o tym wiedzieć. Jedyne, co przychodzi mi do głowy

jako następne posunięcie, to opublikowanie nagrań z klubu Tony'ego Nicholsona.

Yarrow zerknął na Sampsona. Myślę, że zastanawiał się, czy obaj widzieliśmy go w akcji, czy tylko ja. Zaciśnął mocno ręce na pokrowcu główki kija wystającego z torby.

– Chyba że może pan wskazać jakiś inny znaczący kierunek, którym moglibyśmy ruszyć...

– Dlaczego miałbym to robić? – zapytał nadal opanowany.

– Mam takie przeczucie. Coś w związku z tymi trzema odwołanymi spotkaniami.

Zrobił głęboki wdech i przesunął dłonią po zaroście na brodzie, niegolonym w czasie weekendu.

– Cóż, musiałby się temu wszystkiemu przyjrzeć mój prawnik.

– To prawdopodobnie bardzo dobry pomysł – powiedziałem. – Ale jak pan dobrze wie, dla nas to robocza sobota. Musimy dzisiaj zrobić to i owo.

Niemal żałowałem Yarrowa, bo wyglądał na bardzo skrepowanego. Skończyły się dobre rozwiązania i on o tym wiedział. Kiedy dopisuje mi szczęście, taka sytuacja sprawia, że ludzie od razu mówią prawdę.

– Spytam czysto teoretycznie – rzekł. – Co możecie mi zaproponować w ramach nietykalności?

– W tej chwili nic. To jest w gestii prokuratora okręgowego.

– Racja, przecież wy nigdy nie kombinujecie po cichu, prawda?

– Oto, co mogę panu zaproponować – odezwałem się. – Pan nam powie, co pan wie, a potem, kiedy Secret Service zacznie pana szukać, a na pewno tak będzie, nikt nie piśnie słowem o utrudnianiu śledztwa i spiskowaniu, żeby zatuszować serię morderstw.

Mogłem się jedynie domyślać, jak bardzo Yarrow nienawidził mnie w tej chwili. Nie odrywając ode mnie wzroku, zapytał:

– Niech mi pan coś zdradzi, detektywie Sampson. Czy uważa pan swojego partnera za mściwego człowieka?

Sampson położył wielką rękę na dachu samochodu Yarrowa.

– Mściwy? Nie, to nie Alex. Powiedziałbym, że jest raczej realistą. Może warto, by wziął pan taką postawę pod uwagę, oceniając obecną sytuację.

W pierwszej chwili miałem wrażenie, że senator Yarrow odejdzie albo może się wkurzy i skorzysta z jednego z kijów. Zamiast tego jednak sięgnął do kieszeni, a drzwiczki lincolna otworzyły się po krótkim bipnięciu.

– Wsiadajcie do wozu.

## Rozdział 95

Skórzana tapicerka wnętrza samochodu Yarrowa pachniała kawą i papierosami. Osobiście brałbym go raczej za palacza cygar.

– Wyjaśnijmy sobie od razu kilka rzeczy – odezwałem się pierwszy. – Był pan klientem tego klubu i to płacącym, tak czy nie?

– Następne pytanie.

– Wiedział pan, że dziewczyny powiązane z tym klubem umierały.

– Nie. To nieprawda – odpowiedział. – Zacząłem podejrzewać, że coś tam jest nie tak, tuż przed całym tym zamieszaniem.

– Co pan zamierzał zrobić z tą wiedzą? Z pańskimi podejrzeniami.

Yarrow obrócił się powoli i skierował palec w kierunku mojej twarzy.

– Niech mnie pan nie przesłuchuje, Cross. Jestem, do cholery, amerykańskim senatorem, a nie jakimś bezwartościowym łobuzem z południowo-zachodniego Waszyngtonu.

– Uważam dokładnie tak samo, panie Yarrow. Jest pan amerykańskim senatorem i należy się po panu spodziewać, że ma pan sumienie. A teraz ma pan coś dla nas czy nie?

Odczekał na tyle długo, że wystarczyło mu czasu na wyciągnięcie ze schowka paczki czerwonych marlboro. Zauważyłem, że złota senatorska zapalniczka drżała, gdy się nią posłużył.

Po kilku solidnych zaciągnięciach się Yarrow znowu zaczął mówić, wpatrywał się przy tym w przednią szybę.

– Powinniście sprawdzić jednego faceta. Nazywa się... Remy Williams. Moim zdaniem siedzi w tym po uszy.

– Kto to? – zapytałem.

– To w rzeczy samej bardzo dobre pytanie. Sądzę, że służył kiedyś w Secret Service.

Dwa ostatnie słowa błysnęły mi w głowie niczym rzymskie ognie.

– Secret Service? W jakim wydziale?

– Służba ochrony.



– W Białym Domu?

Yarrow palił prawie nieprzerwanie, podczas gdy knykcie jego drugiej ręki pobielają od zacisku na kierownicy.

– Tak – odparł, wydychając dym. – W Białym Domu.

Sampson wpatrywał się we mnie ponad zagłówkiem, a ja byłem pewny, że obaj pomyśleliśmy o tym samym. Czy było to powiązanie z Białym Domem, o którym już słyszeliśmy? Albo taki zbieg okoliczności, który bardzo często skleja dochodzenia w całość?

Senator Yarrow mówił dalej bez żadnej zachęty z mojej strony.

– Słyszałem ostatnio, że Remy mieszka w jakiejś okropnej ruderze w okręgu Louisa, jak jeden z tych nawiedzonych, uprawiających sztukę przetrwania z jedną butelką wody, strzelbą i tak dalej. Takie coś w stylu *Wszystko za życie*.

– Co pana z nim łączy? – zapytał Sampson.

– Przede wszystkim to on właśnie powiedział mi o istnieniu tego klubu.

– To niezupełnie odpowiedź na jego pytanie – rzekłem. – Niech pan posłucha, senatorze, nic z tego nie jest nagrywane. Do tej pory w każdym razie.

Yarrow otworzył okno, urwał resztkę papierosa i wyrzucił na chodnik, a to, co zostało, włożył do popielniczki. Wyczuwałem, że znowu zaczął rozumieć, że mamy wspólny interes.

– To brat mojej byłej żony, w porządku? Nie widziałem bydlaka od ponad roku, ale to bez znaczenia. Chodzi o to, że moglibyście tam pojechać i zrobić w sobotę coś pożyteczniejszego niż nękanie urzędników państwowych.

## Rozdział 96

Do zachodnich krańców okręgu Louisa było niewiele ponad dwie godziny jazdy, a stamtąd do klubu Nicholsona wystarczała godzina drogi na południe. Te lokalizacje tworzyły trójkąt z miejscem na I-95, gdzie zatrzymano Johnny'ego Tucci z Filadelfii, który wiózł w bagażniku szczątki mojej bratanicy. Może wreszcie docieraliśmy do czegoś konkretnego z tym wszystkim.

Ponieważ Yarrow nie znał dokładnego położenia chaty, kilkakrotnie źle skręciliśmy, aż w końcu znaleźliśmy żwirową drogę odchodzącą od Route 33. Po kilku kilometrach jazdy przez las trasa kończyła się prowizoryczną blokadą z ułożonych w rzędzie skał. Najwyraźniej zostały przeniesione przez człowieka. Usunięcie ich nie zabrało nam dużo czasu.

Za tą przeszkodą znajdowała się polna droga z dwiema koleinami na koła, niknąca w zaroślach. Po kolejnych trzydziestu minutach wolnego posuwania się naprzód zobaczyliśmy miejsce nietknięte ludzką ręką. Najbliższym sąsiadem Remy'ego Williamsa była najwyraźniej wschodnia część Parku Stanowego Lake Anna.

Podjazd, taki jaki był, prowadził na tyły bardzo prostego parterowego budynku otoczonego ciasno jodłami. Z naszego miejsca wydawał się niewykończony, z dachem z ocynkowanej blachy, ale ze ścianami ze sklejki i folii dachowej.

– Bardzo gustownie – wymamrotał Sampson, a może warknął. – Unabomber ze wschodu czy co?

Chata była większa od słynnej szopy Teda Kaczynskiego, którą raz widziałem, lecz ogólnie robiła takie samo wrażenie: rezydencja szaleńca.

Znajdujące się od frontu dwa niewielkie okna pod zadaszoną werandą wyglądały na ciemne. Na podwórzu zmieściłoby się kilka samochodów, ale nie było śladu po żadnym pojeździe. Miejsce wydawało się kompletnie opustoszałe i jakaś część mnie żywiła nadzieję, że tak jest w rzeczywistości.

Dopiero kiedy zatoczyłem samochodem niemal pełny okrąg, spostrzegłem rękab do drewna z boku domu.

– Sampson?

– Widzę go.

Była to stara przemysłowa maszyna na dwóch kołach z zardzewiałym zaczepem holowniczym opartym na cegle z żużlobetonu. Większość farby dawno odlazła, na

obudowie zostało jedynie kilka impresjonistycznych plam, żółtych i zielonych, jak na maszynie od Johna Deere'a. Obok na ziemi leżała złożona niebieska plandeka, przyciśnięta dwugalonowym kanistrem na benzynę.

Zostawiłem pracujący silnik, a kiedy wysiedliśmy z wozu, wyciągnąłem glocka.

– Jest tu kto? – zawołałem bez przekonania.

Żadnej odpowiedzi. Słyszałem tylko wiatr, świergot kilku ptaków na drzewach i silnik na luźnym biegu.

Sampson i ja weszliśmy na werandę z przeciwnych stron, sprawdziliśmy najpierw okna, potem drzwi.

Gdy zajrzałem do środka, potrzebovałem kilku sekund, żeby oczy przywykły do mroku. Dopiero wtedy spostrzegłem mężczyznę siedzącego na krześle przy odległej ścianie. Było za ciemno, by zobaczyć szczegóły. Nie umiałem nawet powiedzieć, czy żył. Nie na pewno. Przynajmniej w tej chwili.

– O kurwa – wymamrotał Sampson.

I miał rację. Pomyślałem dokładnie to samo.

## Rozdział 97

Frontowe drzwi chaty nie miały zamka, jedynie kutą zasuwkę, i gdy je otworzyłem, uderzył nas zapach.

Była to znana kombinacja słodkiego smrodu gnicia, którą trudno z czymś pomylić i niemal nie można przez nią oddychać. Niczym owoc i mięso rozkładające się od wielu dni w tej samej beczce.

Miejsce okazało się prawie puste, z kilkoma jedynie meblami – metalowym łóżkiem polowym, kuchnią na drewno i długim stołem.

Jedynie krzesło było zajęte i najwyraźniej właśnie na nim umarł Remy Williams.

Wyglądem przypominał bohatera komiksu, szczeka zwisała mu nad częścią twarzy, która została odstrzelona. Nadal trzymał remingtona we wpół zaciśniętej lewej dłoni, z lufą skierowaną do dołu ku podłodze z sosnowych desek.

Druga ręka wisiała mu luźno z boku i można było pomyśleć, że miał coś napisane na przedramieniu. Napisane? Co takiego?

– Co jest, do cholery? – Sampson zakrył usta i nos ramieniem. Pochylił się, żeby lepiej to obejrzeć. – Och, nie, to nieprawda.

Kiedy poświeciłem na przedramię latarką, przekonałem się, że litery zostały wycięte, a nie napisane.

Sześciocalowy nóż myśliwski leżał na ziemi przy stopach Williamsa, miał takie same czerwonobrazowe plamy, jakie widniały na jego skórze. Litery dawało się łatwo odczytać:

**PRZEPRASZAM**

## Rozdział 98

Po znalezieniu przez nas Williamsa mnóstwo się działo, i to w szybkim tempie. Po kilku godzinach mieliśmy nową obsadę do starych ról na scenie – policjantów z Richmond z policji stanowej Wirginii i ekipę FBI z Charlottesville. Nikogo z nich nie znałem i może dobrze się składało, a może nie. Wkrótce miałem się o tym przekonać.

W skład ekipy zabezpieczania dowodów z FBI wchodzili poważnie wyglądający ludzie, zajmujący się serologią, analizą śladów, bronią palną, zdjęciami i daktyloskopią. Postawili namiot i rozłożyli papier pergaminowy na stołach zrobionych z blatów ze sklejki ustawionych na krzyżakach.

Grunt wokół rębaka do drewna został podzielony na ośmiocalowe kwadraty, którymi od razu się zajęli, skrupulatnie przesiewając jeden po drugim, oddzielając potencjalne dowody od ziemi i gruzu.

Sam rębak miał być rozebrany w laboratorium w Richmond, choć i tak agenci zajmujący się krwią znaleźli już na nim śladowe ilości surowicy. Przy dokładnym oglądaniu natrafili też na ostrzach na coś, co przypominało fragmenty kości.

Wszystko zostało starannie sfotografowane, udokumentowane i albo odłożone do wysuszenia, albo włożone do szarych kopert gotowych do transportu.

Szybciej działała ekipa przeszukująca las. Podpułkownik z policji stanowej wezwał dwie drużyny z psami i już w pierwszych godzinach psy wywęchały świeżo skopaną ziemię niespełna kilometr na południe od chaty.

Trochę ostrożnego kopania odsłoniło dwie plastikowe torby ze „szczątkami” leżące na głębokości około półtora metra. Każdy, kto tam był, wydawał się bardzo przygnębiony. Bo nikt nie jest gotów na przebywanie w takim miejscu zbrodni.

Nowe szczątki wyglądały dokładnie jak to, co zostało z Caroline, i wszyscy byli zgodni, że nie przebywały w ziemi dłużej niż trzy dni. Od razu pomyślałem o Tonym Nicholsonie i Marze Kelly, których nadal oficjalnie uznawano za zaginionych.

– Wszystko się zgadza, przynajmniej na papierze – powiedziałem do Sampsona. – Wystarczyło wyciągnąć ich z więzienia i sprawić, by przepadli raz na zawsze. My zaś mieliśmy myśleć, że uciekli z kraju.

– Potworny sposób zacierania śladów – odpowiedział Sampson. – Ale przyznaję, skuteczny.

Około pierwszej w nocy siedzieliśmy na brzegu werandy i patrzyliśmy, jak jeden z

agentów mocował przywieszki do tego, co zostało z niedawno zmarłych, a teraz było dowodami, zanim włożono szczątki do worków na ciała. John nie potrafił oderwać od tego oczu, ale ja widziałem już dość. Przygnębiała mnie wiedza, że sprawa mojej własnej bratanicy stawała się najohydniejszym śledztwem, jakie kiedykolwiek prowadziłem.

Niemniej fakt ten był też dla mnie źródłem motywacji. Po raz czwarty w ciągu czterech godzin zadzwoniłem pod numer Dana Cormoranta.

Tym razem agent Secret Service rzeczywiście odebrał.

– Gdzie wy się, do cholery, podziewacie, panowie? – zapytałem go. – Śledzi pan rozwój wydarzeń?

– Na pewno nie ogląda pan teraz telewizji – odpowiedział. – Wszystko wskazuje na to, że chyba każda stacja telewizyjna z wyjątkiem ESPN ma ekipę w tych lasach.

– Niech mnie pan posłucha, Cormorant. Remy Williams nie był Zeusem, podobnie jak Tony Nicholson czy Johnny Tucci. Williams może i jest mordercą zabijającym z zimną krwią, ale to nie jego szukamy.

– Zgadza się z panem – powiedział Cormorant. – A wie pan dlaczego? Bo przyszpiliśmy Zeusa. Właśnie w tej chwili. Jeśli chce pan brać udział w jakichś marginalnych wydarzeniach, niech pan zostanie, gdzie pan jest. Ale jeśli wolałby pan być tutaj, kiedy będziemy kończyli tę sprawę na dobre, radziłbym wziąć dupę w troki i wracać do miasta. Pronto, detektywie Cross. Ta sprawa jest bliska zamknięcia. Powinien pan tu przyjechać.

## Rozdział 99

Przyznaję ze smutkiem, że zanim dotarliśmy do Gmachu Eisenhowera po przeciwnej stronie Zachodniego Skrzydła, chodziłem wyłącznie na adrenalinie i kofeinie. Była prawie czwarta nad ranem, lecz w Centrum Operacji Połączonych wrzało jak w południe.

W sali odpraw panowało napięcie, oględnie mówiąc. Na jednym z tuzina płaskich ekranów zawieszonych na ścianie nadawano relację CNN pokazującą chatę Remy'ego Williamsa z lotu ptaka z podpisem: *Znaleziono martwego agenta Secret Service*.

W przedniej części sali pięćdziesięcioparoletni agent bez marynarki wrzeszczał coś do telefonu na tyle głośno, że wszyscy go słyszeli.

– Gównu mnie obchodzi, z kim musisz pogadać, on nie należy do Secret Service. A teraz zmień ten cholerny napis!

Już wcześniej zauważyłem kilka nowych osób, w tym Emmę Cornish, oficera łącznikowego policji metropolitalnej z oddziałem specjalnym Secret Service do zwalczania zbrodni, i Barry'ego Farmera, jednego z dwóch agentów Secret Service przydzielonych do wydziału zabójstw policji metropolitalnej. Można było pomyśleć, że obie służby nagle się połączyły, tu w tym miejscu, w środku nocy.

Na pokaz być może?

Tego nie byłem jeszcze w stanie ustalić.

Zebraliśmy się wszyscy wokół wielkiego owalnego stołu na pierwszą odprawę. Okazało się, że mężczyzna o potężnym głosie stojący z przodu to Silo Ridge, agent specjalny, który wszystkim dowodził. Nadawał tempo tej sprawie. Obok niego stał agent Cormorant.

– Rozdam państwu materiały – powiedział Ridge, podając w obie strony podzielony na pół stos papierów. – Poszukiwany nazywa się Constantine Bowie, znany też jako Connie Bowie lub Zeus. Większość z was już to wie, ale był agentem Secret Service od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego do dwa tysiące drugiego.

Nikt nawet nie drgnął poza mną i może Sampsonem. Miałem wrażenie, jakby roztoczono przed nami zupełnie nowy obraz tej całej sytuacji.

Podniosłem rękę.

– Alex Cross z policji metropolitalnej. Nadrabiam w tej chwili braki w wiedzy, ale co go łączy, jeśli w ogóle coś, z Remyem Williamsem? Poza tym, że obaj byli, zdaje się,

agentami.

– Cieszę się, że pan tu jest, detektywie Cross – powiedział Ridge. Kilka głów obróciło się w moją stronę. – Ta operacja jest skoncentrowana na byłym agencie Bowiem. Wszystko inne traktujemy tymczasem jako informacje posiłkowe.

– Pytam dlatego, że...

– Doceniamy udział policji metropolitalnej, jak zawsze zresztą. Sprawa jest bez wątplenia delikatnej natury, ale nie będziemy teraz tego rozgrzebywać. Idziemy dalej.

Uwierzyłem Ridge'owi na słowo, przynajmniej na razie. Tego mostu nie musiałem jeszcze przekraczać. Ani spalić.

Na ekranach pojawiły się dane Bowiego z 2002 roku. Dla mnie wyglądał jak milion innych agentów – biały, ze średniej klasy, o kwadratowej szczęce, szatyn z włosami zaczesanymi do tyłu. Brakowało mu jedynie ciemnych okularów.

– Bowie jest zamieszany w zabójstwo przynajmniej trzech kobiet – Ridge mówił dalej. – Wszystkie były znane jako pracownice tak zwanego klubu dla dżentelmenów w okręgu Culpeper. Te kobiety to Caroline Cross, Katherine Tennancour i Renata Cruz... – Na ekranach pokazywano zdjęcia z inwigilacji, które widziałem wcześniej. – A to jest Sally Anne Perry.

Puszczono wideo, a ja od razu rozpoznałem nagranie, które przekazałem Cormorantowi. Jak powiedział Ridge, Secret Service docenia udział policji metropolitalnej.

– Nie ma nic przyjemnego w oglądaniu tego materiału – ciągnął Ridge. – Ale powinniście państwo wiedzieć, kogo szukamy. Mężczyzna, który za moment wejdzie do sypialni, to Constantine Bowie. I dokona morderstwa.



## Rozdział 100

Wszyscy zachowywali zimną krew, jak na zawodowców przystało, podczas gdy nagranie leciało dalej, a agent Ridge je komentował.

– W tym miejscu trochę historii. Bowie został zwerbowany z policji w Filadelfii do Secret Service w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Niewiele można powiedzieć o następnych trzynastu latach jego służby, ale po jedenastym września zaczął nawalać w pracy. Potem w lutym dwa tysiące drugiego roku po nieuzasadnionym użyciu broni palnej, o którym opowiem rano ze szczegółami, Bowie został wydalony ze służby bez prawa do emerytury.

W tym miejscu Cormorant przejął relację i pokazał zdjęcie niczym niewyróżniającego się biurowca.

– W dwa tysiące piątym założył w Waszyngtonie agencję ochrony Galveston...

– Galveston? – ktoś zapytał.

– Tak nazywa się jego rodzinne miasto – wyjaśnił Cormorant. – Dzisiaj ma filie w Filadelfii i Dallas, jego majątek ocenia się na siedem milionów dolarów netto. Powiązania z Filadelfią niczego nie dowodzą, ale warto zwrócić uwagę, że przynajmniej kilka zleceń od mafijnej rodziny Martino poza Filadelfią stanowi część jego działalności.

Zanim Cormorant powiedział coś więcej, popatrzył na mnie.

– Możemy stwierdzić jeszcze jedno. Z rejestru rozmów telefonicznych wynika, że z komórki Bowiego dzwoniło dwa razy pod numer telefonu znalezione dzisiaj w chacie Remy'ego Williamsa. Jedną z tych rozmów przeprowadzano dwa miesiące temu, drugą przed czterema dniami.

– Gdzie Bowie jest teraz? – zapytał jeden z agentów.

– Z obserwacji wynika, że powinien być w domu, tak przedstawiał się stan rzeczy wczoraj o dwudziestej trzeciej. Sześciu agentów obserwuje jego dom.

– Jak szybko możemy wkroczyć do akcji? – spytał ktoś inny.

W pomieszczeniu wyczuwało się zniecierpliwienie. Moim zdaniem nikt nie palił się specjalnie do tej operacji, ale też wszyscy chcieli mieć to jak najszybciej za sobą.

Agent Ridge spojrział na zegarek.

– Rozpoczniemy ją w chwili, gdy będziecie gotowi – powiedział i wszyscy zaczęli się podnosić.

## Rozdział 101

Było upiornie cicho, gdy podjeżdżaliśmy do szeregu domów z cegły o płaskich dachach przy Winfield Lane w północno-zachodniej części miasta. Para tenisistów grała na korcie w parku Georgetown po drugiej stronie ulicy, gdzie murawa była nadal mokra. Pomyślałem, że gdyby Nana nie leżała w szpitalu, wstawałaby teraz i szykowała się do kościoła.

Czterech ludzi z brygady antyterrorystycznej ustawiło się na tyłach, oba końce przecznicy blokowały wozy policji metropolitalnej, a karetki pogotowia czekały w gotowości. Reszta z nas pojawiła się na ulicy o kilka domów dalej od posesji Bowiego, gdzie parkował właśnie pojedynczy biały van.

Na znak dany przez Ridge'a grupa szturmowa złożona z pięciu w pełni uzbrojonych mężczyzn w hełmach i kamizelkach kuloodpornych wymknęła się z vana i zakradła szeregiem na frontowe schody prowadzące do domu Bowiego. Wyważyli drzwi i zniknęli w środku.

Potem nastąpiło dziesięć długich minut, w czasie których pośpiesznie, asekurując się wzajemnie, przeszukiwali dom, sprawdzając jedno pomieszczenie po drugim. Ridge miał opuszczoną głowę, ręką dociskał słuchawkę wetkniętą do ucha, podczas gdy dowódca SWAT relacjonował mu szeptem przebieg operacji. Ridge uniósł do góry palec, dając do zrozumienia, że są na pierwszym piętrze, a kilka minut później dwa palce. I wtedy nagle się wyprostował. Usłyszałem krzyki dochodzące z domu.

– Mają go! – powiedział Ridge, ale zaraz dodał: – Czekajcie.

Nastąpiła szybka wymiana zdań, Ridge mówił na tyle głośno, że wszyscy go słyszeli.

– Tak? Słyszę cię. Nie wycofujcie się. – W końcu oznajmił: – W porządku, dajcie mi chwilę. – Obrócił się do nas.

– Mamy w środku sytuację patową – stwierdził. – Bowie jest uzbrojony i nie ma zamiaru się poddać. Mówi, że nie będzie rozmawiał z Secret Service.

Nie musiałem się nad tym zastanawiać.

– Ja z nim pogadam – zaproponowałem.

Ridge uniósł do góry palec i przybliżył do ust mikrofon w mankiecie.

– Peters, daj mu radiotelefon...

– Nie – odezwałem się. – Chcę z nim rozmawiać twarzą w twarz. On widzi teraz tylko pięciu uzbrojonych funkcjonariuszy. Nie jesteśmy tu dla ozdoby, Ridge. Sprowadził nas pan tutaj z jakiegoś powodu i teraz wiemy po co.

Nastąpiła kolejna, całkiem długa wymiana zdań między Ridge'em, antyterrorystami i Constantine'em Bowiem. W końcu osiągnięto porozumienie. Bowie zgodził się, żeby sprawdzili, czy nie ma nikogo w innych pomieszczeniach, a potem mogłem wejść. Ni stąd, ni zowąd ktoś podał mi kamizelkę kuloodporną, a Ridge szybko mnie instruował.

– Przez cały czas musi pan mieć SWAT między sobą a Bowiem. Niech pan spróbuje przekonać go, żeby się poddał; jeśli się to panu nie uda, wyjdzie pan stamtąd. I niech pan tego nie przeciąga. – Ponownie zerknął na zegarek. – Piętnaście minut. Ani minuty dłużej. Potem sam pana stamtąd wyciągnę.

## Rozdział 102

Psycholog kryminalistyczny we mnie pracował po godzinach, gdy wchodziłem sam do domu Bowiego. Miejsce okazało się przestronne i ładnie urządzone w środku. Duża gotówka poszła na wczesnoamerykańskie antyki i sztukę. Panował tu też wyjątkowy porządek, nie poniewierały się żadne magazyny ani gazety, w zasięgu wzroku nie dostrzegłem żadnych rupieci. Oceniłem, że w tym domu wszystko było pod ścisłą kontrolą. Czy tu właśnie mieszkał Zeus? Czy tutaj również mordował?

Główna sypialnia znajdowała się przy schodach na drugim piętrze.

Dwóch agentów SWAT skinęło mi głowami, gdy wszedłem na górę, ale nie odezwali się słowem. Widziałem też dwóch z trzech, którzy byli w sypialni, pilnując Bowiego z różnych miejsc za pomocą MP5. Zawołałem:.

– Bowie, nazywam się Alex Cross. Jestem z policji metropolitalnej i wejść, dobrze?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległ się głos pełen napięcia.

– Wchodź. I pokaż mi odznakę.

Siedział płasko na podłodze ubrany jedynie w bokserki i bardzo się pocił. Ogromne łóżko było bez wątpienia używane, otwarta szuflada wystawała z szafki nocnej.

Umieścił się w rogu pod oknem między łóżkiem a jedną z dwóch szaf. Ramiona trzymał wyciągnięte przed siebie i celował z SIG sauera .357 w najbliższego funkcjonariusza.

Zauważyłem jeszcze, że miał na prawym ręku sygnet – złoty z czerwonym kamieniem, taki sam jak na wideo, które do tej pory wszyscy zdążyliśmy obejrzeć. Kurde, za bardzo to wszystko ułatwiał. Dlaczego? Czy był Zeusem?

Trzymałem przed sobą ręce i pokazywałem odznakę, ale doszedłem tylko do drzwi. Wszyscy pozostali trwali w bezruchu niczym posągi.

– Ładny dom – powiedziałem od razu. – Jak długo pan tu mieszka?

– Co? – Bowie zerknął na mnie przez pół sekundy i szybko przeniósł wzrok z powrotem na cel.

– Zastanawiałem się, jak długo pan tu mieszka. To wszystko. Takie przełamywanie lodów.

Prychnął.

– Sprawdza pan, czy jestem zdrowy psychicznie?

– Dokładnie.

– Mieszkam tu od dwóch lat. Prezydentem Stanów Zjednoczonych jest Margaret Vance. Siedem razy osiem to pięćdziesiąt sześć. Wystarczy?

– Przypuszczam zatem, że rozumie pan powagę tego, co pan w tej chwili robi – zwróciłem się do niego.

– I tu się pan myli – odpowiedział. – Nie mam, kurwa, zielonego pojęcia, co się tu dzieje.

– No to panu powiem. W każdym razie spróbuję. Technicznie rzecz biorąc, jest pan aresztowany za zamordowanie Sally Anne Perry.

W jego oczach, które pozostały nieruchome, błysnęła złość.

– W dupie to mam! Latają za mną ze spluwami, od kiedy się wychyliłem.

– Kto?

– Agenci Service. Federalni. Z tego, co wiem, to i pieprzona prezydent Vance.

Nabrałem powietrza i nic nie powiedziałem w nadziei, że on zrobi to samo.

– Daje mi pan różne sygnały, Bowie – odezwałem się w końcu. – W jednej chwili wydaje się pan trzeźwo myśleć, a w następnej...

– Tak, cóż, moja paranoja nie oznacza jednak, że oni nie próbują mnie dorwać, prawda?

Dziwnym trafem nie mogłem z tym polemizować, więc podążałem dalej.

– Może mi pan powie, co chce pan usłyszeć, zanim opuści pan broń?

Wskazał brodą agenta stojącego najbliżej niego.

– Najpierw oni odłożą swoją.

– Niech pan da spokój, Constantine. Do takiej sytuacji nie dojdzie i dobrze pan o tym wie. Proszę ze mną współpracować. Jeżeli naprawdę jest pan niewinny, to ja jestem po pana stronie. Skąd ma pan ten sygnet?

– Skończ to wypytywanie. Po prostu skończ.

– W porządku.

Ramiona miał dobrze umięśnione, ale co najmniej po dwudziestu minutach trzymania ich w powietrzu zaczynały się trząść. I rzeczywiście, poruszył się, żeby zmienić pozycję, uklęknął na jednym kolanie i położył na nim rękę z bronią.

– Bowie, ja...

Rozległ się cichy brzęk szkła. I to wszystko. Jedna z niewielkich szyb za nim

rozprysnęła się na kawałki, a Bowie runął twarzą naprzód na dywan. Z tyłu głowy miał małą ciemną dziurę.

Nie wierzyłem własnym oczom. Antyterrorysty natychmiast przystąpili do działania. Ktoś odciągnął mnie do tyłu na korytarz, podczas gdy reszta skupiła się nad Bowiem.

– Jeden pocisk wystrzelony, cel zdjęty! Lekarz potrzebny tu na górze jak najszybciej!

Kilka sekund później wepchnąłem się z powrotem do pokoju. Trząśłem się z wściekłości. Dlaczego do niego strzelili? Dlaczego teraz? Skłoniłem go do mówienia. Bowie leżał płasko na podłodze, ramiona miał rozrzucone na boki. Przez zbite okno zobaczyłem kolejnego agenta stojącego z karabinem na dachu domu naprzeciwko.

– Zatrzymaj lekarza – powiedział dowódca. – Spotkamy się na dole i pogadamy o tym.

I wtedy dwóch z nich wyprowadziło mnie przez drzwi i w dół po schodach. Byli bardzo pewni tego, co robią. Moja przydatność w tym miejscu najwyraźniej się skończyła.

Kiedy znaleźliśmy się na frontowej werandzie, czekała tam już ekipa medyczna. Protokół wymagał wezwania lekarza, ale w tej sytuacji nic tu było po nich. I tyle. Widziałem wystarczająco dużo, by wiedzieć, że Constantine był martwy, bo miał być martwy.

Ja zaś robiłem jedynie za przynętę w tym cholernym zajściu. Oni od początku chcieli go zabić.

Kimkolwiek byli ci oni.

## Rozdział 103

Wszystko to poszło zbyt gładko, było za łatwe, co jednak nie znaczyło, że Constantine Bowie nie był mordercą, prawda? Następne kilka dni zajmowała mi robota papierkowa, całe jej mnóstwo. Wątpię, by większość ludzi miała pojęcie, jak wiele potrzeba atramentu, żeby zawrzeć w aktach sprawę morderstwa, zwłaszcza o takiej wadze.

Nawet wtedy, gdy FBI i Secret Service zgodnie dowodzą, że sprawiedliwości stało się zadość.

Teraz miały nastąpić niekończące się narady, a potem publiczne przesłuchania. Obiecano zresztą pełne dochodzenie w Kongresie, poza tym snuto niczym niepotwierdzone spekulacje na Kapitolu i w mediach. Cały kraj gadał: o liście klientów Tony'ego Nicholsona, o udziale Secret Service, a nawet o tym, kto jeszcze mógł być ofiarą zbrodni Bowiego.

Kiedy skończyłem z papierami, postanowiłem wziąć wolne na resztę tygodnia. Wyszedłem z pracy dość późno w środę i od razu skierowałem się do szpitala. Ostatnio Nana wyglądała na znacznie spokojniejszą, jak anioł, co było miłe, ale też trudno przychodziło się z tym pogodzić. Czuwałem przy niej prawie całą noc i po prostu na nią patrzyłem.

Potem, w czwartek rano, zmieniła mnie ciotka Tia, a mnie udało się nawet zaskoczyć Bree nadal leżącą w łóżku, gdy w końcu dotarłem do domu. Kiedy przytuliłem się do niej, zaczęła się wiercić.

– Rób, co chcesz – wyszeptała cicho. – Tylko mnie nie budź.

Chwilę później roześmiała się, obróciła i pocałowała mnie na dzień dobry. Nogi i stopy mieliśmy splecione pod kołdrą.

– Dobrze, w takim razie rób ze mną, co chcesz – powiedziała.

– To miłe. Pamiętasz o tym? – odparłem.

Skinęła głową, przyciskając czoło do mojego czoła, a ja pomyślałem, że może już nigdy nie będę musiał być nigdzie indziej, tylko tutaj. Nigdy więcej.

Wtedy otworzyły się drzwi sypialni. Oczywiście, jakże mogło być inaczej.

– Jesteś w domu, tato? – Ali wystawił głowę zza rogu i wskoczył na łóżko, zanim zdążyliśmy powiedzieć mu, żeby sobie poszedł.

– Mały człowieczku, ile razy powtarzałem ci, że masz najpierw pukać? – zapytałem

go.

– Chyba z milion – odpowiedział, roześmiał się i wcisnął między nas bezpardonowo.

Jannie nie chciała być gorsza i zjawiała się chwilę potem. Zaczęli trajkotać do nas, jakby nie było dopiero wpół do siódmej rano. Mimo wszystko jednak takie ponowne bycie razem sprawiało frajdę.

O siódmej smażyłem już porcje bekonu, jajka i robiłem kanapki z pomidorem, podczas gdy Bree zajęła się parzeniem kawy i nalewaniem soku pomarańczowego. Jannie i Ali przerzucali poranną gazetę w poszukiwaniu mojego nazwiska, a ja puściłem nawet kawałek Gershwina w living roomie. Nie byłem w sypialni z Bree, ale tu też nie było tak źle.

Gdy zdejmowałem z patelni moje śniadaniowe dokonania, telefon zadzwonił na górze na tyle głośno, że słycać go było przez muzykę.

Wszyscy zamarli i spojrzeli na mnie stojącego z zatłuszczoną szpatułką w ręku.

– Co? – powiedziałem, robiąc duże oczy niewiniątka. – Nic nie słyszę.

Zyskałem tym chór wiwatów przy stole i nawet lekkie klepnięcie w zadek przez Bree.

Ktokolwiek to był, miał tyle wyczucia, by nie dzwonić ponownie.



## Rozdział 104

Kilka godzin później wróciliśmy z Bree po odprowadzeniu dzieci do szkoły i zrobieniu sprawunków w aptece i spożywczym.

– Na górę – powiedziałem do niej, zanim jeszcze drzwi frontowe się za nami zamknęły. – Ty i ja mamy niedokończoną sprawę do załatwienia.

Wzięła ode mnie torbę z zakupami i pocałowała mnie.

– Zaraz tam przyjdę. Nie zaczynaj beze mnie.

Byłem w połowie schodów, kiedy Bree zawołała mnie z kuchni.

– Alex! – W jej głosie było napięcie. O co chodziło tym razem? – Mamy towarzystwo.

Gdy zszedłem na dół, stała przy okienku do podawania posiłków na werandę i wyglądała przez nie.

– Zgadnij, kto tam jest? – odezwała się.

Podszedłem do niej i zobaczyłem Neda Mahoneya siedzącego na podwórzu i stukającego palcami w piknikowy stół.

– Szlag by to trafił – powiedziałem.

Został, gdzie był, kiedy wyszedłem na werandę, a potem zszedłem na podwórze, żeby sprawdzić, o co chodziło.

– Czy to ty wcześniej dzwoniłeś? – zapytałem. Ned skinął głową i zanim dodał choć jedno słowo, uświadomiłem sobie, że sprawa nie została jeszcze zakończona. – Wejdiesz do środka?

– Pogadajmy tutaj – odparł.

Wpadłem na chwilę do domu, złapałem kurtkę, wziąłem dwa kubki z kawą i wróciłem do stołu piknikowego.

Gdy siadałem, Ned pochłaniał kawę dużymi łykami. Wyglądał na wykończonego. Cała jego wylewność najwyraźniej przepadła albo przynajmniej bardzo przygasła.

– Dobrze się czujesz? – spytałem go.

– Jestem jedynie trochę przemęczony – odpowiedział. – Nie odpuściłem tej sprawy, Alex. Wykorzystałem wszystkie wolne dni, cały urlop. Kathy jest gotowa mnie zabić.

Skinąłem głową.

– To tak jak Bree. A ona ma broń.

– Mimo wszystko opłaciło się. Chłopie, jak nigdy. Chciałbym, żebyś się z kimś spotkał. Nazywa się Aubrey Lee Johnson. Mieszka w Alabamie, ale zajmuje się kołowrotkami do wędek, dlatego często przyjeżdża do Wirginii.

Ned wysączył resztę kawy, a ja przesunąłem swój kubek na jego stronę stołu. Powoli wracała mu dawna werwa.

– Ten facet zna pewną historię i uważa, że jest ważna. I wiesz, co Alex? Jest ważna.

## Rozdział 105

Nie było takiej możliwości, żeby Mahoney dostał delegację na ten wyjazd. Nawet gdyby to była jego sprawa, a nie była, FBI oszczędza dolary podatników i nakazuje agentom korzystać z pomocy lokalnych biur, gdy chodzi o przesłuchania poza stanem. Ned już wcześniej komunikował się kilkakrotnie elektronicznie z biurem w Mobile, stanęło jednak na tym, że postanowiliśmy polecieć do Alabamy za własne fundusze.

Na lotnisko w Mobile przylecieliśmy późnym rankiem następnego dnia i wynajęliśmy tam samochód.

Aubrey Johnson mieszkał na Dauphin Island, około godziny jazdy na południe. Była to mała senna miejscina, przynajmniej o tej porze roku, i bez żadnego problemu znaleźliśmy jego sklep – Sprzęt Wędkarski Big Daddy's przy Cadillac Avenue.

– Dlatego tu jesteśmy? Z powodu sklepu ze sprzętem wędkarskim? – zapytałem Neda.

– Choć może wydaje się to dziwne, tak jest w rzeczywistości. Końcowy przystanek. Właśnie tutaj całą konspirację diabli wzięli. To znaczy, jeśli dopisało nam szczęście.

– No to dajmy mu chociaż szansę.

Johnson okazał się wysokim, towarzyskim facetem po pięćdziesiątce. Wprowadził nas do środka niczym parę starych przyjaciół, zanim zamknął za nami drzwi na dwa zamki.

Ned zdążył go już wypytać przez telefon, ale Johnson powtórzył mi całą historię raz jeszcze – o tym, jak jechał późną nocą Route 33 w Wirginii mniej więcej miesiąc wcześniej, gdy piękna dziewczyna w negliżu wytoczyła się z lasu prosto pod koła jego wozu.

– Prawdę mówiąc, pomyślałem wtedy, że los mi sprzyja – opowiadał. – Aż zobaczyłem, w jakim fatalnym była stanie. Minimalnie większy kaliber i kulka, która trafiła ją w plecy, położyłaby ją trupem.

Mimo to dziewczyna błagała go, żeby jechał, przynajmniej dopóki nie miną granicy stanu. Ostatecznie dowiózł ją do szpitala na obrzeżach Winston-Salem.

– I nie chciała tam zostać z obawy, że może się zjawić jakiś gliniarz – mówił dalej. – Powiedziała mi, że odejdzie stamtąd na piechotę albo ją zabiorę ze sobą, więc ją zabrałem. Prawdopodobnie nie powinienem, ale co się stało, to się nie odstanie. Od tamtej pory opiekujemy się nią z żoną.

– Ma na imię Annie? – zapytałem.

– Wszystko w swoim czasie – powiedział Johnson.

– Dlaczego się zgłosiła akurat wtedy? – zapytałem ich. Wszystko, co wiedziałem, ograniczało się do tego, że pan Johnson i Mahoney nawiązali kontakt, zanim Constantine Bowie i Zeus pojawili się w nagłówkach gazet.

– To trochę skomplikowane – odpowiedział. – Nadal nie opowiedziała nam wszystkiego. Nie znamy nawet jej prawdziwego imienia. Nazywamy ją Annie, bo tak jest prościej. Kiedy próbowałem trochę wybadać grunt, miałem niewiele do powiedzenia i myślę, że ludzie nie traktowali mnie poważnie. Przynajmniej do czasu, kiedy oddzwonił do mnie agent Mahoney. Szedł tropem mojego telefonu do terenowego oddziału FBI w Mobile.

– A gdzie ona teraz jest, Aubrey? – zapytał Ned.

– Niedaleko. – Johnson wziął pęk kluczy z kontuaru. – Niech mówi sama za siebie, ale jedno wam powiem. Facet, którego w wiadomościach nazywają Zeusem? Ona twierdzi, że macie niewłaściwego człowieka. Ona nie jest Annie, a on nie jest Zeusem.

## Rozdział 106

Johnson zawiózł nas pick-upem z powrotem przez miasteczko niemal do samego mostu łączącego wyspę ze stałym lądem.

Potem skręcił i zaparkował przy przystani jachtowej Dauphin Island. Mniej niż połowa miejsc do cumowania była zajęta, a biuro i budka z przekąskami na nabrzeżu wyglądały na zamknięte, bo było po sezonie.

Poszliśmy za nim jednym z trzech długich nabrzeży do sportowej łodzi rybackiej o nazwie „May”. Przysadzista kobieta, prawdopodobnie pani Johnson, czekała na pokładzie. Przyglądała się nam o wiele bardziej sceptycznie niż jej mąż.

– To oni? – zapytała.

– Wiesz, że tak, May. Chodźmy.

Nie poruszyła się.

– Ta dziewczyna przeszła prawdziwe piekło, rozumiecie mnie? Musicie postępować z nią delikatnie.

Nie miałem nic przeciwko takiemu rozwiązaniu, właściwie byłem jej wdzięczny za tę radę. Zapewniliśmy panią Johnson, że będziemy się dobrze obchodzić z dziewczyną, a potem poszliśmy za nią do kajuty pod pokładem.

„Annie” siedziała w zakolu kajuty na wyściełanej ławie przy stole i wyglądała na zdenerwowaną i wymizerowaną. Mimo to była bezsprzecznie piękną dziewczyną o rysach jak u porcelanowej lalki, a takie Tony Nicholson najbardziej lubił w Blacksmith Farms. Spodnie wory i luźna różowa bluza albo były pożyczone, albo kupione na wyprzedaży w tanim sklepie. Prawe ramię miała na temblaku z szarego płótna. Garbiła się, a ja spostrzegłem, że przy ruchu nadal trochę bolało ją miejsce, gdzie została postrzelona.

Mahoney zaczął bez żadnego wstępu od pytania, czy poda nam swoje nazwisko.

– Nazywam się Hannah – powiedziała początkowo bardzo niepewnie. – Hannah Willis. Czy moglibyście mi jakoś z tym pomóc? Ze staniem się kimś innym? Program ochrony świadków czy cokolwiek to teraz jest.

Ned wyjaśnił, że biuro prokuratora generalnego zdecyduje, czy w ogóle będą potrzebne jej zeznania, ale jeśli tak, to owszem, idealnie spełniała warunki do objęcia programem ochrony świadków. Zapewnił ją też, że tymczasem nie będziemy nagrywać niczego, co chce nam powiedzieć.

– Zaczniemy od tego, co się pani przydarzyło – poprosiłem. – Od nocy, kiedy Aubrey wziął panią do pick-upa.

Pokiwała wolno głową, mobilizując pamięć albo wolę do podzielenia się z nami tym, co wiedziała. May Johnson siedziała obok niej i cały czas trzymała ją za rękę.

– Miał to być rodzaj prywatnej imprezy w Blacksmith – powiedziała Hannah. – Niczego nie wiedzieliśmy poza pseudonimem klienta. Zeus. Myślicie panowie, że miał o sobie wygórowane mniemanie? Imię boga jako pseudonim?

– Czy ta impreza odbywała się w apartamencie w wozowni? – zapytałem.

– Dokładnie. – Wydawała się zaskoczona tym, że wiedziałem. – Przedtem nigdy tam nie byłam. Oznaczało to jednak lepsze pieniądze.

– Użyła pani liczby mnogiej – wtrącił się Ned. – Ile z was było tam z Zeusem?

– Tylko ja i jeszcze jedna dziewczyna, Nicole – odparła. – Chociaż nie przypuszczam, żeby to było jej prawdziwe imię.

I nie był to także pierwszy raz, kiedy usłyszałem je w podobnej rozmowie. Czuję, jak serce zaczyna mi walić, gdy sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem zdjęcie Caroline, które nosiłem przy sobie od początku tej paskudnej, przerażającej afery.

– Czy to ona, Hannah? – spytałem.

Skinęła głową. Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach.

– Tak, proszę pana. To dziewczyna, która umarła. To jest Nicole.

## Rozdział 107

Słuchałem uważnie, odfiltrowując wściekłość od informacji, które Hannah przekazywała nam o morderstwie Caroline i jej własnej straszliwej gehennie, jaką przeszła w Blacksmith Farms.

Opisała, jak Zeus przykuł je obie kajdankami do łóżka, a potem posługiwał się pięściami i zębami, bardziej skupiając się na Caroline niż na niej z powodów, których nie potrafiła wyjaśnić nawet teraz. Doszedłszy do momentu, kiedy zgwałcił obie kobiety, powiedziała: – Nicole była praktycznie nieprzytomna, prześcieradło na łóżku było śliskie od krwi.

Wyszedł wkrótce potem, a Hannah łudziła się nadzieją, że najgorsze ma już za sobą, aż do chwili, gdy przyszło dwóch mężczyzn, by je zabrać. Jeden był wysokim blondynem, drugi krępy, w typie Hiszpana. To wtedy zrozumiała, co ją czeka – biorąc pod uwagę to, do czego doszło z Zeusem, biorąc pod uwagę, co Caroline i ona o nim wiedziały.

– Pracowali bardzo sprawnie jakby robili to już wcześniej. Sprzątali po nim bałagan – mówiła Hannah. – Nadal mam ich przed oczami. I wyraz znudzenia na ich twarzach.

Obie dziewczyny zostały zniesione na dół i zapakowane do bagażnika samochodu. Hannah opowiadała o tym, jak trzymała Caroline za rękę w ciemności i usiłowała podtrzymać z nią rozmowę, jak długo się dało. W końcu jednak Caroline przestała odpowiadać. Kiedy dojechały tam, gdzie miały dojechać, Caroline już nie żyła.

Znajdowali się w lesie, w jakiejś chacie. Był tam trzeci mężczyzna, który zdawał się przejmować obowiązki od dwóch pozostałych. Jedyne źródłem światła była lampa naftowa. Przysunął ją do twarzy Hannah i oglądał ją, jakby była poławem mięsa. Potem postawił lampę na ziemi, żeby przyjrzeć się bliżej Caroline, jakby się upewniał, że nie żyła.

Właśnie wtedy Hannah postanowiła, że nie ma nic do stracenia, bo już wiedziała, że ją też zabiją. Kopnęła lampę i uciekła do lasu.

Trzej mężczyźni ruszyli rzecz jasna za nią, strzelali, trafili ją w plecy. Jakimś cudem udało się jej biec dalej. O tym, co działo się od tamtej chwili, miała tylko niejasne pojęcie aż do momentu, gdy dotarła do drogi i zobaczyła zbliżające się światła pick-upa Aubreya Johnsona.

Wszystko w jej opowieści układało się w całość z tym, co już wiedziałem – ślady po ugryzieniach na szczątkach Caroline, chata w lesie, opis dwóch mężczyzn w samochodzie. Niemniej jedno pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

To pytanie.

– Kim on był, Hannah? Kim był Zeus? Jak się dowiedziałaś, kto to był?

– Wiedzialiśmy, bo pokazał nam twarz. Zdjął swoją przerażającą maskę i powiedział, że to bez znaczenia, jeśli Caroline i ja go zobaczymy.

– Hannah – ponownie zwróciłem się do niej. – Kim on jest? Kim jest Zeus?

Mimo że tyle wiedziałem o tej sprawie Jej odpowiedź zwała mnie na podłogę.



## Rozdział 108

Główne foyer Centrum Kennedy'ego było oświetlone niczym wystawa sklepu Macy's przed Bożym Narodzeniem, bo odbywało się tam coroczne wręczenie nagród i bankiet. Odznaczenia przyznano pięciorgu ludziom z przemysłu rozrywkowego, najlepszym i najwspanialszym tego wieczoru. Można było pomyśleć, że połowa Los Angeles tam przybyła i ocierała się teraz łokciami z połową Waszyngtonu. W stolicy żaden wieczór nie mógł się z tym równać. Żaden wieczór nie gromadził tylu gwiazd.

Dla Teddy'ego był to zdecydowanie dzień świętowania. Wystarczyło zapytać kogokolwiek ze śmietanki towarzyskiej o nagłówki gazet z tego tygodnia, a dziewięć osób na dziesięć odpowiedziałyby to samo. Zeus nie żył. Bardzo zły człowiek, który dokonał straszliwych rzeczy, zapłacił najwyższą cenę za swoje występki. Historia nie odbiegała od klasyki.

I jak w każdej porządnej bajce było to kłamstwo bardzo luźno powiązane z prawdą. W rzeczywistości Zeus znajdował się między nimi, rozkoszował się homarem i szampanem jak wszyscy pozostali. No może niezupełnie jak wszyscy pozostali. Teddy należał do świata, gdzie na co dzień nawet elita władzy całowała go po tyłku, a ludzie słono płacili, żeby jedynie znaleźć się w tym samym pomieszczeniu co on. Jeśli nie był to przywilej, jaki warto zachować, to on nie miał pojęcia, co może być lepsze.

Mimo wszystko pozostawała jeszcze sprawa „pragnień”. Pieprzenia pięknych dziewczyn. Patrzenia na ich ból. Zabijania. Czy potrafi się powstrzymać od tych „pragnień”, miało się dopiero okazać, ale czas i sposobność, by zostawić je na dobre za sobą, nie mogły być lepsze. Teraz był czysty. Dostał drugą szansę.

Z tego powodu Teddy wyparł wszystkie te palące myśli na peryferie pamięci, gdzie od tej chwili było ich miejsce, i włączył się do zabawy najlepiej jak umiał. To był prawdziwy Teddy, Teddy w najlepszej formie, Teddy w swoim żywiole.

Pogawędził krótko przy barze z Meryl Streep i Johnem McLaughlinem. Pochwalił spikera Izby Reprezentantów za ostry wywiad, jakiego udzielił „Meet the Press”. Pogratił Patti LuPone, jednej z laureatek tego wieczoru, wszystkich jej oszałamiających osiągnięć – jakiegokolwiek były. I nie przestawał się przemieszczać, chodził, chodził, nigdy nie przystawał na zbyt długo w jednym miejscu, nigdy nieznudzony powitaniem, nigdy nie zdradzając o sobie niczego. W tym tkwiło piękno i czar pory koktajli.

W końcu natknął się na Maggie w Sali Narodów, gawędzącą z nowym gubernatorem Georgii, demokratą, i jego żoną o twarzy charta, której imienia Teddy nigdy

nie potrafił zapamiętać.

– O wilku mowa. – Maggie wsunęła mu rękę pod ramię. – Cześć, kochanie. Właśnie rozmawialiśmy o tobie. Douglas, Charlotte i ja.

– Witajcie, Doug, Charlotte. Mam nadzieję, że były to tylko dobre rzeczy – powiedział, a oni roześmieli się, jakby tego po nich oczekiwano, bo tak właśnie było.

– Twoja żona wspomniała przed chwilą, że jesteś doskonałym jeźdźcem – odezwał się gubernator.

– Ach – odpowiedział Teddy. – Moje małe tajemnice. Mam ich teraz już bardzo niewiele. I nie lubię, kiedy wychodzą na jaw.

– Musimy cię namówić do odwiedzenia nas na farmie któregoś dnia. Mamy piękne trasy w letniej rezydencji.

– To brzmi absolutnie wspaniale: farma – skłamał, ale nikomu nie robiło to krzywdy. – A ja i prezydent musimy namówić was, żebyście zostali na noc w Białym Domu przy jakiejś okazji. – Spojrzał na Maggie i uśmiechnął się łagodnie. – Dobrze myślę, kochanie?

## Rozdział 109

Po przyjeździe z lotniska tamtego wieczoru Ned Mahoney i ja wzięliśmy udział w nagłej naradzie, którą zorganizowano, gdy byliśmy jeszcze w powietrzu. Wiadomo było, że Theodore „Teddy” Vance jest teraz z żoną, prezydentem Stanów Zjednoczonych, w Centrum Kennedy’ego na uroczystości rozdania nagród. Mieliśmy go w garści. Nie wiadomo było tylko, jak postąpić dalej.

Największy opór stawiała Secret Service, która – jak na ironię – miała najmniej do powiedzenia w tej sprawie, no, może poza mną. Ich zastępczyni, dyrektora dochodzeniówki Angela Riordan, najczęściej zabierała głos.

– Na pewno nie będziemy tolerować żadnego z tych idiotycznych prewencyjnych zatrzymań, rozumiano? Mówimy tu o pierwszym dżentelmenie Stanów Zjednoczonych. Jeśli federalni zamyślają choćby przejść przez naszą linię ochrony, on zniknie, zanim ktokolwiek znajdzie się wewnątrz budynku. Czy muszę to powtórzyć?

– Nie mamy z tym problemu, Angelo. – To Luke Hamel, zastępca dyrektora FBI, odpowiedzialny za tę sprawę, zanim przejęli ją ludzie z Charlottesville. Mieliśmy tu także samego dyrektora FBI Rona Burnsa przysłuchującego się razem z kilkoma prawnikami. – Nikt nie wspomniał jeszcze o aresztowaniu – Hamel mówił dalej. – Chcemy jedynie z nim porozmawiać. W tym momencie jest tylko podejrzany.

– Więc nie ma powodu, żeby to nie mogło poczekać do jutra.

Rozpoznałem lekko inny akcent osobistego adwokata Vance’a, Raja Doshiego, który przyjechał z Marylandu w trakcie naszej rozmowy.

– Właściwie to jest bardzo ważny powód – powiedziałem. – Ludzie umierali przez tę tajemnicę. Powstrzymanie się od robienia czegokolwiek dzisiaj wieczorem oznacza, że narażamy życie kolejnych ludzi, a fakt, że odbywamy tę rozmowę, powiększa jeszcze to ryzyko.

– Przepraszam, detektyw Cross, prawda? – zapytała Riordan. – Nie będziemy podejmowali żadnych taktycznych decyzji na podstawie pańskich przeczuć albo paranoi.

– Z całym szacunkiem, nie ma pani pojęcia, czy jestem paranoikiem, czy nie – odparłem. Nie chciałem być zbyt precyzyjny, ale Ned Mahoney i ja trzymaliśmy w rękach więcej kart niż ktokolwiek w tym rozdaniu.

W końcu, jak myślę, Riordan zrozumiała swoje położenie i nie mając innego wyjścia, zgodziła się na zatrzymanie Vance’a i przesłuchanie go.

Kiedy Doshi zażądał, żeby przesłuchanie odbyło się poza Centrum Kennedy'ego, ludzie z FBI nie mieli nic przeciwko temu. Szybko zdecydowano się na Gmach Eisenhowera.

– Tu znowu Cross – powiedziałem do mikrofonu. – Czy Dan Cormorant ma w tej chwili służbę w Centrum Kennedy'ego?

– Po co panu ta wiedza? – odezwał się tym razem agent Silo Ridge. Nawet nie wiedziałem, że jest na linii.

– Cormorant jest moim kontaktem w Secret Service w sprawie Zeusa – wyjaśniłem.  
– Byłbym zdziwiony, gdyby nie miał informacji, które moglibyśmy wykorzystać.

W rzeczywistości miałem kilka własnych pytań do Cormoranta i chciałem się z nim zobaczyć osobiście, zanim powiedziałbym coś, czego potem mógłbym żałować.

Nigdy nie usłyszałem odpowiedzi, ale to było już bez znaczenia. Wkrótce i tak miałem się o tym przekonać, bo przede mną majaczyła sylwetka Centrum Kennedy'ego.

## Rozdział 110

Do takiego zatrzymania prawdopodobnie nie doszło nigdy wcześniej, nie było o czymś takim żadnej wzmianki w historii policji, a definitywnie nic takiego nie zdarzyło się za moich czasów.

Zebraliśmy się na tarasie od strony rzeki, tuż obok głównego foyer, gdzie przyjęcie trwało w najlepsze. Zdążyłem już zauważyć kilka gwiazd filmowych przechodzących obok okien wysokich na osiemnaście metrów, ale Teddy'ego Vance'a nigdzie nie było widać. Ani śladu Zeusa?

Luke Hamel z FBI przyprowadził ze sobą kolejnego starszego agenta Jamesa Walsha, którego nie rozpoznawałem i wątpiłem, czy w ogóle widziałem go wcześniej. Mój stary szef Ron Burns trzymał się z dala od tej sprawy, ale zadbał, żeby znalazło się tu miejsce dla mnie i Mahoneya. Jeśli tylko będę mógł, odwdzięczę mu się później za tę przysługę.

Z Secret Service oprócz ekipy operacyjnej pracującej na miejscu mieliśmy Riordan i Ridge'a. Oznaczało to agentów w smokingach stojących parami przy każdych drzwiach oraz bardzo licznych funkcjonariuszy z policji metropolitalnej na ulicy, helikopter i ekipy pomocy medycznej w gotowości, jak zawsze przy wydarzeniach, w których bierze udział prezydent.

Poza Białym Domem nie było tego wieczoru w Waszyngtonie lepiej pilnowanego budynku. Czułem, jak napięcie ogarnia każdą cząstkę mojego ciała.

Kiedy zajęliśmy pozycje, Riordan położyła specjalny nacisk na tymczasowy „tryb awaryjny” – nikt nie miał prawa wejść ani wyjść, dopóki pierwszy dżentelmen nie zostanie zabrany. Następnie ruch uliczny miał zostać zatrzymany wokół budynku. Dla mnóstwa kierowców na pewno stanowiło to poważne utrudnienie, ale w tej chwili to był najmniejszy z naszych problemów.

Wszystko wskazywało na to, że pierwszy dżentelmen jest mordercą.

Nie minęła nawet minuta, gdy Dan Cormorant pojawił się w smokingu. Od razu zameldował się Angeli Riordan, ignorując wszystkich pozostałych.

– Jesteśmy gotowi zaczynać, proszę pani.

– W porządku. Chcę, żeby było to gładkie, ciche wyjście, zrozumiano, Dan? Montana wyjdzie tędy, a potem udamy się do Gmachu Einsenhowera.

– Tak, proszę pani.

Kiedy się obrócił, zastał mnie tuż przed sobą. Nie miałem pojęcia, jak wiele powiedziano do tej pory Cormorantowi, ale moja obecność mówiła sama za siebie. Musiał wiedzieć, o co w tym chodziło. Mimo to nic nie mogłem wyczytać z jego twarzy, gdy natychmiast zaczął wracać na stanowisko, przekazując rozkazy do mikrofonu w mankiecie.

– Tu Cormorant. Obstawa Montany ma być w gotowości, ja dowodzę. Będzie nam potrzebny pełny transport z North Plaza, natychmiast. To rozkaz.

Powodowany odruchem pochyliłem się i odezwałem cicho do agenta Ridge'a.

– Powinien pan z nim pójść.

Nawet na mnie nie spojrzał.

– Dzięki za wskazówkę, detektywie.

– Mówię poważnie – odpowiedziałem, ale wyciągnął rękę, żeby mnie uciszyć, gestem przypominającym odepchnięcie.

– Cross, kiedyś zostanie pan władcą świata, ale tymczasem niech pan się nie wychyla.

Nie było to dla mnie łatwe do wykonania, jak się przekonałem. Ten scenariusz w ogóle mi się nie podobał – był zły, jeśli Theodore Vance naprawdę miał się okazać naszym mordercą.

## Rozdział 111

Coś było nie tak. Teddy bez trudu wyczuł napięcie emanujące z Cormoranta, zanim agent Secret Service zaczął mu szeptać do ucha.

– Przepraszam pana. Czy zechciałby pan pójść ze mną? To raczej ważne.

Maggie także to spostrzegła i dokładnie wiedziała, jak powinna zareagować. Rozciągnęła usta w najlepszym uśmiechu zarezerwowanym na uroczysty bankiet.

– Nie zatrzymuj go zbyt długo, Dan, dobrze?

– Tak, proszę pani.

– Nie kończ tej myśli, gubernatorze. – Teddy zwrócił się do gościa Maggie. – Zaraz wrócę.

A potem nie bardzo wiedząc dlaczego, pochylił się i pocałował żonę w policzek.

– Kocham cię, skarbie – wyszeptał, ona zaś puściła do niego oko.

Słodka Maggie. Świat prawdopodobnie nigdy się nie dowie, jak wspaniałą potrafiła być kobietą. Przecież w rzeczywistości jej nie kochał, nawet w przybliżeniu nie wiedział, na czym polega takie uczucie. Niemniej to się sprawdzało. Ich związek trwał. Niezależnie od tego, ile prawdy o nim ona nigdy nie pozna, nie przekreślało to niczego, co było między nimi autentyczne. Tej sumy chwil i tak dalej. Skomplikowane, jak w każdym małżeństwie.

Kiedy przechodzili przez foyer, musiał stawiać kroki dwa razy częściej od agenta, żeby za nim nadążyć.

– Co się dzieje, Dan?

– Proszę, żeby zachował pan spokój – odpowiedział Cormorant. – FBI ma do pana kilka pytań. Agenci czekają na zewnątrz i pojedą za nami do Gmachu Eisenhowera.

Teddy zatrzymał się nagle.

– Zaczekaj sekundę. Chcesz mnie... – Zwrócił głowę na bok i posłał uśmiech parze przechodzących gapiów. Stanął tyłem do sali. – Chcesz mnie przyprawić o atak serca, do kurwy nędzy?

– Wiem, co robię, proszę pana. Naprawdę. Musi mi pan zaufać.

– Zaufać ci? Prowadzisz mnie prosto do nich! Cormorant wsadził do kieszeni rękę z mikrofonem, głosniżył do stłumionego szeptu.

– Czy do tej pory się nie sprawdzałem? Na rany boskie, Teddy, spotkaj się z nimi. Chcą jedynie zadać ci parę pytań.

– Dlaczego ci nie wierzę, Dan? Jest niedobrze. Jest bardzo niedobrze, prawda?

– Posłuchaj mnie. – Agent podążył oczami do najdalej usytuowanego wyjścia i z powrotem. – Jedyne realne rozwiązanie tej sytuacji to wyjście tamtymi drzwiami. Albo zaczniemy znowu iść, albo oni po ciebie przyjdą. Nie ma gdzie uciec, Teddy. Jeśli oni tu wejdą, pani prezydent znajdzie się w kłopotliwym położeniu.

Teraz już ich spostrzegł, grupę ciemnych garniturów na tarasie od strony rzeki – między nimi stał detektyw z policji metropolitalnej, który mu się wymykał. Alex Cross. Ten sam człowiek, który powinien nie żyć i już dawno zniknąć z pola jego widzenia.

– Musimy iść.

– Nie poganiaj mnie, do jasnej cholery! Zapomniałeś? Jestem Teddy Vance.

Teddy poprawił muszkę i wziął wysoki kieliszek z tacy niesionej przez mijającego ich kelnera. Sporo wysiłku kosztowało go niewypicie wszystkiego jednym haustem. Łyk po łyku, przedzielane uroczym uśmiechem posyłanym w stronę gości, podczas gdy serce waliło mu jak młotem.

– W porządku – rzekł. – Załatwmy to. Bez trudu mogę odpowiedzieć na kilka ich pytań.



## Rozdział 112

Dan Cormorant był sprawny i taktowny, to muszę przyznać. Zniknął w głównym foyer i pojawił się ponownie po czterdziestu pięciu sekundach z Theodore'em Vance'em u boku. Wszystko do tej pory wydawało się iść gładko.

Ale potem Vance przystanął, zanim dotarli do drzwi. Obrócił się, żeby powiedzieć coś do agenta Secret Service. Cormorant schował mikrofon do kieszeni. To źle, bardzo źle.

Stojąca obok mnie Angela Riordan zakryła dłonią ucho ze słuchawką, żeby lepiej słyszeć. – Dan, co ty wyrabiasz?

Nie zareagował.

– Cormorant, ruszajcie. Dan! Wyprowadź stamtąd Montanę natychmiast – ponagliła Riordan.

Gestem nakazała agentowi Ridge'owi, żeby wszedł do foyer, ale cofnęła go, gdy Vance obrócił się i zaczął iść w naszą stronę. Patrzył teraz wprost na nas.

Czy był Zeusem? Hannah Willis twierdziła, że tak. A ja jej wierzyłem.

Cormorant szedł o jeden krok za nim, podczas gdy trzech innych członków ochrony prezydenckiej pary obstawiało z pozostałych stron pierwszego dżentelmena. Agent stojący przy drzwiach otworzył je i przytrzymał dla Vance'a.

Reszta rozegrała się w mgnieniu oka. Było to jedno z tych nagłych zdarzeń, które zaczynają się i kończą błyskawicznie, ale zapadają w pamięć niczym zdjęcia i nie można o nich już nigdy zapomnieć.

Vance zasłaniał niemal całą postać Cormoranta, zobaczyłem jedynie, jak unosi się tył jego smokingu.

Po sekundzie trzymałem już glocka w ręku, ale to było stanowczo za późno.

W dłoni Cormoranta pojawił się .357. Strzelił Vance'owi w tył głowy. Vance'a rzuciło do przodu, upadł, mocno uderzając o beton posadzki na zewnątrz.

Zapanował chaos. Dezorientacja. Przerażenie. Niedowierzanie. Niemal w tej samej chwili ogień otworzyli jednocześnie do Cormoranta otaczający go agenci. Po kilku sekundach on również leżał na ziemi, a wokół wybuchło czyste szaleństwo.

Setki ludzi krzyczało i próbowało uciekać przez drzwi. W następnym momencie zasłony w foyer zaczęły się zasuwać, odcinając widok na scenę strzelaniny.

Gdy sunęły po prowadnicach, spostrzegłem ścieśnioną grupę agentów Secret Service biegnących, jak założyłem, z panią prezydent w kierunku najbliższej kryjówki, jaką przygotowali. Zastanawiałem się, czy wiedziała, że jej mąż został zastrzelony.

Riordan darła się do mikrofonu, usiłując przekrzyczeć hałas.

– Padły strzały! Montana został zdjęty, powtarzam, Montana zdjęty! Potrzebna ekipa podtrzymywania życia na taras nad rzeką. Strona północna. Już!

Ochrona Teddy’ego Vance’a utworzyła wokół niego podwójny kordon. Pierwsi stali blisko ciała, drudzy twarzami na zewnątrz z wyciągniętą bronią. Mahoney i ja rozdzieliliśmy się, żeby mieć większy zasięg działania.

Dziennikarze napierali już na taras rozgorączkowani, by zdobyć temat, by zdobyć cokolwiek. Wszędzie byli policjanci, syreny wyły na ulicy, ogłuszające wrzaski rozlegały się ze wszystkich stron. I to wszystko działo się naraz.

Było za wcześnie na oficjalne hipotezy, ale pomyślałem, że wiem, czego świadkami byliśmy. Cormorant to bardzo doświadczony agent, patriota, przynajmniej we własnym przekonaniu. Zaczekał, aż Teddy Vance wyjdzie z budynku, i dopiero wtedy wystrzelił śmiertelną kulę, w pełni świadomy, że zostanie za to zabity na miejscu. Było to w takim samym stopniu samobójstwo jak zabójstwo – ostatni czyn w krwawej próbie tuszowania prawdy, dokonany samodzielnie przez agenta Cormoranta, ostatnia próba ograniczenia skandalu, jaką mógł zaoferować swojej prezydent.

## Rozdział 113

Wstrząśnięty i wykończony dotarłem do domu około wpół do piątej rano, może ostatni raz o tak wampirzej porze, przynajmniej na jakiś czas. Jeśli Bree jeszcze nie wstała, miałem zamiar ją obudzić i powiedzieć, co się wydarzyło...

Ale jej nawet nie było. Bree w ogóle nie było w domu.

Zdałem sobie z tego sprawę w chwili, gdy na podłodze przy stole w kuchni zobaczyłem wielką torbę z robótkami ręcznymi ciotki Tii. Przyszła, żeby posiedzieć z dziećmi, a święta Bree zastępowała mnie na nocnym dyżurze w szpitalu. No jasne, że to robiła. Tak samo jak ja nie chciała, żeby Nana była sama.

Niewiele brakowało, żebym wrócił do samochodu, ale uznałem, że rozsądniej będzie opowiedzieć jej o wszystkim później tego ranka, gdy Tia wróci już do siebie. Mieliśmy za sobą trudny okres, to prawda.

Dlatego poszedłem na górę i położyłem się, nie ścieląc łóżka, w pełni rozbudzony. Nadal przeżywałem wszystkie wydarzenia, nie tylko z tej nocy, ale i ostatnich kilku tygodni. Byłem pewny, że będą mnie prześladowały przez miesiące, może nawet lata. Nadal nie wiedzieliśmy, ile było dziewczyn takich jak Caroline, i możliwe, że nigdy się tego nie dowiemy. Nie mieliśmy też pojęcia o skali tuszowania wyczynów Zeusa ani kto się tym zajmował. Theodore Vance był bardzo bogatym, doskonale sobie radzącym biznesmenem. Miał środki, by robić, co chciał, spełniać swoje fantazje. I najwyraźniej to właśnie czynił.

Postanowiłem, że później tego dnia zadzwonię do bratowej Michelle. Musiałem jeszcze zdecydować, jak dużo jej opowiem o tym, co stało się z jej córką. Niektóre szczegóły nie powinny obciążać pamięci matki. Czasami zastanawiałem się, jakie znaczenie miały dla mnie.

Od mojego powrotu do domu nie minęło więcej niż pół godziny, kiedy rozdzwonił się telefon w przedpokoju.

Zerwałem się z łóżka, żeby go odebrać przed trzecim dzwonkiem. Biorąc pod uwagę wydarzenia z ostatnich dwudziestu czterech godzin, całkiem sporo ludzi mogło mnie szukać.

– Alex Cross – powiedziałem szeptem.

I jakby nigdy nic w życiu znowu zaszła zmiana.

– Alex, mówi Zadie Mitchell ze szpitala. Jak szybko możesz przyjechać?

## Rozdział 114

Pobiegłem.

Pobiegłem do samochodu stojącego na podjeździe.

Pędziłem na sygnale przez całą drogę do szpitala St. Anthony's i wbiegłem na czwarte piętro do sali Nany.

Kiedy się tam znalazłem, Bree stała z twarzą zalaną łzami. Obok niej na łóżku z oczami jak szparki – ale otwartymi – leżała babcia Nana.

Regina Hope Cross, najtwardsza osoba, jaką dane mi było znać, nie skończyła jeszcze z nami.

Jej głos przypominał trzask, niemal statyczny, lecz dla mnie brzmiał jak muzyka.

– Dlaczego tak długo jechałeś? – powiedziała. – Wróciłam.

– Tak, wróciłaś. – Byłem rozpromieniony, kiedy przyklęknałem, żeby pocałować ją najdelikatniej, jak potrafiłem. Nadal miała podłączone dwie kroplówki i monitorowano pracę jej serca, ale respirator i rurka do żywienia zniknęły. Miałem wrażenie, że patrzę na kogoś, kogo nie widziałem od całych tygodni.

– Co straciłam? – zapytała.

– Niewiele. Prawie nic. Świat bez ciebie stanął w miejscu.

– Bardzo zabawne – stwierdziła, choć w sumie mówiłem to tak jakby poważnie. Wszystko inne mogło czekać.

Zadie i jeden z kardiologów, doktor Steig, byli w pokoju i obserwowali stan Nany.

– Pani Regina będzie potrzebowała czegoś, co nazywamy urządzeniem do mechanicznego wspomaganie lewej komory – powiedział lekarz. – To najlepsze rozwiązanie oprócz transplantacji i pomoże jej szybciej wrócić do domu. – Położył dłoń na ramieniu Nany i odezwał się trochę głośniejszym głosem. – Chciałaby pani czegoś szczególnego, pani Regino?

Pokiwała wolno głową.

– Pożyłabym jeszcze trochę – powiedziała, a ja i cała reszta się roześmieliśmy.

Zamrugła oczami i ponownie je zamknęła.

– Przynajmniej przez kilka następnych dni będzie tak zasypiała i się budziła – wyjaśnił Steig. – Nie ma w tym nic niepokojącego.

Przez parę minut omawiał z nami stosowaną terapię, a potem zostawił nas samych w pokoju.

Kiedy usiedliśmy przy łóżku, Bree powiedziała mi, że w nocy oglądała wiadomości. Wszystkie ważniejsze stacje telewizyjne nadawały na żywo z Centrum Kennedy'ego, Białego Domu i domu Vance'ów w Filadelfii. Rodzaj dziwnej żałoby zaczął się już rozprzestrzeniać po kraju.

– Więc jak, to naprawdę koniec? – zapytała Bree. – Skończyło się?

– Tak – odparłem, więcej myśli poświęcając Nanie niż Teddy'emu Vance'owi. – Tak jak wszystko na tym świecie. Zeus nie żyje. To wiemy na pewno.

# Epilog

---

Feniks odradza się z popiołów

## Rozdział 115

Święta minęły tego roku nie wiadomo kiedy i nie żartuję. Damon przyjechał na ferie bożonarodzeniowe, a w Nowy Rok Nana mogła już na tyle się poruszać, że z niewielką pomocą przyjaciół upiekła zeberka dla całej rodziny. Był to idealny sposób pożegnania starego roku, tylko w szóstkę – nawet jeśli Ali i Nana nie wytrzymali do północy.

Pierwszy stycznia również zaczął się spokojnie. Wysłuchałem kilku rozdziałów *Wolnego życia* Ha Jina z Naną w jej pokoju, przygotowałem drugie śniadanie dla dzieci, a potem zapytałem Bree, czy nie przejechałaby się ze mną samochodem po południu.

– Przejazdzka na wieś byłaby idealna – powiedziała. – Doskonały pomysł. Wchodzę w to.

Panował lekki mróz, ale w samochodzie temperaturę dawało się idealnie regulować. Nastawiłem Johna Legenda, ruszyłem na północ i mniej więcej przez godzinę patrzyłem, jak świat przemyka obok.

Bree nawet się nie zorientowała, dokąd zmierzamy, dopóki nie zjechałem z drogi w Marylandzie.

– Och, pysznie.

– Och, pysznie?

– Słyszałeś. Och, pysznie, pysznie. Uwielbiam to miejsce!

Górski Park Narodowy Catoctin ma dla nas pewne sentymentalne znaczenie. Było to miejsce, do którego pojechaliśmy pierwszy raz we dwoje i od tamtej pory zatrzymywaliśmy się tam na kempingu kilka razy, z dziećmi albo sami. Jest piękny przez cały rok – ale jak się okazało, zamknięty w Nowy Rok.

– Nie ma się czym przejmować, Alex – powiedziała Bree. – Jedzie się tutaj piękną trasą.

Podjechałem do wielkiej kamiennej bramy przed głównym wejściem i zgasilem silnik.

– Przejdźmy się. Co nam zrobią, aresztują nas?

## Rozdział 116

Kilka minut później Bree i ja mieliśmy tylko dla siebie szlak do wodospadów Cunninghama. Zgodnie z planem na popołudnie byliśmy zupełnie samiuteńcy. Leżał świeży śnieg, niebo było jaskrawo błękitne – jeden z najpiękniejszych dni, jakie udały się matce naturze.

– Masz jakieś postanowienia? – zapytałem ją.

– Jasne – odpowiedziała. – Będę zbyt dużo pracować, przestanę chodzić na siłownię i będę jadła, aż utyję. A ty?

– Przestanę zawracać sobie głowę recyklingiem.

– Dobry plan.

– Może będę spędzał trochę mniej czasu z dziećmi.

– Definitywnie. Doskonały pomysł.

– I chcę się przekonać, czy uda mi się nakłonić kobietę, którą kocham, żeby za mnie wyszła.

Bree stanęła jak wryta – niczego mniej się po niej nie spodziewałem. Wykorzystałem tę chwilę i wyciągnąłem pierścionek z kieszeni.

– Należał do Nany – powiedziałem. – Ona też chciałaby, żebyś go nosiła.

– Och, dobry Boże. – Bree uśmiechała się i kręciła głową. Nie bardzo potrafiłem czytać w jej twarzy. – Tyle masz ostatnio na głowie, Alex. Jesteś pewny, że to dla ciebie dobra pora?

Gdyby chodziło o inną kobietę, pomyślałbym, że w taki aluzyjny sposób daje mi kosza. Ale to była Bree, a ona nie bawiła się w aluzje.

– Bree, pamiętasz wieczór moich urodzin? – pytałem.

– Jasne – odpowiedziała trochę zbита z tropu. – Kiedy wszystko się zaczęło. Całe to bagno. Tamtego dnia po raz pierwszy usłyszałeś o Caroline.

– Do chwili, gdy Davies zadzwonił, chciałem ci się oświadczyć tego wieczoru. Skoro nie możemy cofnąć czasu, powiedziałbym, że ta chwila jest idealna. Wyjdiesz za mnie, Bree? Aż nie mogę wytrzymać, tak bardzo cię kocham.

Zerwał się wiatr. Bree sięgnęła mi pod palto i objęła mnie ramionami. Potem bardzo długo się całowaliśmy.



– Ja też cię kocham – wyszeptała Bree.

– Tak, Alex – powiedziała w końcu. – Naprawdę bardzo cię kocham. I zgadzam się. Mówię „tak” całej twojej niezwykłej rodzinie...

– Naszej niezwykłej rodzinie – poprawiłem ją i znowu pocałowałem.

Pokiwała głową, przytulając się i chroniąc mnie przed zimnem.

– Zgadzam się na wszystko.

## Rozdział 117

Tamtego wieczoru ponownie świętowaliśmy. Tym razem najpierw było to syczańskie jedzenie na wynos, potem butelka szampana z Sampsonem i Billie w domu, gdzie usłyszeli najświeższą nowinę. Nikt nie był tym aż tak podekscytowany jak ja, choć Sampsonowi i Billie niewiele do mnie brakowało. Nie usłyszałem nawet jednej wzmianki, że Bree popełnia szaleństwo, wychodząc za mnie.

Znacznie później, kiedy leżeliśmy już w łóżku – tylko Bree i ja, sami – rozmawiając o ślubie w lecie, zadzwoniła moja komórka w szafce nocnej.

– Nie, nie, nie. – Zakryłem głowę poduszką. – To moje noworoczne postanowienie. Żadnych więcej telefonów. Może już na zawsze.

Następnego ranka oboje mieliśmy się stawić w pracy, ale od tego momentu dzieliło nas osiem godzin.

– Kochanie. – Bree wspięła się nade mną i wyjęła telefon z szuflady. – Wychodzę za gliniarza. A gliniarze odbierają telefony. No, dalej. – Podała mi komórkę, pocałowała mnie i położyła się obok.

– Alex Cross – powiedziałem.

– Chciałbym jako jeden z pierwszych złożyć wam gratulacje, Alex. Tobie i Bree. Co za szczęśliwe zakończenie.

Usiadłem. Głos brzmiał nie tylko znajomo. To był prawdziwy koszmar na jawie.

Większość świata znała Kyle'a Craiga jako Masterminda. Znałem go jako dawnego przyjaciela, a teraz mojego najgorszego wroga.

– Po co tak naprawdę do mnie dzwonicz, Kyle?

– Nudzę się, Alex. Nikt tak ze mną nie grał jak ty. Nikt mnie tak nie zna jak ty. Może to dobra pora na trochę zabawy. Tylko my dwaj.

– Chyba inaczej rozumiem słowo „my” – odpowiedziałem.

Zaśmiał się cicho.

– Na pewno masz rację. A tak przy okazji, nawet ja widzę, że potrzebujesz trochę odpoczynku po Zeusie. Uznaj to za mój prezent ślubny. Ale nie rozleniwiaj się za bardzo, przyjacielu. Nic nie trwa wiecznie. To jednak sam dobrze wiesz, prawda? Moje serdeczne pozdrowienia dla Bree, Nany i oczywiście dla dzieciaków. I Alex, dobrej zabawy.